

HENRY JAMES

W KLESZCZACH LĘKU

TYTUŁ ORYGINAŁU: THE TURN OF THE SCREW
PRZEKŁAD: WITOLD POSPIESZAŁA



WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE • POZNAŃ 1990

Siedzieliśmy wokół kominka, słuchając opowieści, która trzymała nas w dość silnym napięciu. Poza oczywistą wzmianką o jej niesamowitym charakterze, zgodnym całkowicie z nastrojem, jaki tak dziwne opowiadanie może wywołać w Wigilię Bożego Narodzenia w starym dworze, nie przypominam sobie, by ktokolwiek dorzucił jeszcze jakąś uwagę. Wreszcie ktoś mimochodem napomknął, że jest to jedyny znany mu przypadek, w którym dziecko zostało nawiedzone przez widmo. Przypadek ten, pragnąłbym tu zaznaczyć, dotyczył pojawienia się zjawy w takim właśnie starym dworze, w jakim i myśmy się znaleźli przy sposobności — zjawy wyjątkowo okropnej, która ukazała się małemu chłopcu, śpiącemu w pokoju ze swoją matką; pod grozą tego przeżycia chłopiec przebudził matkę; przebudził ją nie po to, by rozproszyła jego przerażenie i ukołowała go na nowo do snu, lecz po to, by zanim jej się to udało uczynić, sama również ujrzała widziadło, które nim wstrząsnęło. Dopiero to spostrzeżenie wywołało u Douglasa — nie zaraz, lecz później wieczorem — pewien oddźwięk, nie pozbawiony ciekawych następstw, na które chcę zwrócić uwagę. Ktoś jeszcze coś opowiadał, nic zresztą szczególnego, czego, jak zauważyłem, on prawie nie słuchał. Wziąłem to za oznakę, że sam chce coś nam opowiedzieć i że należy tylko poczekać. W rzeczywistości musieliśmy czekać jeszcze dwa dni. Tego zaś wieczoru, nim rozeszliśmy się, podzielił się z nami tym, co mu wówczas zaprzętało głowę.

— Zgadzam się w zupełności, jeżeli chodzi o ducha Griffina lub cokolwiek to było, że pojawienie się jego najpierw małemu chłopcu, tak przecież wrażliwemu w tym wieku, nadaje zdarzeniu szczególne zabarwienie. Wiem jednak, że ten fascynujący wypadek nie należy do wyjątków, jeżeli chodzi o dzieci. Jeśli dziecko tak potęguje atmosferę grozy, to cóż powiecie o dwojgu dzieci...?

— Powiemy oczywiście — wykrzyknął ktoś — że dwoje dzieci spotęguje ją dwukrotnie, a także, że chcemy o nich usłyszeć.

Widzę jeszcze Douglasa, jak wstaje, obraca się plecami do kominka i trzymając ręce w kieszeniach, patrzy na swego rozmówcę i mówi: „Nikt poza mną do tej chwili o tym nie słyszał. Jest to aż nazbyt niesamowite: Oczywiście kilka głosów orzekło, że okoliczność ta czyni całą sprawę tym bardziej godną uwagi, a nasz przyjaciel gotował swój triumf spokojnie, po mistrzowsku i przenosząc wzrok ponad nami, ciągnął dalej:

— To przechodzi ludzkie pojęcie. Nie znam nic takiego, z czym można by to choć trochę porównać.

Pamiętam, że wtedy zapytałem:

— Jeżeli chodzi o uczucie samego strachu?

Wydawało się, jakby chciał powiedzieć, że to nie było tak proste, jak gdyby oczywiście nie wiedział, jak to określić. Przesunął ręką po oczach, a po twarzy przebiegł mu nikły grymas.

— Ze względu na okropne... okropność tej historii!

— Och — wykrzyknęła jedna z pań — ależ to wspaniałe!

Nie zwrócił na nią uwagi, spoglądał na mnie tak, jak gdyby widział nie mnie, lecz to, o czym mówił.

— Ze względu na ohydę i zgrozę, i ból.

— No, w takim razie — powiedziałem — siadaj i zaczynaj.

Odwrócił się do ognia, trącił nogą kłodę drewna i przyglądał się jej przez chwilę. Potem znów stanął twarzą do nas i powiedział:

— Nie mogę tego zacząć. Będę musiał pojechać do miasta.

Jęknęliśmy na to wszyscy; posypały się wyrzuty; po czym, z charakterystycznym dla niego skupieniem, wyjaśnił:

— Ta historia jest spisana. Leży w szufladzie pod kluczem... nie widziała światła

dziennego przez długie lata. Mogę napisać do mojego służącego i dołączyć klucz; on będzie mógł przesłać tutaj ten pakiet, kiedy go odszuka.

Wydawało się, że zwraca się z tym specjalnie do mnie — wydawało się, że nieledwie błaga o pomoc, aby przewyciężyć wahanie. Przełamał warstwę lodu narosłą w ciągu wielu lat, miał swoje powody do tak długiego milczenia. Chociaż inni nie mogli pogodzić się z tym opóźnieniem — moim zdaniem te jego skrupuły miały w sobie właśnie coś urzekającego. Wymogłem na nim przyrzeczenie, że napisze list i wyśle go pierwszą pocztą oraz że spotkamy się tu znowu jak najprędzej. Potem zapytałem go, czy to wydarzenie, o którym mowa, przytrafiło się jemu osobiście. Odpowiedział mi na to od razu:

— Och nie, dzięki Bogu, nie!

— A te zapiski to twoje? Ty je pisałeś?

Nie, wywarły tylko na mnie ogromne wrażenie. Zapisałem to t u t a j — wskazał ręką na serce — i nigdy tego nie zapomnę.

— A zatem twój manuskrypt...?

— Pisany jest atramentem, dziś już wyblakłym, i przepięknym charakterem pisma — znów zamilkł na chwilę. — Ręką kobietą. Ona od dwudziestu lat już nie żyje. Te zapiski, o których mowa, przesłała mi przed śmiercią.

Teraz słuchali go wszyscy i jak zwykle znalazł się ktoś, kto z, góry domyślał się wszystkiego, bądź też chciał wyciągnąć wnioski. Trzeba przyznać, że jeżeli Douglas przeszedł nad tą uwagą bez uśmiechu, to nie okazał również rozdrażnienia.

— Była to nadzwyczaj urocza osoba, liczyła jednak dziesięć lat więcej ode mnie. Była guwernantką mojej siostry — powiedział ze spokojem — kobieta wyjątkowo sympatyczna, najsympatyczniejsza spośród wszystkich guwernantek, jakie kiedykolwiek znałem; mogłaby doprawdy objąć każde stanowisko. Było to już dawno temu, a ten wypadek zdarzył się jeszcze znacznie wcześniej. Studiowałem wówczas w Trinity College i zastałem ją w domu po przyjeździe latem na wakacje po ukończeniu drugiego roku. Tego lata prawie się stamtąd nie ruszałem... było ono piękne. Gdy była wolna od zajęć, chodziliśmy do ogrodu na spacer i pogawędki... a jej uwagi zawierały tyle rozsądku i tak była przy tym miła, że mnie wprost oczarowała. Ależ tak, nie uśmiechajcie się. Polubiłem ją ogromnie i rad jestem po dziś dzień, gdy pomyślę, że i ona mnie lubiła. Nie opowiedziałyby mi tego, gdyby mnie nie lubiła. Nikomu innemu tego nie opowiadała. Wiem, że tak było, chociaż nigdy mi o tym nie mówiła. Po prostu sam się tego domyśliłem. Byłem tego pewny; to dało się zauważyć. Łatwo osądzić cie dlaczego, po wysłuchaniu tej historii.

— Czy dlatego, że było to tak straszne?

Nie odrywał ode mnie wzroku.

— Sami łatwo to osądzicie — powtórzył — przekonacie się.

Z kolei ja utkwilem w nim wzrok.

— Rozumiem. Była zakochana.

Po raz pierwszy się roześmiał.

— Ależ jesteś b y s t r y. Tak, była zakochana. To znaczy, była kiedyś zakochana. To wyszło na jaw... nie mogłaby opowiedzieć mi swojej historii, nie zdradziwszy się jednocześnie. Uprzytomniłem to sobie, a ona wiedziała, czego się domyślam; nikt z nas jednak o tym nie wspominał. Pamiętam, kiedy to było i w jakim miejscu... narożnik trawnika, cienie wielkich buków i to długie, upalne letnie popołudnie; sceneria nie miała w sobie nic niepokojącego, lecz och...!

Odszedł od kominka i opadł z powrotem na krzesło.

— Czy otrzymasz tę przesyłkę w czwartek rano? — odezwałem się.

— Przypuszczam, że dopiero z drugą pocztą.

— A więc dobrze, po obiedzie...

— Spotkamy się tu wszyscy? — spojrzął po nas wokół ponownie. — Czy nikt nie

wyjeżdża? — w jego głosie przebijała niemal nadzieja.

— Wszyscy pozostają!

— Ja zostaję... i ja zostaję! — wołały te panie, których odjazd był już postanowiony. Pani Griffin poprosiła jednak o wyjaśnienie jej pewnych szczegółów.

— W kimże ona się kochała?

— Dowiemy się tego z opowieści — odpowiedziałem za niego.

— Och, nie mogę się jej doczekać!

— Opowieść nie wyjawia tego dosłownie — powiedział Douglas — nie wyjawia tego w zwyczajny, pospolity sposób.

— Tym bardziej należy żałować. Tylko wówczas mogłabym wszystko zrozumieć.

— Nie powiesz nam tego, Douglasie? — zapytał jeszcze ktoś.

Zerwał się znów na nogi.

— Tak... jutro. Teraz muszę pójść do łóżka. Dobranoc.

I pochwywszy szybko lichtarz, wyszedł, pozostawiając nas samych w pewnym oszołomieniu. W rozległym, brązowym hallu usłyszeliśmy odgłos jego kroków na schodach, po czym odezwała się pani Griffin:

— No, jeśli się nie dowiedziałam, w kim ona się kochała, to wiem jednak, kim on był.

— Była o dziesięć lat starsza — rzekł na to jej mąż.

— *Raison de plus...* w tym wieku! Ale to naprawdę ładnie z jego strony, że przez tyle lat zachował dyskretne milczenie.

— Czterdzieści lat! — wtrącił Griffin.

— I naraz ta reakcja.

— Ta reakcja — odparłem — spowoduje, że wieczór czwartkowy stanie się dla nas niezwykłym wydarzeniem.

Wszyscy zgodzili się ze mną tak skwapliwie, że w obliczu tej sprawy nie zwracaliśmy uwagi na nic innego. Ostatnia z rzędu opowieść, jakkolwiek nie cała i przypominająca raczej pierwszy odcinek powieściowy w gazecie, została opowiedziana; uścisnęliśmy sobie nawzajem dłonie, „traćiliśmy się”, jak ktoś się wyraził, lichtarzami i udaliśmy się na spoczynek.

Wiedziałem następnego dnia, że list wraz z kluczem został wysłany pierwszą pocztą do jego mieszkania w Londynie. Pomimo tego — a może właśnie dlatego — że pogłoski na ten temat zaczęły się prawdopodobnie rozpowszechniać, daliśmy mu spokój nawet po obiedzie, dopóki nie nastąpiła pora wieczorna, najbardziej odpowiednia, jeśli chodzi o tego rodzaju emocje, jakie spodziewaliśmy się przeżyć. Potem stał się tak rozmowny, jak tylko można było sobie tego życzyć, i powiedział nam nawet, jakie są tego powody. Dowiedzieliśmy się o tym, zebrani znowu przed kominkiem w hallu, tak samo jak ubiegłego wieczoru, kiedy tak bardzo podrażnił naszą ciekawość. Okazało się, że opowieść, którą nam obiecał przeczytać, rzeczywiście wymagała kilku słów wstępu, abyśmy mogli wszystko należycie zrozumieć. Muszę tu wyraźnie zaznaczyć, by więcej do tego nie powracać, że tę opowieść, którą przepisałem później słowo w słowo, podam tutaj bez żadnego wstępu. Biedny Douglas przed śmiercią — gdy widział, że już się do niego zbliża — mnie powierzył manuskrypt.

Wtedy otrzymał go na trzeci dzień i w tym samym miejscu przy kominku, czwartego dnia wieczorem, wywołując niesłychane wrażenie, rozpoczął go czytać przed naszym zamilkłym gronem. Panie, mimo zapewnień, że wytrwają, zaczęły się powoli usuwać, i oczywiście, dzięki Bogu, nie dosiedziały do końca: pożegnały się pod pozorem poczynionych dawniej planów, choć przedtem umierały z ciekawości, wywołanej wzmiankami, którymi Douglas nas tak podniecił. To jednak przyczyniło się tylko do tym większej zwartości i doboru niewielkiego końcowego grona słuchaczy, skupionych wokół kominka, urzeczonych tym, co wspólnie przeżywali.

Z pierwszej wzmianki dowiedzieliśmy się, że pisemne oświadczenie podejmuje wypadki późniejsze, a nie te, od których historia się zaczęła. Według znanych Douglasowi szczegó-

łów dawna jego przyjaciółka, najmłodsza spośród kilku córek ubogiego wiejskiego pastora, licząca podówczas dwadzieścia lat, miała objąć po raz pierwszy stanowisko wychowawczyni. Toteż przybyła w tym celu do Londynu, drżąc z przejęcia, gdyż miała stawić się osobiście w związku z ogłoszeniem, w wyniku którego nastąpiła już krótka wymiana korespondencji. Osoba, która dała ogłoszenie, chciała ją poznać i powziąć decyzję o jej przydatności. Kandydatka zaprezentowała się na Harley Street, w domu, który wydawał się jej ogromny i imponujący, a przyszły jej chlebodawca okazał się dżentelmenem, kawalerem w kwiecie wieku, postacią zupełnie dla niej realną, taką, o której spłoszona, lękliwa dziewczyna z probostwa w Hampshire mogła marzyć tylko w snach lub też czytać w jakimś starym romansie. Należał do tego typu ludzi, których da się określić bez trudności, do tego typu, który na szczęście nigdy nie wymiera. Był przystojny, pewny siebie i miły, szczerzy, wesoły i dobry. Uderzyła ją — nie mogło być inaczej — jego kurtuazja i wielkoduszność, lecz najbardziej ujął ją i jednocześnie dodał jej odwagi — którą później wykazała — przez takie potraktowanie całej sprawy, jak gdyby to ona czyniła mu przysługę, a on zaciągał wobec niej nieoceniony dług wdzięczności. Wyobrażała sobie, że musi być bogaty, lecz straszliwie rozrzutny — widziała go w splendorze życia najwyższych sfer, w blasku męskiej urody, w przepychu luksusowych przyzwyczajęń, w uroku czarującego obejścia wobec kobiet. W mieście posiadał wielki dom, wypełniony trofeami z podróży i wypraw myśliwskich. Życzył sobie, by udała się jednak natychmiast do jego dworu na wsi w hrabstwie Essex, który stanowił starą posiadłość rodzinną.

Śmierć obojga rodziców jego bratanka i bratanicy w Indiach pociągnęła za sobą konieczność zaopiekowania się parą małych dzieci po młodszym bracie, wojskowym z profesji, którego utracił dwa lata temu. Skutkiem najdziwniejszego zrzędzenia losu, który doświadczył człowieka w jego położeniu — człowieka samotnego, bez żadnego doświadczenia w tej dziedzinie i bez odrobiny cierpliwości — dzieci te ciążyły mu bardzo. Wszystko to było niesłychanie kłopotliwe i z pewnością popełnił cały szereg błędów, lecz pełen litości dla biednych maleństw robił dla nich wszystko, co tylko mógł. Wysłał je przede wszystkim do swej drugiej rezydencji; wieś bowiem była oczywiście najbardziej odpowiednim miejscem dla dzieci; toteż od samego początku przebywały tam pod opieką najlepszych wychowawców, jakich mógł tylko znaleźć. Zrezygnował nawet z własnych służących dla ich wygody i odwiedzał je, gdy tylko czas mu pozwalał, by przekonać się osobiście, jak im się wiedzie. Sytuacja byłaby o wiele znośniejsza, gdyby dzieci miały jeszcze innych krewnych i gdyby jego własne sprawy tak bardzo go nie absorbowwały. Pozostawił im do dyspozycji swój dwór w Bly, gdzie miały zapewnione warunki zdrowotne i gdzie były bezpieczne, a głową ich małego gospodarstwa mianował — choć tylko na niskim szczeblu — panią Grose, dawną pokojówkę jego matki, kobietę wyjątkowo porządną, którą, był przekonany, gość jego polubi. Teraz prowadziła tam gospodarstwo, a jednocześnie sprawowała tymczasowy nadzór nad małą dziewczynką, do której, nie mając własnych dzieci, była na szczęście bardzo przywiązana. Ludzi nie brakowało do pomocy, lecz rozumiało się samo przez się, że młoda osoba, która uda się tam jako guvernantka, będzie posiadała najwyższy autorytet. Będzie też musiała podczas wakacji zająć się małym chłopcem, który przez cały okres szkolny przebywał w jednym z internatów — choć był może na to za młody — lecz cóż można było innego zrobić? — i który w związku ze zbliżającymi się wakacjami powinien lada dzień wrócić. Początkowo dziećmi zajmowała się pewna młoda pani, lecz nieszczęście chciało, że ją utraciły. Była to osoba zasługująca na najwyższy szacunek, zajmowała się nimi nader troskliwie aż do swojej śmierci, co spowodowało, ściśle mówiąc, wysoce kłopotliwą sytuację i jedyną drogą wyjścia, jaka pozostała, było wysłanie małego Milesa do internatu. Odtąd pani Grose zajęła się Florą, robiąc dla niej, co tylko mogła, aby ją nauczyć dobrych manier i właściwego postępowania; a poza tym była tam jeszcze kucharka, pokojówka, dziewczyna od krów, stary kucyk, stary stajenny i pewien stary ogrodnik, wszyscy również na wskroś porządni.

Douglas doszedł do tego miejsca, przedstawiając nam tło tej historii, gdy naraz ktoś

postawił pytanie:

— A na co zmarła poprzednia guwernantka? Czyżby z nadmiaru szacunku, jakim ją otaczano?

Przyjaciel nasz odpowiedział bez zwłoki:

— Dojdziemy do tego. Nie uprzedzajmy faktów.

— Wybacz... ale wydaje mi się, że ty właśnie to robisz.

— Na miejscu jej następczyni — podsunąłem — chciałbym jednak się dowiedzieć, czy stanowisko to nie było związane...

— Z pewnym niebezpieczeństwem dla życia? — dokończył Douglas moją myśl — owszem, chciała się dowiedzieć i dowiedziała się. Jutro usłyszycie, czego się dowiedziała. Na razie, oczywiście, perspektywy wydawały jej się nieco ponure. Była młoda, niedoświadczona, nerwowa; miała przed sobą poważne obowiązki i przy braku towarzystwa czekało ją naprawdę wielkie osamotnienie. Wahala się, radziła i namyślała przez kilka dni. Lecz zaofiarowana płaca znacznie przekraczała jej skromne przewidywania i gdy przyszła po raz drugi, była już zdecydowana, przyjęła posadę.

W tym miejscu Douglas zrobił pauzę, którą wykorzystałem dla dobra wszystkich obecnych, by wtrącić:

— I wynika z tego taki morał, że została, rzecz jasna, uwiedziona przez tego wspaniałego, młodego człowieka. Uległa.

Tak jak ubiegłego wieczoru wstał, podszedł do kominka, poruszył nogą jakąś kłodę, po czym przez chwilę stał odwrócony do nas plecami.

— Widziała się z nim tylko dwa razy.

— Tak, lecz w tym właśnie tkwi cały urok jej uczucia.

Na to, trochę ku mojemu zdziwieniu, odwrócił się twarzą do mnie.

— W tym tkwił cały urok. Był cały szereg innych kobiet — ciągnął dalej — które nie uległy. Podzielił się z nią swoim kłopotem, nie ukrywając... że dla wielu kandydatek warunki były nie do przyjęcia. Po prostu czegoś się obawiały. Pachniało im nudą... wszystko to wydawało im się dziwne, tym bardziej że postawił jeden zasadniczy warunek.

— A mianowicie...?

— Że nigdy nie będzie go niepokoić żadnymi kłopotami... dosłownie nigdy: nie będzie go prosić o pomoc ani uskarżać się, ani pisać o czymkolwiek; wszystkie sprawy będzie musiała załatwić sama, wszelkie należności będzie otrzymywać od radcy prawnego, będzie musiała przyjąć wszystko na siebie i zostawić go w spokoju. Przyrzekła tego dotrzymać; wspominała później w rozmowie ze mną, że kiedy przez moment ścisnął jej rękę z uczuciem ulgi i zachwytu, dziękując jej za poświęcenie, ona już poczuła się wynagrodzona.

— Czyżby to tylko miało być całym jej wynagrodzeniem? — zapytała jedna z pań.

— Nie ujrzała go więcej.

— Och! — rzekła ta sama pani.

Ponieważ nasz przyjaciel zaraz nas opuścił, było to jedyne dalsze ważne słowo wypowiedziane o tej sprawie. Dopiero następnego wieczoru, siedząc w wygodnym krześle w kąci-ku przy kominku, otworzył cienki, staroświecki notatnik w czerwonej, wypłowiałej oprawie, o złotych brzegach. Opowiadanie zajęło nam oczywiście więcej niż jeden wieczór. Przy pierwszej okazji ta sama pani zadała jeszcze jedno pytanie:

— Jak pan to zatytułował?

— Nie dawałem żadnego tytułu.

— Och — powiedziałem — ja mam tytuł!

Lecz Douglas, nie zwracając na mnie uwagi, zaczął czytać głośno i wyraźnie, jak gdyby samym głosem pragnął odtworzyć piękny charakter pisma autorki.

ROZDZIAŁ I

Pamiętam, że wszystko rozpoczęło się szeregiem kolejnych wzlotów i upadków, jak gdyby huśtawką, o ruchach na przemian właściwych i błędnych. Kiedy w mieście wstałam z rana, by przystąpić do spełnienia jego prośby, nie przewidywałam, że czekają mnie w każdym razie jeszcze dwa bardzo przykre dni — poczułam też, jak moje wahania zaczęły się budzić od nowa, a nawet byłam przekonana, że popełniłam błąd. W takim też nastroju spędziłam długie godziny, objijając się w rozkołysanym dylizansie, który mnie unosił do miejsca, gdzie miał na mnie oczekiwać pojazd ze dworu. Zostałam powiadomiona, że to udogodnienie zostało, z góry zarządzone i w późne popołudnie czerwcowe znalazłam się przed wygodnym jednokonnym zaprzęgiem, który tam na mnie czekał. Przejazdźka o tej porze, w śliczny dzień, przez okolice, z których słodycz lata niosła z sobą przyjazne powitanie, ożywiła mój hart, a kiedy skręciliśmy w aleję, czułam się podniesiona na duchu tak dalece, iż przyjąć to można było za dowód, do jakiego stopnia byłam poprzednio przygnębiona. Spodziewałam się lub też obawiałam się czegoś tak posepnego, że widok, który mnie powitał, okazał się nader przyjemną niespodzianką. Pamiętam, jak miłe wrażenie zrobił na mnie rozległy, jasny front budynku, otwarte okna, świeże firanki i dwie dziewczyny wyglądające z ciekawością. Pamiętam zielony trawnik i jaskrawe kwiaty, i skrzypienie kół po żwirze, splecione wierzchołki drzew, ponad którymi kraczące wrony zataczały koła na złotym tle nieba. Widok, jaki się roztoczył przede mną, tchnął jakąś wspaniałością i bardzo się różnił od obrazu mizernego domku, w którym dotąd mieszkalam. Zaraz też ukazała się w drzwiach, prowadząc za rękę małą dziewczynkę, jakaś grzeczna osoba, która dygnęła przede mną z takim szacunkiem, jak gdybym była panią tego domu lub jakimś znakomitym gościem. Po opisie, jaki otrzymałam na Harley Street, wyobrażałam sobie, że miejsce to będzie daleko skromniejsze, i teraz gdy sobie to przypominałam, właściciel tego domu jeszcze bardziej urósł w moich oczach, przy czym nasunęła mi się myśl, że zadowolenie z mojego pobytu tutaj przerośnie, być może, wszelkie jego obietnice.

W ciągu następnych kilku godzin byłam tak przejęta poznaniem mej wychowanki, młodszej wiekiem od chłopca, że dopiero nazajutrz ogarnęło mnie znów przygnębienie. Dziewczynka, która towarzyszyła pani Grose, była stworzeniem tak czarującym, iż z miejsca byłam przekonana, że wygrałam wielki los, mając z nią do czynienia. Była najpiękniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek widziałam, i dziwiłam się potem, dlaczego mój chlebodawca nie zwracał mi na to więcej uwagi. Tej nocy mało spałam — odczuwałam zbyt wielkie podniecenie. Jak sobie przypominam, dziwiła mnie ta serdeczność, z jaką zostałam przyjęta. Uczucie to nie tylko mnie nie opuszczało, ale jeszcze się potęgowało. Obszerny, imponujący pokój, jeden z najokazalszych w całym domu, wielkie, królewskie, jak mi się wówczas wydawało, łóżko, sute draperie, wysokie lustra, w których po raz pierwszy mogłam się przejrzeć od stóp do głów, wszystko to, podobnie jak niezwykle urok mojej wychowanki oraz cały szereg innych rzeczy, wywarło na mnie wrażenie. Poza tym mimo obaw, jakie mnie ogarniały w czasie jazdy dylizansem, już przy pierwszym spotkaniu uświadomiłam sobie, że pozyskałam w pani Grose przyjaciela. W rzeczywistości jedyną oznaką, która na przyszłość mogła napawać mnie pewnym lękiem, było to, że przywitała mnie z nadmierną radością. Już w ciągu pół godziny wyczułam, że ta tęga, prosta, niezbyt urodziwa, schludna i zdrowa kobieta ucieszyła się tak bardzo, że wyraźnie musiała się kryć, by tego zanadto nie okazywać. Nawet dziwiłam się trochę, dlaczego nie chce się z tym zdradzić, i to spostrzeżenie, gdybym się głębiej nad tym zastanawiała i gdybym była bardziej podejrzliwa, mogłoby rzeczywiście wzbudzić we mnie niepokój.

Lecz pocieszałam się, że żadne wątpliwości nie mogą wchodzić w rachubę w związku z czymś tak błogim, jak promienny widok mojej dziewczynki, której anielska piękność wciąż stała mi przed oczami, i w tym zapewne tkwiła główna przyczyna mojej bezsenności, co sprawiło, że przed samym świtaniem wstawałam kilka razy i kręciłam się po pokoju, rozmyślając o wszystkim, co tutaj zobaczyłam i co mnie tu czeka. Obserwowałam przez otwarte okno, jak świta powoli letni dzień, przyglądałam się tym partiom domu, które mogłam ogarnąć wzrokiem, a gdy w rozprasającym się mroku poczęły świergotać pierwsze ptaki, zaczęłam nasłuchiwać, czy nie powtórzy się ten odgłos lub dwa, który, jak mi się zdawało, usłyszałam nie tyle z zewnątrz, lecz z wnętrza domu. Był taki moment, kiedy przysiąc bym mogła, że słyszałam słaby i daleki płacz dziecka, a w następnej chwili omal się nie poderwałam, spłoszona lekkimi krokami w korytarzu obok moich drzwi. Te urojenia zaznaczyły się jednak zbyt słabo, by ich nie odrzucić, i dopiero w świetle, a raczej — winnam powiedzieć — w pomroce, innych rzeczy powiązanych ze sobą, stanęły na nowo przed moimi oczami. Byłam jak najbardziej przekonana, że opieka nad małą Florą, nauczanie i „kształtowanie” jej uczynią mój żywot tutaj pożytecznym i szczęśliwym. Ustaliłyśmy, że wyłączając pierwszą noc, dziewczynka będzie oczywiście spała u mnie. Białe łóżeczko zostało już w tym celu wstawione do mego pokoju. Podjęłam się przecież całkowitej opieki nad dzieckiem. Dziewczynka tej nocy spała jeszcze — po raz ostatni — w pokoju pani Grose, bo zdawałyśmy sobie sprawę z tego, jak bezsprzecznie muszę się jej wydawać obcą, tym bardziej, że była z natury nieśmiała. Pomimo tej nieśmiałości — do której dziecko przyznało się samo w najbardziej niezwykle sposób w świecie z zupełną szczerością i odwagą, zezwalając nam, bez najmniejszej oznaki niezadowolenia, z rzeczywiście głęboką, słodką pogodą ducha świętych dzieciątek Rafaela, dyskutować o tym, co mu wolno, a czego nie wolno, decydować o nim i krytykować je — byłam zupełnie pewna, że z czasem mnie polubi. Polubiłam już trochę i panią Grose, dlatego że dostrzegłam radość, jaką sprawiały jej mój zachwyt i podziw, kiedy siedziałam przy kolacji w blasku czterech wysokich świec z moją wychowanką usadowioną na wysokim krześle, z serwetką wokół szyi, spozierającą ku mnie sponad mleka i chleba z żywym zainteresowaniem. Oczywiście, o pewnych sprawach można było mówić w obecności Flory tylko poprzez wymianę spojrzeń nasyconych zdumieniem i zachwytem, poprzez niejasne i przenośne aluzje.

— A chłopczyk... czy jest podobny do niej? Czy jest też tak niezwykle?

Nie można było, jak uzgodniłyśmy to cichaczem między sobą, pochlebiać dziecku zanadto.

— Och, miss, on jest naprawdę niezwykle. Jeżeli dziewczynka się pani spodobała... — rzekła, stojąc z talerzem w ręku i darząc rozpromienionym wzrokiem naszą małą współbiesiadniczkę, która spoglądała bądź na nią, bądź też na mnie niebiańskimi, pełnymi spokoju oczami, pozbawionymi jakiegokolwiek wyrazu, który mógłby nas krępować.

— Tak, jeżeli więc dziewczynka...?

— To ten mały džentelmen podbije panią całkowicie!

— No, po to, zdaje się, tutaj przybyłam, by zostać zawojowana. Obawiam się jednakże — pamiętam, dodałam pod wpływem impulsu — że mnie łatwo można zawojować. Zawojowana zostałam już w Londynie!

Dotąd jeszcze widzę rozjaśnione oblicze pani Grose w chwili, kiedy to usłyszała.

— Na Harley Street?

— Na Harley Street.

— No cóż, miss, nie jest pani pierwsza... i nie będzie pani ostatnia.

— Och, nie mam o to pretensji — powiedziałam rozbawiona — bym miała być jedyna. W każdym razie, o ile zrozumiałam, chłopiec wraca do domu jutro?

— Nie jutro, miss, w piątek. Przyjedzie dyliżansem, tak jak pani, pod opieką poczytylna, i czekać będzie na niego ten sam powóz.

Pragnęłam się zaraz dowiedzieć, czy wypada oraz czy będzie to mile i po przyjacielsku,

jeżeli będę go oczekiwać razem z jego siostrzyczką w chwili przyjazdu dyliżansu. Pani Grose zgodziła się na tę propozycję z taką wylewnością, że w pewnym sensie dopatrzyłam się w jej zachowaniu napawającej otuchą rękojmi — dzięki Bogu nigdy niezawodnej — iż w każdej sprawie panować będzie między nami niewzruszona jednomyślność. Och, jakże była rada, że tam przybyłam!

To, co odczułam następnego dnia, nie miało, moim zdaniem, nic wspólnego z czymś, co słusznie można by nazwać reakcją na radosny nastrój z okazji mojego przyjazdu. Był to zapewne co najwyżej lekki stan przygnębienia, spowodowany pełniejszą oceną proporcji nowych warunków życiowych, gdy je z bliska poznałam i dostosowałam się do nich. Miały one — jak by nie było — zasięg i ciężar gatunkowy, do których nie byłam przygotowana; na nowo też poczułam się trochę wystraszona, lecz niemniej trochę dumna, gdy stanęłam z nimi oko w oko. Regularny rozkład lekcji w tym stanie wzburzenia musiał nieco ucierpieć. Doszłam do wniosku, że moim pierwszym obowiązkiem będzie pozyskanie zaufania dziecka w sensie oswojenia go ze mną poprzez najłagodniejsze postępowanie, na jakie potrafię się zdobyć.

Dzień spędziłam z Florą na powietrzu; umówiłam się z nią, ku jej wielkiemu zadowoleniu, że ona, tylko ona, pokaże mi dom. Pokazywała mi go krok po kroku, pokój za pokojem i sekret za sekretem, przy akompaniamencie zabawnego, zachwycającego dziecięcego szczebiotu i w rezultacie w ciągu pół godziny zawarłyśmy dozgonną przyjaźń. Pomimo jej młodego wieku uderzyły mnie u niej w ciągu tej krótkiej wędrówki jej pewność i odwaga, jej zręczność, z jaką poruszała się po pustych komnatach i mrocznych korytarzach, po koślawych schodach, na których sama musiałam przystawać. Nawet na szczycie starej kwadratowej wieży z machikułami *, gdzie zakręciło mi się w głowie, jej radosne szczebiotanie, jej zapał do opowiadania tylu jeszcze innych rzeczy poza tymi, o które ja zapytywałam, rozbrzmiewał i prowadził mnie za sobą. Od dnia mojego wyjazdu już nigdy nie oglądałam Bly. Śmiem jednak twierdzić, że teraz, kiedy moje dojrzałe doświadczeniem oczy ujrzałyby Bly na nowo, siedziba ta przedstawiałaby się daleko mniej okazale. Lecz gdy mała, złotowłosa przewodniczka w niebieskiej sukience płaśała przede mną na zakrętach, z tupotem przebiegała korytarze, miałam wizję romantycznego zamku, siedziby różanego duszka, zakątka, który dla ożywienia młodej wyobraźni zaćmił wszelkie baśnie i opowieści. A czy nie była to tylko opowieść, nad którą zdrzemnęłam się i śniłam? Nie; była to obszerna siedziba, staroświecka, brzydka, lecz wygodna, zawierająca elementy jakiejś starszej jeszcze budowli, na wpół opustoszała, na wpół zamieszkała, w której, zdawało się nieomal, byliśmy zagubieni jak garstka pasażerów na wielkim okręcie. A ja, o dziwo, byłam przy sterze.

ROZDZIAŁ II

Zaczęłam to sobie uświadamiać w dwa dni później, kiedy jechałam z Florą na spotkanie małego panicza, jak nazywała go pani Grose; a jeszcze bardziej, gdy następnego wieczoru wydarzyło się coś, co mnie głęboko zaniepokoiło. Jak już wspomniałam, w pierwszym dniu wszystko zapowiadało się jak najlepiej, lecz już wkrótce miałam się przekonać, że coś się tu zaczyna zmieniać na gorsze. Wieczorna poczta przyszła tym razem późno — i przyniosła list dla mnie, który jednakże prócz kartki nakreślonej ręką mego chlebobawcy zawierał jeszcze drugi list, zaadresowany do niego, z nienaruszoną pieczęcią.

* Wystające podpory w górnej części murów obronnych i wież z otworami służącymi do wyrzucania pocisków.

List, jak poznaję, nadany został przez kierownika szkoły, a kierownik to okropny nudziarz. Niech pani to, proszę, przeczyta i niech pani się tym zajmie, lecz proszę pamiętać, że nie chcę o niczym słyszeć. Ani słowa. Wyjeżdżam!

Zerwałam pieczęć z wielką niechęcią, odwołując ten moment jak najdłużej. W końcu zabrałam nie otwarty list do mego pokoju i dopiero tuż przed pójściem do łóżka zmusiłam się, by go przeczytać. Byłoby lepiej, gdybym poczekała z tym do rana, ponieważ jego treść przyprowadziła mnie o drugą bezsenność. Ponieważ nie miałam się kogo poradzić, czułam się na jutro bardzo przygnębiona i w końcu, nie mogąc dłużej znieść takiego stanu, postanowiłam zwierzyć się przynajmniej pani Grose.

— Co to znaczy? Dziecko jest wydalone ze szkoły.

Popatrzyła na mnie wzrokiem, w którym zauważyłam coś szczególnego; lecz natychmiast z najwyraźniej udaną obojętnością próbowała to zamaskować.

— Ale czyż ich wszystkich nie...?

— Odsyłają do domu... tak. Lecz tylko na okres wakacji. Miles nie może już tam nigdy wrócić.

Poczerwieniła, czując, że ją obserwuję.

— Nie chcą go przyjąć?

— Nie chcą go absolutnie widzieć.

Teraz spojrzała na mnie, choć przedtem unikała mego wzroku; zobaczyłam w jej oczach łzy szczerzego żalu.

— Co on takiego zrobił?

Nie wiedziałam, co jej powiedzieć; potem uznałam, że najlepiej będzie, jeżeli wręcę jej list, co wywarło jednak ten skutek, że nie dotykając go nawet, schowała ręce za siebie. Potrząsnęła smutno głową:

— Och, takie rzeczy to już nie dla mnie.

Mój „doradca” nie umiał czytać! Wzdrygnęłam się, widząc, że popełniłam błąd, który trzeba było jakoś naprawić; znów otworzyłam list, by ją zaznajomić z jego treścią; potem jednak ogarnęły mnie wątpliwości, złożyłam więc list z powrotem i wsunęłam do kieszeni.

— Czy on rzeczywiście ma tak zły charakter?

Wciąż jeszcze miała łzy w oczach.

— Czy ci panowie tak twierdzą?

— Nie wdają się w żadne szczegóły. Wyrażają po prostu ubolewanie i stwierdzają, że w żadnym wypadku nie mogą go zatrzymać. To może oznaczać tylko jedno.

Pani Grose patrzyła na mnie jak oniemiała. Nie zapytała nawet, o co w takim razie chodzi, tak że w końcu, by jej to bardziej przystępnie wyjaśnić, a równocześnie czując, iż sama jej obecność dodaje mi otuchy, dorzuciłam:

— Napisali jeszcze, że psuje innych.

Na to, z odruchem charakterystycznym u prostych ludzi, zaperzyła się:

— Nasz panicz! On by miał psuć innych?

Zawrzała po prostu świętym oburzeniem, co tak na mnie podziało, że chociaż nie widziałam dotąd tego dziecka, moje obawy wydały mi się naraz śmieszne i absurdalne.

— Psuje rzekomo swoich biednych, niewinnych kolegów! — dodałam natychmiast z sarkazmem, by ją sprowokować.

— To zbyt okropne — wykrzyknęła pani Grose — to okrucieństwo mówić takie rzeczy! Przecież on ma zaledwie dziesięć lat.

— Tak, tak; trudno wprost w to uwierzyć.

Zauważyłam, że moje przytakiwanie sprawiło jej przyjemność.

— Niech pani go najpierw zobaczy, potem niech pani osądzi!

Niecierpliwość ogarnęła mnie na nowo, chciałabym ujrzeć go jak najprędzej. Był to początek zaciekawienia, które w niedługim czasie pogłębić się miało prawie aż do bólu. Pani Grose, wywnioskowałam, była świadoma tego, jak mnie jej słowa poruszyły, i ciągnęła dalej, pewna swego:

— Równie dobrze mogłaby pani podejrzewać o to także panienkę. Kochane dziecko — dodała — niech pani tylko na nią popatrzy.

Odwrociłam się i spostrzegłam, że Flora, którą dziesięć minut temu pozostawiłam w pokoju szkolnym z ołówkiem nad arkuszem białego papieru i wzorcem pięknie zaokrąglonych liter O, stała teraz przed nami w otwartych drzwiach. Na swój dziecięcy sposób wyrażała zadziwiającą wprost obojętność wobec nieprzyjemnych obowiązków dnia. Spoglądała na mnie z wielką niewinną jasnością, w czym można się było niewątpliwie dopatrzeć skutków uczucia, jakim darzyła moją osobę i jakie zmusiło ją do podążenia za mną. Niczego więcej nie było mi potrzebna, jak właśnie tego, by odczuć całą siłę argumentów pani Grose, pochwyciłam ją w ramiona i okryłam ją pocałunkami, przy czym z piersi wyrwał mi się szloch pełen skruchy.

Niemniej jednak przez resztę dnia czekałam na nową okazję, by porozmawiać z moją koleżanką, szczególnie kiedy pod wieczór zdawało mi się, że stara się mnie unikać.

Dogoniłam ją, pamiętam, na klatce schodowej; zeszyliśmy razem i przytrzymałam ją na dole, kładąc jej dłoń na ramieniu

— Uważam, że to co mi pani w południe powiedziała, należy przyjąć jako zapewnienie, iż nic pani nie wiadomo o jakichkolwiek jego złych skłonnościach.

Podniosła głowę do góry. Widać było jasno, że obecnie już zajęła z całą uczciwością pewne stanowisko.

— Och, że nigdy nic nie zauważyłam, tego wcale nie twierdzę!

Zaniepokoiłam się na nowo.

— A więc wiedziała pani, że on...?

— Ależ oczywiście, miss, dzięki Bogu!

Zgodziłam się z nią po namyśle.

— Pani chciała powiedzieć, że ten, który nigdy nic nie...

— Nie jest według mnie mężczyzną!

Przytrzymałam ją jeszcze mocniej.

— Pani woli raczej takich, którzy lubią psocić — i dorzuciłam skwapliwie, nie chcąc pozostać w tyle za jej odpowiedzią — ja również! Lecz nie do tego stopnia, by demoralizować innych...

— Demoralizować?

Użyte przeze mnie słowo wprawiło ją w zakłopotanie!

— Psuć — wyjaśniłam.

Wytrzeszczyła oczy, rozważając znaczenie tego, co jej powiedziałam, lecz zdobyła się tylko na śmiech dziwnie nienaturalny.

— Czyżby się pani obawiała, że on panią zepsuje?

Zaprawiła to pytanie tak świetną dozą zdrowego humoru, że nie chcąc przynajmniej tymczasem narażać się na śmieszność, nie pozostało mi nic innego, jak też się roześmiać, z pewnością nieco niemądrze.

Następnego dnia jednak, gdy zbliżyła się pora wyjazdu, podeszłam ją z innej strony:

— Co to była za pani, która tu była przedtem?

— Poprzednia guwernantka? Była także młoda i ładna, niemal tak młoda i tak ładna jak pani.

Pamiętam, że odpowiedziałam:

— Ach, wobec tego przypuszczam, że młody wiek i uroda pomogły jej w pracy. On, zdaje się, lubi, gdy jesteśmy młode i ładne.

— Och, tak było w istocie — potwierdziła pani Grose — jemu zawsze się takie podobają.

Zaledwie to powiedziała, a już chciała się wycofać.

— Mam na myśli, że to jego zwyczaj, naszego pana.

Zdrętwiałam.

— O kimże więc pani mówiła z początku? — zapytałam.

Nie okazała niczego po sobie, lecz poczerwieniała.

— No, przecież o nim.

— O panu?

— A o kimże?

Było to tak oczywiste, że tylko jego miała na myśli, iż na chwilę otrząsnęłam się z wrażenia, jakie odniosłam, kiedy wydawało mi się, że niechcący powiedziała więcej, niż zamierzała; poprosiłam więc tylko o pewne wyjaśnienia.

— Czy ona zauważyła coś u chłopca...?

— Niestosownego? Nigdy mi o tym nie mówiła:

Miałam pewne skrupuły, lecz przewyciężyłam je.

— Czy troszczyła się... czy zwracała uwagę?

Pani Grose przyjęła postawę wielce skupioną.

— Na niektóre rzeczy, owszem.

— Lecz nie na wszystkie?

Zastanowiła się ponownie.

— No, widzi pani... jej tutaj już nie ma. Nie będę robię plotek.

— Doskonale, rozumiem pani uczucia — odpowiedziałam spieszenie; pomyślałam jednak w chwilę później, że to ustępstwo nie stanowi przeszkody, bym nie mogła pytać dalej:

— Czy ona tutaj umarła?

— Nie... wyjechała stąd

Nie wiem czemu, lecz związała odpowiedź pani Grose nosiła jakieś znamię dwuznaczności, co mnie uderzyło,

— A więc wyjechała, aby umrzeć stąd z dala?

Pani Grose spoglądała przez okno przed siebie, doszłam jednak do wniosku, że mam chyba prawo dowiedzieć się, czego się wymaga od młodych osób zatrudnionych w Bly.

— Chce pani powiedzieć, że zachorowała i pojechała do domu?

— Tutaj, w tym domu, o ile mi wiadomo, nie chorowała. Opuściła nas pod koniec roku, aby udać się do domu, jak twierdziła, na krótki wypoczynek, do czego okres, jaki tu spędziła, z pewnością ją upoważnił. Potem mieliśmy pewną młodą kobietę, niańkę, która już pozostała i która okazała się dziewczyną uczciwą i rozumną; w tym czasie ona wyłącznie zajmowała się dziećmi. Nasza młoda pani jednak nigdy już nie powróciła i wtedy właśnie, kiedy jej się spodziewałam, dowiedziałam się od pana, że umarła.

Przez chwilę to rozważałam.

— Ale na co?

— Nigdy mi tego nie powiedział. Lecz, proszę pani — rzekła pani Grose — ja muszę już wrócić do mojej pracy.

ROZDZIAŁ III

Na szczęście nie był to z jej strony żaden odruch zniecierpliwienia wobec mojej usprawiedliwionej ciekawości i bynajmniej nie umniejszył tego szacunku, z jakim odnosiłyśmy się

do siebie. Kiedy przywiozłam małego Milesa do domu, zażyłość między mną a panią Grose jeszcze się wzmogła, do czego przyczyniło się moje oszołomienie, moje ogólne wzburzenie: odmowę przyjęcia do szkoły takiego dziecka, jak to, które ujrzałam na własne oczy, byłam wówczas gotowa nazwać czymś potwornym. Spóźniłam się nieco i nie mogłam być świadkiem jego przyjazdu. Gdy bacznie wypatrywał mnie, stojąc przed drzwiami gospody, dokąd przywiózł go dylizans, uczułam natychmiast, że przeniknęłam go na wskroś: tchnęła z niego ta sama świeżość i promieniował ten sam blask niewinności, który uderzył mnie, kiedy po raz pierwszy ujrzałam jego siostrzyczkę. Był niewiarygodnie piękny i pani Grose w niczym nie przesadziła: gdy pojawiał się przed nami, zapominaliśmy o wszystkim i ogarniało nas jakieś ciepłe uczucie tliwości. Było w nim coś anielskiego, czego w tym stopniu nie zauważyłam nigdy u innych dzieci, a co podbiło z miejsca moje serce — ów wdzięk nie dający się opisać, znamieny dla dziecka, które na świecie nie zaznało jeszcze niczego prócz miłości. Zdawało się rzeczą niemożliwą, by można nosić piętno złej opinii z większą słodyczą i niewinnością; toteż kiedy powróciłam z nim razem do Bly, byłam jedynie oszołomiona — bo oburzona na razie nie byłam — treścią owego listu, zamkniętego na klucz w jednej z szuflad w moim pokoju. Gdy tylko mogłam zamienić kilka słów z panią Grose na osobności, oświadczyłam jej, że treść listu zakrawa wprost na groteskę.

Szybko mnie zrozumiała:

— Pani ma na myśli te nikczemne zarzuty...?

— To nie wytrzymuje krytyki. Moja droga, niech pani tylko na niego popatrzy!

Uśmiechnęła się, słysząc, jak przypisuję sobie zasługę odkrycia jego wdzięku.

— Zapewniam panią, że nic innego nie robię — i dodała zaraz: — Cóż więc pani odpowie?

— Na ten list — zdecydowałam się — ani słowa.

— A jego wujowi?

— Ani słowa — uciełam stanowczo.

— A co pani powie samemu chłopcu?

— Ani słowa — rzekłam. Podziwiałam swoją stanowczość.

Zamaszyście otarła fartuchem usta.

— Może więc pani na mnie polegać. Poradzimy sobie z tym.

— Poradzimy sobie! - - zawtórowałam z zapalem, podając jej dłoń na znak przymierza.

Przytrzymała ją przez chwilę, po czym wolną ręką znowu podniosła fartuch do góry.

— Czy nie obrazi się pani, jeśli sobie pozwolę...

— Pocałować się ze mną? Ależ nie! — odparłam i wzięłam pocziwinę w ramiona, a kiedy uściskałyśmy się jak siostry, poczułam się jeszcze bardziej podniesiona na duchu i jeszcze bardziej oburzona.

Tyle więc, jeśli chodzi o ówczesny okres: okres tak bogaty we wrażenia, że wspominając jego kolejne fazy, uświadamiam sobie, ile umiejętności mi teraz trzeba, aby go choć trochę jaśniej odtworzyć. Gdy sięgam wzrokiem w przeszłość, nie mogę się wprost nadziwić, jak mogłam się zgodzić na takie warunki. Podjęłam się tego zadania z pomocą mej współtowarzyszki i znajdowałam się zapewne pod wpływem uroku, zdolnego wygładzić wszelkie trudności, bliskie i dalekie, związane z pełnieniem tego rodzaju obowiązków. Poniosła mnie wielka fala zaślepienia i litości. Przy całej mojej niewiedzy i braku orientacji oraz, być może, zbytnej pewności siebie, sądziłam po prostu, że poradzę sobie łatwo z chłopcem, którego przygotowanie do wejścia w świat zostało dopiero zapoczątkowane. Nie potrafiłabym już dzisiaj przypomnieć sobie tych planów, które układałam, a które odnosiły się do końcowego okresu jego wakacji i do podjęcia nauki na nowo. Miałam go oczywiście uczyć przez całe to cudowne lato, jak to uzgodniłyśmy między sobą. Dziś mi się jednak wydaje, że to raczej ja się uczyłam przez szereg tygodni. Nauczyłam się czegoś — z początku w każdym razie — co było mi nie znane wówczas, kiedy sama pobierałam nauki w latach mej nieciekawej, przyga-

słej młodości; nauczyłam się cieszyć, a nawet rozweselać innych i nie myśleć o jutrze. Po raz pierwszy w pewnym sensie poznałam, czym jest przestrzeń, powietrze i swoboda, czym jest cała muzyka lata i pełnia tajemnic przyrody. A do tego doszły jeszcze rozmyślanie, a rozmyślanie nasycone było słodyczą. Och, to była pułapka — nie zamierzona, lecz głęboka — na mą wyobraźnię, na mą wrażliwość, być może, nawet na mą próżność i wszystko to, na co byłam najbardziej podatna. Przedstawię to może najjaśniej, gdy powiem, że zapomniałam o ostrożności.

Sprawyły mi tak mało kłopotu, były tak przemiłe. Lubiłam dociekać — lecz i to czyniłam w jakiś mglisty, oderwany sposób jak potraktuje je nielitościwa przyszłość (bo każda przyszłość jest nielitościwa!) i jaki cios może im ona zadać. Dzieci rozkwitały w zdrowiu i szczęściu, a jednak, tak jak gdyby powierzono mi losy pary małych grandów czy książąt krwi, dla których wszystko — bo tak wypada — powinno być odmierzone, uporządkowane i z góry przygotowane, nie potrafiłam wyobrazić sobie ich przyszłości inaczej, jak w formie jakiegoś romantycznego, iście królewskiego ogrodu i parku, który nie ma granic. Być może, oczywiście, że właśnie to, co tak nagle wdarło się w nasze życie, nadało minionym dniom urok ciszy — ciszy przed burzą, w której coś nabrzmiwa lub czai się. Zmiana przyszła tak nagle, jak skok bestii.

W pierwszych tygodniach dni były długie. Często, gdy były wyjątkowo piękne, użyczały mi tego, co zwykle nazywałam swoją godziną. Była to godzina po nadejściu i przejściu pory przeznaczanej dla moich wychowanków na lekcję i udanie się na spoczynek, godzina, która przynosiła mi chwilę samotności, przedtem nim sama udawałam się ostatecznie na spoczynek. Choć tak bardzo lubiłam przebywać w towarzystwie moich wychowanków, w rzeczywistości spośród całego dnia najbardziej ceniłam tę godzinę. Upodobałam sobie szczególnie tę chwilę, kiedy światłość dzienna już się zacierała lub — należałoby raczej powiedzieć — kiedy dzień jeszcze nie zamarł, a od starych drzew, spod zarumienionych obłoków dolatywały ostatnie nawoływania ostatnich ptaków. Wtedy mogłam udać się na przechadzkę i niemal w poczuciu własności tego, co mnie otacza, poczuciu, które mnie bawiło i schlebowało mi zarazem, upajać się pięknnością i powagą tego miejsca. Ileż radości sprawiały mi te chwile, gdy byłam przepojona pogodą ducha i przekonana o słuszności tego, co zrobiłam. Ileż szczęścia przeżywałam, rozmyślając przy tym, jak dzięki mej dyskrecji, dzięki memu spokojnemu zdrowemu rozsądkowi i ogólnym zaletom charakteru — czy on kiedykolwiek o tym pomyślał! — sprawiałam przyjemność osobie, która narzuciła mi swoją wolę. Robiłam wszystko, czego ode mnie tak bardzo się spodziewał i osobiście domagał, a to, że potrafiłam dać sobie radę, zwiększyło moją radość bardziej, niż przypuszczałam. Śmiem twierdzić, iż wydawało mi się po prostu, że jestem młodą, niezwykłą kobietą, i pocieszałam się nadzieją, że kiedyś znajdę większe uznanie. Ale doprawdy, potrzeba mi było stanowczo tej niezwykłości, by przeciwstawić się niezwykłym rzeczom, które dopiero teraz dały znak o sobie po raz pierwszy.

Było to akurat pewnego popołudnia o tej właśnie porze: dzieci już leżały otulone w kołderki, ja zaś wyszłam na swoją zwykłą przechadzkę. Wśród wielu różnych myśli jedna prześladowała mnie szczególnie i nie staram się jej bynajmniej ukryć, bowiem towarzyszyła mi stale podczas tych wędrówek: myśl, że gdybym się nagle na kogoś natknęła, to byłoby to wydarzenie tak samo urzekające, jak jakaś czarowna baśń. Gdyby ktoś zjawił się na zakręcie ścieżki, stanął przede mną i uśmiechał się do mnie z aprobatą... Pragnęłam tylko tego, by o mnie wiedział; a przekonać się o tym mogłabym tylko wówczas, gdybym go ujrzała i zauważyła życzliwość malującą się na jego przystojnej twarzy. I otóż stało się: twarz nagle się zjawiła. To pierwsze spotkanie zdarzyło się pod koniec długiego czerwcowego dnia, gdy wynurzając się z jakiejś grupy krzewów i mając dom przed oczami, stanęłam jak wryta. Tym, co unieruchomiło mnie tak nagle i wstrząsnęło w daleko większym stopniu, niż to sobie wyobrażałam było przekonanie, że moje marzenie przyoblekło w mgnieniu oka realne kształty. On stał tam! — wyżej co prawda, poza trawnikiem i na samym szczycie wieży, dokąd zaraz

pierwszego dnia zaprowadziła mnie mała Flora. Wieża ta była jedną z dwóch czworokątnych, nedorzecznych budowli, opatrzonych blankami, spośród których wyróżniano, choć nie widziałam między nimi większych różnic, nową i starą wieżę. Wieże te wznosiły się po obu narożnikach domu, przeciwległe do siebie, i należały zapewne do dziwactw architektury usprawiedliwionych w pewnej mierze jeszcze niezbyt pretensjonalną wysokością, a ich wiek, sztucznie im nadany, datował się z okresu nawrotu romantyzmu, należącego już do czcigodnej przeszłości. Zawsze je podziwiałam, łączyłam z nimi różne marzenia, bo w pewnym sensie można było z nich czerpać natchnienie, zwłaszcza kiedy majaczyły w mroku, we wspaniałości swoich rzeczywiście obronnych blanków. Postać jednak, którą tyle razy przyzywałam, na tej wysokości wydawała mi się nie na miejscu.

Pamiętam, że widok owej postaci w cichej atmosferze zmierzchu przyprawił mnie o dwa kolejne dreszcze emocji, które wyraźnie ujawniły ów szok, jakiego doznałam, będąc zaskoczona najpierw raz a potem drugi. Drugą niespodzianką była nagła świadomość omyłki, jaką popełniłam początkowo: człowiek, który zatrzymał mój wzrok, nie miał nic wspólnego z osobą, którą sobie zbyt pochopnie wyobraziłam. Tak oto nastąpiło u mnie jakieś pomieszanie wizji, której teraz, po tylu latach, nie silę się odtworzyć, bo nie da się tego porównać z niczym, co w życiu się zdarza. Obcy człowiek w odludnym miejscu stanowi dla młodej, nie znającej życia kobiety zupełnie uzasadniony przedmiot bojaźni. A ta postać, stojąca naprzeciwko, była — o czym upewniłam się w ciągu kilku następnych sekund — tak mało podobna do jakiegokolwiek znanej mi osoby, jak ów wizerunek, który stworzyłam sobie w wyobraźni. Nie widziałam jej na Harley Street, nie widziałam jej też nigdzie indziej. Samo miejsce w dodatku, w najdziwniejszy sposób w świecie, stało się dla mnie od razu i wyłącznie z przyczyny pojawienia się tej postaci jak gdyby wymarłe. Dla mnie przynajmniej, gdy piszę to oświadczenie z rozważą, na jaką jeszcze nigdy się nie zdobyłam, powraca pełne wycucie tej chwili. Wydawało się, że gdy usiłowałam pojąć to, co pojąć musiałam, całe moje otoczenie zostało porażone śmiercią. I znowu, gdy piszę te słowa, wydaje mi się, że słyszę tę ciszę bezmierną, w którą zapadły odgłosy wieczoru. Ustało krakanie wron na złotym niebie, a ulubiona przeze mnie godzina straciła w ciągu tej nie dającej się opisać chwili całą swoją wymowę. Poza tym jednak nic się w przyrodzie nie zmieniło, chyba że zaszła jakaś zmiana, która tylko w moich oczach nabrała szczególniejszej ostrości. Niebo było nadal powleczone złotem, powietrze przezroczyste, a człowiek przypatrujący mi się spoza obronnych blanków wieży odcinał się wyraźnie jak portret oprawiony w ramę. Tak oto przebiegałam myślami z szybkością błyskawicy każdą z osób, która mogłaby nim być, a która nim nie była. Staliśmy zwróceniu ku sobie, jednakże tak daleko od siebie, że musiałam zadawać sobie gorączkowe pytanie, kim był ów człowiek, i odczuwać jednocześnie jakieś zdziwienie, które w kilka chwil potem przybrało jeszcze na sile, ponieważ nie mogłam znaleźć odpowiedzi.

Wiem, że najbardziej znamienym pytaniem, czy też jednym z nich, stało się — w odniesieniu do pewnych rzeczy — pytanie, jak długo to wszystko trwało. Otóż całe to zajście, myślcie sobie o nim, co chcecie trwało tak długo, że mogłam rozważyć szereg możliwości, z których żadna nie wydawała mi się lepsza od innej, by stwierdzić, czy wśród osób przebywających w domu nie ma takiej — a przede wszystkim od kiedy? — której bym jeszcze nie znała. Trwało i wówczas, kiedy zżymałam się trochę, przekonana, że z racji mego stanowiska miałam chyba prawo domagać się, by nie pozostawiano mnie w takiej nieświadomości, i że takiej osoby być tutaj nie powinno. Trwało wówczas, kiedy ten przybysz, jak gdyby mierzył mnie ze swego miejsca wzrokiem, w którym kryła się owa badawcza, dostrzegalna w zanikającym świetle dociekliwość, wyrażająca właśnie to pytanie, które sama jego obecność prowokowała. Brak kapelusza na głowie, o ile sobie przypominam, świadczył o pewnej zażyłości i robił wrażenie jakiejś dziwnej swobody. Dzieliła nas zbyt wielka odległość, abyśmy mogli odezwać się do siebie, ale nastąpiła taka chwila, że na krótszy dystans jakieś zaczepne, przerywające ciszę zawołanie któregoś z nas byłoby właściwym następstwem tego wzajemnego

mierzenia się wzrokiem. Stał sztywno wyprostowany — było to bardzo znamienne — w jednym z bardziej oddalonych od samego budynku narożników wieży, a jego ręce spoczywały na parapecie. Widziałam go tak, jak widzę litery, które piszę na tym papierze. Potem, dokładnie po upływie minuty, jak gdyby dla spotęgowania wrażenia, zmienił powoli miejsce — przeszedł, wciąż patrząc na mnie uparcie, do przeciwległego narożnika. Tak, zdawałam sobie dokładnie sprawę z tego, że w czasie zmiany miejsca nie spuścił ze mnie oczu i jeszcze teraz widzę jego rękę, jak przesuwał ją, idąc wzdłuż blanków, od jednego otworu do drugiego. Zatrzymał się w następnym narożniku, lecz już krócej. Nawet wtedy gdy odwracał się, nie odrywał ode mnie wzroku. Potem odwrócił się. To było wszystko, co wiem.

ROZDZIAŁ IV

Nie znaczy to bynajmniej, abym podówczas niczego więcej się nie spodziewała. Zdrętwiałam bowiem w tym samym stopniu, jak zostałam wstrząśnięta. Czyżby Bly posiadało jakiś swój „sekrety” — jakąś tajemnicę Udolfa, lub może przebywał tutaj jakiś wariat, ktoś z rodziny, trzymany z dala od ludzkich oczu pod kluczem, o kim lepiej nie wspominać? Nie umiem powiedzieć, jak długo zastanawiałam się nad tym, lub jak długo targana na przemian ciekawością i strachem tkwiłam znieruchomiała w miejscu, gdzie się z nim zetknęłam. Pamiętam tylko, że kiedy znalazłam się znowu w domu, zapanowała już ciemność. Tymczasem wzburzenie trzymało mnie jak w kleszczach i gnało mnie gdzieś przed siebie. Musiałam bowiem, krążąc dokoła, przebiec chyba ze trzy mile. Później jednak miałam doznać takiego jeszcze wstrząsu że to zaranie trwogi zaledwie można porównać do dreszczów przedchorobowych. Najbardziej niezwykły moment tego zdarzenia, chociaż wszystko było niezwykle, stanowił fakt, z którego zdałam sobie sprawę w hallu podczas spotkania z panią Grose. Spośród łańcucha wspomnień powraca do mnie ów obraz, wrażenie, jakie wywarła na mnie po powrocie jasna, przestronna komnata wyłożona boazerią i czerwonymi dywanami, błyszcząca w świetle lampy, odbijającym się na starych portretach rozwieszonych na ścianach, i dobrotliwie zdziwione spojrzenie mej przyjaciółki, po którym natychmiast poznałam, że niepokoiła się o mnie. Gdy ją zobaczyłam, byłam od razu pewna — sądząc po jej prostej wylewności i westchnieniu ulgi na mój widok — że nie wiedziała o niczym, co mogło być związane z tym wydarzeniem, które chciałam jej opowiedzieć. Nie podejrzewałam wcale, że spokój rozlany na jej obliczu może mnie podnieść na duchu, i bezwiednie zaczęłam się zastanawiać nad powagą tego, co widziałam, by w końcu dojść do wniosku, że lepiej będzie powstrzymać się od wzmianki na ten temat. Wydaje mi się, że w tej całej historii nie było nic osobliwszego niż ów fakt, że moje istotne uczucie strachu łączyło się z instynktowną chęcią — jeżeli wolno mi się tak wyrazić — zaoszczędzenia mej przyjaciółce kłopotów. Zaraz też kiedy znalazłam się w przyjemnej atmosferze hallu i poczułam na sobie jej wzrok, nastąpiła we mnie jakaś raptowna zmiana, której nie umiałam sobie wtedy wytłumaczyć. Usprawiedliwiając się dość wykrętnie ze swego opóźnienia pretekstem pięknej nocy oraz bąkając coś na temat obfitej rosy i przemoczonych nóg, udałam się czym prędzej do swego pokoju.

Tutaj rzecz miała się inaczej. Tutaj w ciągu wielu jeszcze dni sprawa ta wyglądała rzeczywiście dziwnie. Bywały takie godziny, i to dzień za dniem — albo już co najmniej chwile kradzione z normalnych zajęć kiedy po prostu musiałam zamykać się w pokoju, by skupić myśli. Nie dlatego, abym nie mogła wytrzymać tego nerwowego napięcia, lecz zupełnie poważnie zaczęłam się obawiać, że w końcu się załamie. Zdawałam sobie bowiem sprawę jasno i wyraźnie, że w żadnym wypadku nie potrafię dociec, kim był ów nieznajomy, który zaintrygował mnie w sposób tak niewytłumaczony; a który mimo to, jak mi się zdawało, był

czymś ze mną blisko związany. Zorientowałam się szybko, że nie zadając wielu pytań i nie zwracając niczyjej uwagi, łatwo będę mogła dociec, czy nie ma tu jakichś powikłań domowych. Wstrząs, jakiego wtedy doznałam, zaostrić musiał wszystkie moje zmysły. Pod koniec trzeciego dnia, obserwując wszystko uważniej, doszłam do przekonania, że nikt ze służby nie zadrwił sobie ze mnie i że nikt nie próbował zabawiać się moim kosztem. Nikt tutaj nic nie wiedział o tym, o czym ja wiedziałam. Nasuwał się tylko jeden rozumny wniosek: ktoś pozwolił sobie na żart, zbyt jednak niesmaczny. Powtarzałam to sobie wciąż od nowa, ilekroć wsuwałam się do mego pokoju i zamykałam drzwi na klucz. Jakiś intruz wcisnął się tu nieproszony, jakiś włóczęga pozbawiony skrupułów, interesujący się starymi budowlami, przemknął się nie zauważony do wnętrza i znalazłszy sobie dogodny punkt obserwacji, rozkoszował się widokiem, po czym wymknął się tak samo, jak przyszedł. To, że mierzył mnie oczami tak śmiało i twardo, należało złożyć na karb jego bezczelności. Ostatecznie pozostawała ta pociecha, że z pewnością nigdy go już tutaj nie ujrzymy.

Przyznaję, że nie było w tym aż tak wielkiej pociechy, abym mogła sądzić, że prócz moich uroczych zajęć nic innego zasadniczo nie będzie miało znaczenia. Zresztą te urocze zajęcia polegały tylko na współzyciu z Milesem i Florą; czułam też, że nic mi ich bardziej nie uprzyjemni, jak to, że oddam się im całą duszą, dzięki czemu też pozbędę się niepokoju. Widok moich wychowanków stanowił dla mnie źródło nieustannej radości, powodował, że nigdy nie mogłam dość się nadziwić bezpodstawności moich pierwotnych obaw, memu zniechęceniu, zrodzonemu z perspektywy prozaicznej szarzyzny moich zajęć. Nie miała to być jednak, jak się okazało, żadna szarzyzna ani też żadna mordega bez końca. Czyż można więc dziwić się moim zachwytom nad pracą, która obracała się stale w kręgu samego tylko piękna? Wszystko tu było jedną baśnią dziecięcą i samą szkolną poezją. Nie chcę przez to powiedzieć, iż nauka ograniczała się tylko do powiastek i wierszy; mam na myśli to, że nie potrafię wyrazić inaczej wyjątkowego zainteresowania, jakie budziły we mnie te dzieci. Czyż aby to opisać, nie wystarczy po prostu powiedzieć, że nie mogłabym żyć bez nich nadal, a przecież — choć u guwernantki zakrawa to wprost na cud: zaklinam was, koleżanki po fachu, poświadczcie me słowa! — odkrywałam w nich coraz to coś nowego.

Na jednym jednak odcinku odkrycia te się urywały: głęboka tajemnica nadal osłaniała okres pobytu chłopca w szkole i nie wiadomo było, jak się tam prowadził. Wyjaśniło się to o tyle szybko, że nie potrzebowałam się tym dłużej zadreć. Być może, bliższe prawdzie byłoby stwierdzenie, że chłopiec sam to wyjaśnił — bez jednego słowa. Wykazał, jakim absurdem było całe oskarżenie. Wyszuta przeze mnie konkluzja rozkwitała teraz w nieklamanych rumieńcach jego niewinności: po prostu zanadto świecił swym niezwykłym pięknem i blaskiem wśród wstrętnej i brudnej atmosfery, jaka panuje w szkołach, i musiał za to zapłacić. Zdawałam sobie sprawę aż nadto żywo, że świadomość takich indywidualnych różnic, takiej wyższości gatunku, przekształca się zawsze u tej zwyczajnej większości — która obejmować może nawet głupawych, niecných dyrektorów szkół — niechybnie w uczucie zawiści.

Oboje dzieci cechowała jakaś delikatność — była to ich jedyna wada i bynajmniej nie czyniła ona z Milesea jakiegoś niedołęgi; przez tę delikatność jak gdyby odizolowały się od innych (chyba tak muszę to nazwać) i stały się nietykalne. Przypominały cherubinki, które, jak głosi przypowieść, w niczym nie zawiniły moralnie w każdym razie — aby je przetrzeć! Pamiętam to przeświadczenie, jakie wzbudził we mnie przede wszystkim Miles, bo nie mógł on jeszcze doświadczyć niczego, co można by określić mianem choćby najbardziej nikłej „przeszłości”. U małego dziecka nie spodziewamy się żadnych „zadawnionych tajemnic”, ale w tym ślicznym chłopczyku tkwiło coś niezwykle wzruszającego, a mimo to niesłychanie radosnego, co w większej mierze niż u jego rówieśników uderzało mnie i znaczyło nowością każdy kolejny dzień. Nigdy nie zaznał chwili cierpienia. W moich oczach było to niezbitym dowodem, że chłopiec nie został jeszcze nigdy prawdziwie ukarany. Nie wywinąłby się, gdyby miał złe skłonności, a ja w lot bym to podchwyciła — wpadłabym na ślad,

odczuwałbym ranę i pohańbienie. Niczego takiego w nim nie odnajdywałam; był wobec tego aniołem. Nigdy nic nie mówił o swej szkole, nie wspominał żadnego kolegi lub nauczyciela; a ja ze swej strony odczuwałam zbyt wielki niesmak, by o tym napomykać. Oczywiście znajdowałam się pod wyraźnym urokiem, a najbardziej zadziwiającym elementem owego uroku było to, że nawet wówczas doskonale zdawałam sobie z tego sprawę. Ale uległam mu nieodparcie, zawierał on antidotum na wszelkie bóle, a przecież niejedna boleść mnie gnębiła. Tymczasem z domu, gdzie nie wszystko układało się pomyślnie, otrzymywałam listy budzące niepokój. Cóż jednak znaczył świat cały wobec tej radości, jaką napawały mnie te moje dzieciątka? Takie oto pytanie stawiałam sobie zawsze, kiedy udawało mi się wyrwać dla siebie chwilę samotności. Byłam nimi po prostu olśniona.

Idźmy, dalej. Nadeszła taka niedziela, kiedy deszcz lał tak mocno i przez tyle godzin, iż niepodobna było pójść do kościoła. Wskutek tego, gdy dzień miał się już ku końcowi, umówiłam się z panią Grose, że o ile wieczorem się wypogodzi, pójdziemy razem na ostatnie nabożeństwo. Deszcz ustał na szczęście i przygotowywałam się do wyjścia. Idąc na przełaj drogą przez park i dalej wygodnym gościńcem do wioski, zaszybyśmy na miejsce w ciągu dwudziestu minut. Schodząc na dół na spotkanie z koleżanką w hallu, przypominałam sobie o parze rękawiczek, które były w trzech miejscach rozprute i które zostały już naprawione — zbyt ostentacyjnie, być może, by mogło to kogoś zbudować — kiedy siedziałam z dziećmi przy podwieczorku, który w niedzielę był podawany wyjątkowo w owej nienagannie czystej i zimnej świątyni z drzewa mahoniowego i mosiądzu w jadalni dla „dorosłych”. Tam właśnie zostawiłam rękawiczki i tam wstąpiłam teraz, by je zabrać z powrotem. Dzień już poszarzał, lecz jasność popołudniowa jeszcze się nie zatarła. Po przekroczeniu progu mogłam więc nie tylko je rozpoznać na jednym z krzeseł w pobliżu szerokiego okna, obecnie przymkniętego, ale i uprzytomnić sobie, że po drugiej stronie okna stoi jakaś osoba i zagląda wprost do wnętrza. Wystarczył mi jednak krok do pokoju, wzrok mój zareagował natychmiast; to nie była ułuda. Osoba zaglądnąca do wnętrza była tą samą osobą, która raz już pojawiła się przed moimi oczami. Tak więc pokazał się ponownie, choć nie twierdzę, że bardziej wyraziście, bo było to niemożliwe, lecz za to w tak bliskiej odległości, iż posunęło to o jeden krok naprzód naszą znajomość ze sobą. Jednocześnie na jego widok zabrakło mi tchu i zrobiło mi się zimno. Tak, to był on, to był on. I tym razem widziałam go tak, jak widziałam go poprzednio, od pasa wzwyż, gdyż okno — jakkolwiek jadalnia była na parterze nie dochodziło do linii tarasu, na którym stał. Twarz jego była tuż przy szybie, a mając go tak blisko przed sobą, dopiero uświadomiłam sobie, jak dziwnie mi utkwiał w pamięci. Stał tam tylko przez kilka sekund, ale to wystarczyło, bym się upewniła, że i on mnie również zobaczył i rozpoznał; było to tak, jakbym go oglądała przez całe lata i znała od dziecka. Tym razem jednak zdarzyło się coś, co nie zdarzyło się poprzednio; spojrzenie, z jakim przez szybę i poprzez pokój wpił się w moją twarz, było równie przenikliwe i twarde, jak tamtym razem, lecz w pewnej chwili oderwał wzrok ode mnie i wtedy mogłam mu się dalej przyglądać, śledzić, jak oczyma przechodzi po kolei od przedmiotu do przedmiotu. W tej samej chwili nastąpił u mnie dodatkowy wstrząs, gdyż nabrałam pewności, że nie do mnie on tu przyszedł. Przyszedł do kogoś innego.

Ów błysk świadomości — był to bowiem przebłysk światła w pomroce lęku — spowodował u mnie wtedy, kiedy stałam, skutek najbardziej niezwykły, obudził nagle drzenie poczucia obowiązku i odwagi. Tak, odwagi, gdyż niewątpliwie byłam już u kresu sił. Jednym skokiem znalazłam się znów poza drzwiami, dopadłam wejścia do domu, wybiegłam na dwór i pędząc co sił wzdłuż tarasu, skręciłam za narożnik i oto miałam to samo miejsce przed oczyma. Lecz teraz nie było tam nikogo — przybysz zniknął. Zatrzymałam się, osunęłam się niemal na ziemię na skutek doznanej ulgi; jednakże objęłam wzrokiem wszystko dokoła — wyczekiwałam, licząc się z możliwością jego powrotu. Wyczekiwałam, jak mówię, lecz jak długo to trwało? Dziś nie potrafię jasno określić, ile czasu wtedy minęło. Zatraciłam jak gdyby zdolność odmierzenia czasu: nie trwało to zapewne tak długo, jak mnie się wówczas

wydawało. Zarówno taras, jak i wszystko dokoła, trawnik i położony za nim ogród, cała dostrzegalna część parku, ziało wielką, beznadziejną pustką. Nie brakowało tam krzewów i wielkich drzew, lecz pamiętam dotąd tę kompletną pewność siebie, iż nie posłużyły mu one za kryjówkę. On tam był lub też nie było go tam: jeśli go nie widziałam, nie mógł się tam znajdować. Nie miałam co do tego wątpliwości. Potem zamiast powrócić tą samą drogą, instynktownie podeszłam do okna. Zdawałam sobie tylko sprawę z jednego — powinnam stanąć w tym samym miejscu, gdzie on wtedy stał. Uczyniłam to, przywarłam twarzą do szyby i patrzyłam do wnętrza, tak jak on wtedy patrzył. Jak gdyby mi to miało unaocznić, jaki dokładnie był zasięg jego wzroku. W tym momencie pani Grose weszła do pokoju, podobnie jak ja to uczyniłam właśnie przed chwilą. Dzięki temu odtworzyłam sobie wierny obraz minionej dopiero co sytuacji. Pani Grose ujrzała mnie tak, jak ja ujrzałam owego przybysza; zatrzymała się zupełnie nagle tak, jak ja to zrobiłam; udzielił się jej taki sam wstrząs, jakiego i ja doznałam. Okryła się bladością; sprawiło to, że musiałam zadać sobie pytanie, czy ja również pobałam w tym stopniu, co ona. Po prostu wybałuszyła oczy i wycofała się ściśle po linii mojego odwrotu; byłam pewna, że wyszła i zawróciła w moją stronę i że niebawem się z nią zobaczę. Pozostałam w miejscu bez ruchu i czekając na nią, rozmyślałam nad różnymi rzeczami. Lecz tylko jedna z nich była godna uwagi; dziwiłam się, dlaczego ona się wystraszyła.

ROZDZIAŁ V

Wytłumaczyła mi to zaraz, gdy tylko ukazała się z za narożnika domu.

— Na miłość boską, co się stało...?

Była teraz zarumieniona i z trudem chwytiała powietrze.

Nie odezwałam się ani słowem, póki nie podeszła zupełnie blisko.

— Ze mną? — zapytałam. Na mojej twarzy musiało się odbić szczere zdumienie. — Czy coś po mnie widać?

— Jest pani blada jak ściana. Wygląda pani okropnie.

Zastanowiłam się: mogłam to bez skrupułów przypisać czemuś, co nie ma większego znaczenia. Ów choćby szacunek, który powinnam okazać pani Grose z racji jej zarumienionego oblicza, stał się teraz zbyteczny i rozwiął się bez śladu, a jeżeli zawahałam się przez moment, to nie dla powodów, które tałam. Wyciągnęłam do niej rękę, a ona ją ujęła. Przytrzymałam trochę jej dłoń, odczuwając zadowolenie, jakie sprawiała mi jej bliska obecność. Kiedy zdumiona nieśmiało zaczerpnęła tchu, uczułam się niejako pokrzepiona.

— Oczywiście przyszła pani, by zabrać mnie do kościoła, lecz ja nie mogę iść.

— Czy coś się stało?

— Tak. Pani już się teraz domyśla. Czy wyglądam tak osobliwie?

— W tym oknie? Coś strasznego?

— No, tak — powiedziałam — wystraszyłam się.

Z oczu pani Grose można było wyraźnie wyczytać, że ona bynajmniej nie ma chęci nabawiać się strachu, ale też i to, że pamięta aż nadto dobrze, co do niej należy, by być gotowa do dzielenia ze mną jakichkolwiek znaczniejszych kłopotów. Och, było to nieuniknione, że będzie musiała w tym wziąć udział.

— W rezultacie tego, co pani właśnie widziała przez okno, z jadalni, minutę temu. To zaś, co ja widziałam... tuż przedtem... było czymś znacznie gorszym.

Ujęła silniej moją rękę.

— A co takiego?

— Jakiś doprawdy niezwykły człowiek... zaglądał do wnętrza.
— Jaki niezwykły człowiek?
— Nie mam najmniejszego pojęcia.
Pani Grose daremnie wodziła wzrokiem dokoła.
— Gdzież więc on się podział?
— To jeszcze większa zagadka.
— Czy pani go już poprzednio widziała?
— Tak... raz jeden. Na starej wieży.
Spoglądała na mnie dalej, tylko bardziej uporczywie.
— Pani uważa, że to jakiś obcy człowiek?
— Och, zupełnie obcy!
— I pani nic mi nie mówiła?
— Nie... miałam swoje powody. Lecz teraz, kiedy się pani domyśliła...
Pani Grose odparowała ten zarzut wzrokiem pełnym zdumienia.
— Ależ ja się niczego nie domyśliłam! — rzekła po prostu. — Jak to możliwe, skoro pani nie ma o tym pojęcia?
— W najmniejszym stopniu.
— Pani go nigdzie nie widziała poza wieżą?
— I tu przed chwilą, w tym miejscu.
Pani Grose znów się rozejrzała.
— Co on tam robił na wieży?
— Stał tylko i przypatrywał mi się z góry.
Namyslała się przez chwilę.
— Czy to był dżentelmen?
Nie potrzebowałam się wcale zastanawiać.
— Nie. — W jej oczach zdumienie pogłębiło się jeszcze. — Nie.
— A zatem nikt z domowników? Nikt z wioski?
— Nikt, na pewno nikt. Nie powiedziałam pani tego, lecz upewniłam się.
Westchnęła z nieuchwytną prawie ulgą. Podziałało to na mnie jakoś dziwnie kojąco. Na krótko, co prawda.
— Lecz jeśli nie jest dżentelmenem...
— Kim jest więc? Jest czymś upiornym.
— Upiornym?
— Jest... Bóg wie, czym on jest!
Pani Grose rozejrzała się jeszcze raz; wlepiła oczy w dal spowitą gęstym cieniem, a potem, gdy się już otrząsnęła, zwróciła się do mnie, wykazując zadziwiający brak konsekwencji:
— No, powinniśmy już być w kościele.
— Och, nie jestem w stanie tam pójść.
— Może to jednak pani dobrze zrobi?
— Ale to im na dobre nie wyjdzie...! — skinęłam głową w stronę domu.
— Dzieciom?
— Nie mogę ich teraz zostawić samych.
— Boi się pani...?
— Jego się boję — powiedziałam śmiało.
Na szerokim obliczu pani Grose pojawił się wtedy, po raz pierwszy, daleki, ledwo widoczny przeblysłk rozbudzonej świadomości; w jakiś sposób domyśliłam się, że wywołany został spóźnionym trochę prześwitem jakiejś myśli, której sama nie podsunęłam jej, a która była dla mnie, jak dotąd, zupełnie niejasna. Odradza się we mnie wspomnienie, jak od razu przyszło mi do głowy, że dzięki niej — tej myśli — wydostanę z niej teraz coś więcej. Czułam, że jest to związane z okazaniem przez nią pragnieniem, aby dowiedzieć się czegoś

więcej, gdy zapytała:

— Kiedy to było... tam na wieży?

— W połowie miesiąca. O tej samej porze.

— Nieomal o zmroku — rzekła pani Grose.

— Och, nie, niezupełnie. — Widziałam go tak, jak teraz widzę panią.

— W jaki więc sposób dostał się do środka?

— I w jaki sposób wydostał się na zewnątrz? — zaśmiałam się — Nie miałam sposobności zapytać się go o to! — ciągnęłam dalej. — Widzi pani, dziś wieczorem, nie udało mu się dostać do wnętrza.

— Czy on tylko podgląda?

— Mam nadzieję, że na tym się skończy!

Puściła teraz moją rękę; odsunęła się trochę. Oczekałam chwilę i potem dodałam:

— Niech pani idzie do kościoła. Do widzenia. Ja muszę czuwać.

Powoli znowu zwróciła się twarzą do mnie.

— Czy obawia się pani o nie?

Wymieniłyśmy jeszcze jedno długie spojrzenie.

— A pani nie?

Zamiast odpowiedzi, podeszła bliżej do okna i na chwilę przywarła twarzą do szyby.

— Pani widzi, w jaki sposób on mógł stąd obserwować? — ciągnęłam tymczasem dalej.

Nie poruszyła się nawet.

— Jak długo był tutaj?

— Dopóki nie wyszłam. Wyszłam zaś po to, by się z nim spotkać.

Pani Grose znów zwróciła się do mnie, a twarz jej jeszcze bardziej się zmieniła.

— Ja nie mogłabym wyjść.

— Ja także nie mogłam — roześmiałam się znowu — a jednak wyszłam. Znam swoją powinność.

— Ja moją znam również — odrzekła; po czym dodała: — Jak on wygląda?

— Nie mogłam się doczekać, aby to pani powiedzieć. Ale on jest niepodobny do nikogo.

— Do nikogo? — powtórzyła jak echo.

— Nie nosi kapelusza.

Potem widząc po jej twarzy, że to wystarczyło, by z pogłębiającym się przerażeniem uzmysłowiła sobie kontury jego postaci, zaczęłam je szybko uzupełniać, rys po rysie:

— Ma rude włosy, nieledwie czerwone, mocno kędzierzawe, i bladą, podłużną twarz, o prostych, regularnych rysach; nosi nieduże, dość dziwne baczki, które są tak samo czerwone, jak jego włosy. Jego brwi są jakby nieco ciemniejsze; w szczególny sposób podniesione, tak jakby często nimi poruszał. Wzrok ma przenikliwy, dziwny... okropnie; lecz z pewnością wiem tylko tyle, że oczy ma raczej małe i bardzo nieruchome. Usta jego są szerokie, a wargi cienkie, a poza tymi małymi baczkami jest gładko wygolony. Robi na mnie takie wrażenie, jak gdyby był aktorem.

— Aktorem!

Trudno było sobie wyobrazić większe podobieństwo do aktora, aniżeli to, jakie nasuwał w tym momencie wygląd pani Grose.

— Nigdy żadnego jeszcze nie widziałam, lecz przypuszczam, że muszą tak wyglądać. Jest on wysoki, ruchliwy, trzyma się prosto — ciągnęłam dalej — lecz dżentelmen... nie, nigdy bym go tak nie nazwała.

W miarę, jak rozwijałam przed nią swój opis, oblicze mej współtowarzyszki bladło coraz bardziej, okrągłe jej oczy biegały na wszystkie strony, a łagodne usta miała szeroko otwarte.

— Dżentelmen? wykrztusiła zmieszana i otumaniona — on dżentelmenem?

— A więc zna go pani?
Widoczne było, że stara się opanować.
— Ale czy jest przystojny?
Zauważyłam tutaj sposobność, żeby jej pomóc.
— Wyjątkowo przystojny!
— A ubrany...?
— W ubraniu nie należące do niego. Jest ono wytworne, ale na pewno nie jest jego własnością.
Głos jej się załamał, gdy bez tchu stwierdziła z jękiem:
— To są rzeczy pana!
Podchwyciłam jej słowa:
— Pani zna go zatem?
Zawahała się tylko na moment.
— Quint! — zawołała.
— Quint?
— Piotr Quint, jego zaufany, jego służący wówczas, kiedy pan tu bywał.
— Kiedy pan tu bywał?
Wciąż jeszcze z trudem łapała powietrze, lecz teraz już nie wahając się powiązała to wszystko w jedną całość:
— Nie nosił nigdy kapelusza, lecz za to nosił... otóż, zdarzało się, że kamizelki gdzieś się podziały! Ostatniego roku byli tu obaj. Potem pan wyjechał i Quint pozostał sam.
Zdążałam za tokiem jej myśli, lecz nieco się gubiłam.
— Sam?
— Jedyne z nami — po czym dodała, jak gdyby sięgając do głębszych zakamarków pamięci — on tu nami rządził.
— I co się z nim stało?
Zaniemówiła nagle, tak że cała ta historia stała się dla mnie jeszcze bardziej zagadkowa.
— On też się z nami rozstał — wykrztusiła z siebie na koniec.
— A gdzie jest teraz?
Wyraz jej twarzy zmienił się na to nie do poznania.
— Bóg jeden wie, gdzie! On umarł.
— Umarł? — wrzasnęłam nieomal.
Pani Grose jak gdyby urosła, stanęła jak gdyby mocniej na nogach, by dosadniej wyrazić zdumiewający fakt:
— Tak. Pan Quint nie żyje.

ROZDZIAŁ VI

Trzeba nam było oczywiście czegoś więcej niż ten osobliwy dialog, abyśmy mogły razem, w miarę naszych sił, przeciwstawić się temu, co miało teraz stanowić o naszym życiu. Trzeba było też wziąć pod uwagę moje straszne przeczulenie, które zmanifestowałam tak żywymi dowodami, oraz to, że moja koleżanka wiedziała odtąd o mojej niezwyklej wrażliwości, która wzbudzała u niej zarazem przerażenie, jak i współczucie. Wieczorem pod pierwszym wrażeniem owego odkrycia, które pograżyło mnie na całą godzinę w stan całkowitej prostracji — tego wieczoru żadna z nas nie wzięła udziału w żadnym nabożeństwie poza takim małym nabożeństwem ograniczonym do łez i składania ślubów, modłów i przyrzeczeń niejako punktu szczytowego serii wynurzeń i odruchów, przez które nawzajem udzielałyśmy

sobie pociechy i dodawały odwagi. Zaczęłyśmy je snuć, gdy tylko zamknęłyśmy za sobą drzwi pokoju szkolnego, dokąd udałyśmy się właśnie po to, by się z wszystkiego wywnętrzyć. Ta obopólna chęć, by wypowiedzieć się ze wszystkiego, miała naszą sytuację sprowadzić po prostu do jej elementów najbardziej drastycznych, zasadniczych. Ona sama nie widziała niczego, nawet śladu cienia, nikt zaś w domu poza samą guwernantką nie znajdował się w położeniu guwernantki; mimo to przyjęła moją relację, nie kwestionując tego, czy byłam przy zdrowych zmysłach, i pod koniec z tej właśnie przyczyny okazała mi jakąś strachem podszytą troskliwość, jakąś uległość wobec moich bardziej niż wątpliwych przywilejów, co niby tchnienie jakiegoś słodkiego wspomnienia pozostało ze mną na zawsze jako najczulszy wyraz ludzkiego miłosierdzia.

W wyniku wzajemnego zrozumienia doszłyśmy wtedy do przekonania, że wspólnie potrafimy przezwyciężyć wszelkie przeszkody; a przy tym nie miałam nawet pewności, mimo że była wolna od ważniejszych obowiązków, czy jednak nie ona właśnie wzięła na siebie główny ciężar odpowiedzialności. Wydaje mi się, że owego wieczoru wiedziałam tak samo, jak wiedziałam o tym później, na co potrafię się zdobyć w obronie moich wychowanków. Zabrało mi to jednak sporo czasu, zanim upewniłam się ostatecznie, do czego moja poczciwa współtowarzyszka gotowa była się posunąć, ażeby dotrzymać warunków tak bardzo wiążącego układu. Moje towarzystwo było dla niej tak samo dziwne, jak dla mnie dziwne było jej towarzystwo. Gdy jednak przebiegam w pamięci to wszystko, co przeżyłyśmy razem, wówczas rozumiem, ile wspólnego miałyśmy ze sobą w tej jednej jak gdyby myśli, która — dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności — mogła nas podtrzymać na duchu. Owa myśl właśnie, owo drugie posunięcie, wyprowadziło mnie, aby tak rzec, z wewnętrznej komnaty mojego lęku. Mogłam przynajmniej zaczerpnąć powietrza na zewnątrz, a tam pani Grose mogła się do mnie przyłączyć. Przypominam sobie doskonale, w jak szczególny sposób poczułam nowy wpływ sił, zanim rozstałyśmy się na noc. Omawiałyśmy wciąż od nowa każdy szczegół tego wszystkiego, co widziałam.

— Pani mówi, że rozglądał się za kimś innym, kimś innym niż pani?

— Rozglądał się za małym Milesem — odrzekłam, olśniona jakąś nagłą jasnością — to za nim on się rozglądał.

— Lecz skąd pani wie o tym?

— Wiem, wiem, wiem — egzaltowałam się coraz bardziej — pani też o tym wie, moja droga!

Nie zaprzeczyła temu, lecz wyczuwałam, że nawet nie potrzebowała mi tego mówić. Po chwili podjęła znowu:

— I cóż z tego, gdyby go zobaczył?

— Kogo? Małego Milesa? Ależ on właśnie tego pragnie!

Wyglądała znów niezmiernie przestraszona.

— To dziecko?

— Uchowaj Boże! Ten człowiek. On chce im się pokazać.

To, że tak mogło być istotnie, było czymś nie do zniesienia. Niemniej jednak potrafiłam się jakoś opanować, a nawet w miarę jak się nasze rozmowy przeciągały, nadal udawało mi się to praktycznie wykazać. Byłam absolutnie przekonana, iż znowu ujrzę to, co już raz widziałam, ale coś mi w głębi duszy mówiło, że jeśli zdobędę się na odwagę i sama zaofiaruję się, by wystawić się na taką próbę, jeżeli zgodzę się na nią, jeżeli rzucę wyzwanie i przezwyciężę wszystko, to wówczas spełnię rolę ofiary pokutnej i będę stać na straży spokoju reszty domowników. Przede wszystkim powinnam osłonić dzieci i ocalić je za wszelką cenę. Mam jeszcze w pamięci jedną z tych ostatnich spraw, którą poruszyłam z panią Grose tego wieczoru.

— Uderzyło mnie to, że moi wychowankowie o nim nigdy nie wspominali...

Utkwiła we mnie wzrok, kiedy przerwałam, zamyślona.

— O tym, że w tym czasie tu był i z nimi razem przebywał?

— O czasie, kiedy tu z nimi przebywał, ani jak się nazywał, ani o jego dziejach, ani jednym słowem. Nie napomknęli nawet.

— Och, panienka nie pamięta. Nigdy niczego nie słyszała ani też nie widziała.

— O okolicznościach, w jakich on umarł? — zapytałam, wyęzając umysł. — Być może. Miles jednak powinien pamiętać... Miles będzie wiedział.

— Ach, niechże pani da mu spokój — wyrwało się pani Grose.

Odwzajemniłam się tym samym spojrzeniem, jakim poprzednio mnie obdarzyła.

— Niech się pani nie obawia — odparłam, namyślając się w dalszym ciągu. — To jest raczej dziwne.

— To, że nigdy nic o nim nie mówił?

— Nie uczynił nigdy nawet najmniejszej wzmianki. I pani twierdzi, że byli „wielkimi przyjaciółmi?”

— Ale nie on — oświadczyła pani Grose z emfazą. — To tylko Quint tak sobie go upodobał. Lubił się z nim bawić... rozpieszczał go — przerwała na chwilę i dodała — Quint za dużo sobie pozwalał.

Na samo przypomnienie jego oblicza przejęła mnie odraza — ach, ta jego twarz!

— Pozwalał sobie za dużo z moim chłopcem?

— Z każdym za dużo sobie pozwalał!

Powstrzymałam się na razie od analizy tej kwestii i pomyślałam tylko przelotnie, że w pewnym stopniu dotyczyło to kilku domowników i pół tuzina służby, z których dotąd składało się nasze małe osiedle. Lecz na szczęście pomimo naszych obaw najstarsi nawet ludzie nie pamiętali żadnych niepokojących legend bądź też jakichś gadek, krążących zwykle wśród czeladzi, które byłyby przywiązane do tej miłej, starej siedziby. Nie ciążyło na niej ani złe imię, ani też zła sława, a jeśli chodzi o panią Grose, to wołała ona jak najwidoczniej opierać się tylko na mnie i drzeć ze strachu w cichości. Już pod sam koniec poddałam ją nawet pewnej próbie. Było to o północy, gdy z ręką na klamce od drzwi zbierała się do wyjścia.

— A więc według pani, bo jest to sprawa wielkiej wagi, był to człowiek zły na wskroś i taka też była o nim powszechna opinia?

— Och, nie tak znowu powszechna. Ja wiedziałam... lecz nasz pan nie miał pojęcia.

— I nigdy mu pani tego nie powiedziała?

— No, bo on nie lubił plotek... nienawidził wszelkich skarg. Ucinał je z miejsca, a gdy był z kogoś zadowolony...

— Wówczas nie dbał o resztę?

Słowa te oddały całkiem niezłe owo wrażenie, jakie o nim wyniosłam: był to dżentelmen nie lubiący zadawać sobie fadygi i nie przywiązywał, być może, zbytnej wagi do tego, w jakim towarzystwie przebywał. Mimo wszystko nie przestałam nękać mej współtowarzyszki.

— Zaręczam pani, ja jednak powiedziałabym!

Wyczuła naganę w moim głosie.

— Przyznaję, że postąpiłam niewłaściwie. Lecz doprawdy obawiałam się.

— Czego się pani obawiała?

— Tego wszystkiego, co ten człowiek mógłby zrobić. Quint był taki sprytny... taki nieprzenikniony.

Prawdopodobnie przejęłam się tym daleko więcej, niż okazałam po sobie.

— A niczego poza tym nie obawiała się pani? Nie bała się pani jego wpływów...?

— Jego wpływów...? — powtórzyła z wyrazem udręczenia na twarzy i ociągała się z odpowiedzią, kiedy się zawałam.

— Jakie wywierał na te małe, kochane dzieciątka. Były przecież pod pani opieką.

— Nie, nie były pod moją opieką! — odparowała żywo a jednocześnie z przygnębieniem. — Pan miał do niego zaufanie i tu go umieścił, bo coś podobno ze zdrowiem nie było u

niego w porządku, a wiejskie powietrze służyło mu. Robił wszystko, co chciał. Tak... nawet z nimi.

— Z nimi... ten łotr? — zaprotestowałam hamując się, by nie zawyc prawie z rozpaczą — i pani mogła na to patrzeć?

— Nie. Nie mogłam... i w dalszym ciągu nie mogę się z tym pogodzić — odrzekła biedna kobieta i załża się łzami.

Od następnego dnia, jak oznajmiłam, miałyśmy roztoczyć nad nimi ścisły nadzór; a jednak jakże często i z jaką żarliwością przez cały tydzień wracałyśmy wciąż do tego samego tematu! Pomimo że owego niedzielnego wieczoru roztrząsałyśmy to wszystko tak dokładnie, prześladowała mnie myśl, zwłaszcza w późniejszych godzinach — czyż można sobie wyobrazić, abym mogła potem zasnąć — że coś się kryło w cieniu, czego mi ona nie powiedziała. Ja sama nie ukryłam niczego, lecz pani Grose czegoś nie dopowiedziała. Co więcej, rano byłam pewna, że powodem tego nie był brak szczerości, a tylko strach, który tu zewsząd wzywał. Wydaje się doprawdy, gdy to wszystko roztrząsam na nowo, że kiedy nazajutrz słońce było wysoko na niebie, po wielu wahaniach rozpoznałam w już ujawnionych faktach prawie pełny ich sens, którego miały nabrać poprzez dalsze i bardziej okrutne wydarzenia. To, co przede wszystkim dzięki nim uzyskałam, było tylko złowieszczą sylwetą żywego człowieka — zmarłych nie ruszajmy na razie! — oraz zarysem miesiący spędzonych przez niego bez przerwy w Bly, które razem wzięte przeciągnęły się w nieskończoność. Tym dniom złowrogim kres położył dopiero świt pewnego zimowego poranka, kiedy jakiś robotnik, udający się do pracy, znalazł zimne już zwłoki Piotra Quinta na drodze biegnącej ze wsi: wypadek został wyjaśniony — powierzchownie przynajmniej — raną na jego głowie, widoczną dla oka; taką raną, którą mogło spowodować (jak w końcu zostało udowodnione) nieszczęśliwe poślizgnięcie się na zupełnie błędnej drodze, ze stromej, pokrytej lodem skarpy, u której podnóża go znaleziono. Skarpa pokryta lodem, zejście przez pomyłkę nocą i pod działaniem wódki na błędną drogę wyjaśniały pod koniec i po zakończeniu śledztwa oraz nie kończących się plotek w rzeczywistości prawie wszystko; jednakże w życiu jego były pewne rzeczy — dziwne zakamarki i pułapki, tajemne powikłania, występne skłonności bardziej niż podejrzane, które mogły wyjaśnić o wiele więcej.

Nie bardzo wiem, w jakie słowa winnam ubrać mą opowieść, aby trafnie oddały stan mego umysłu, ale w owych dniach zdolna byłam odczuwać dosłowną radość z tego nadzwyczajnego przyływu heroizmu, na jaki się musiałam przy tej okazji zdobyć. Przekonałam się teraz, że spadł na mnie obowiązek zaszczytny i niełatwy i będzie w tym coś na wielką miarę, jeśli okaże, gdzie należy, że potrafię dać sobie radę nawet tam, gdzie niejedna dziewczyna zawiodłaby. Pomogło mi to ogromnie — przyznaję, iż zbyt się chwalebę, kiedy spoglądam wstecz! — że potrafiłam zareagować tak mocno i tak po prostu. Przebywałam tam po to, by osłaniać i bronić tych małych istotek, tak bardzo opuszczonych i najukochańszych w świecie, których rozczulająca bezbronność objawiła się nagle aż nadto wyraziście głębokim, ustawicznym bólem oddanego im serca. W rzeczywistości byliśmy od siebie odcięci, ale łączyło nas wspólne niebezpieczeństwo. Prócz mnie nie miały nikogo, a ja... ja je miałam. Była to, krótko mówiąc, wspaniała okazja. Okazja ta nastęrczała bogate możliwości. Byłam im tarczą — miałam stać na ich straży. Im więcej przyjmę na siebie, tym mniej będą one narażone. Zaczęłam je obserwować z pewną emocją, którą starałam się w sobie stłumić, z pewnym utajonym napięciem, co mogło nieledwie, gdyby to miało trwać zbyt długo, doprowadzić mnie do stanu granicznego z szaleństwem.

Wszystko jednak potoczyło się w innym kierunku, dzięki czemu, jak obecnie widzę, ostatecznie uchroniłam się. Stan napięcia zakończył się, a jego miejsce zająć miały straszliwe doświadczenia, tak jest, doświadczenia, powtarzam — od tego momentu, kiedy rzeczywiście ujęłam wszystko w swoje ręce.

Ten moment nadszedł, gdy w godzinach popołudniowych znalazłam się w parku,

spędzając tam czas sama z Florą. Pozostawiliśmy Mileśa w domu na czerwonej poduszce w głębokiej wnęce okiennej; chciał dokończyć jakąś książkę, a ja z chęcią poparłam ten chwalebny zamiar chłopca, którego jedyną wadą był pewien zmysł nieporównanej ruchliwości. Jego siostra, przeciwnie, zdradzała ochotę do wyjścia; przechadzałam się więc z nią pół godziny, szukając cienia, bo słońce stało jeszcze wysoko, a dzień był wyjątkowo gorący. Kiedyśmy tak szły razem, uświadomiłam sobie na nowo, jak ona potrafi to robić, podobnie jak jej brat — a była to czarująca cecha u obojga dzieci — iż czułam się sama i przy tym nie miałam tego uczucia, jakoby mnie ktoś porzucił, a towarzystwo jej zupełnie mnie nie nużyło. Dzieci te nie były nigdy natrętne, ale też nie obojętne. Zwracałam największą uwagę na to, aby się zabawiały tak, jak mogą, beze mnie; było to jak gdyby widowisko, żarliwie przygotowane przez nie, a ja spełniałam w nim rolę czynnego widza. Wstępowałam w świat ich inwencji — do korzystania z mojej nigdy nie było sposobności, tak iż zabierały mi czas tylko o tyle, że byłam dla nich już to jakąś znakomitością, już to przedmiotem potrzebnym w danym momencie zabawy, które na skutek piętnej mej wyższości i wyniosłości, jakim ich zdaniem się odznaczałam, były swego rodzaju szczęśliwą i pełną dystynkcji synekurą. Nie przypominam sobie, czym byłam wtedy, pamiętam tylko, że byłam czymś bardzo ważnym i że byłam bardzo spokojna, a Flora oddana była zabawie całą duszą. Znalazłyśmy się nad brzegiem jeziora, a ponieważ rozpoczęliśmy ostatnio naukę geografii, jezioro było Morzem Azowskim.

Nagle w tym otoczeniu zdałam sobie sprawę, że z przeciwnej strony Morza Azowskiego ktoś nam się pilnie przygląda. Sposób, w jaki to sobie uświadomiłam, był czymś najdziwniejszym w świecie — czymś najdziwniejszym, jeżeli nie weźmiemy pod uwagę innego, jeszcze bardziej dziwnego zjawiska, wobec którego tamto zbladło zupełnie. Siadłam z robótką — odgrywałam bowiem tę czy inną rolę, przy której mogłam siedzieć — na starej kamiennej ławce z widokiem na staw, w tej pozycji stwierdziłam powoli z całkowitą pewnością, chociaż nie bezpośrednio wzrokiem, obecność jakiejś trzeciej osoby w dość dużym oddaleniu. Stare drzewa i gęste zarośla rzucały dużo przyjemnego cienia, pomieszanego jednak z blaskiem tej upalnej, sennej godziny. W żadnym wypadku nie mogło być mowy o jakiejś ułudzie, a przynajmniej nie było jej w moim przeświadczeniu o tym, co zobaczę na wprost przed sobą po drugiej stronie jeziora, kiedy podniosę oczy. Miałam je wtedy skierowane na robótkę, którą byłam zajęta, i dziś jeszcze wzdrygam się na myśl o tym spazmatycznym wysiłku, by nie spojrzeć w tamtą stronę, póki nie opanuję się do tego stopnia, że będę się mogła zastanowić co należy uczynić. W polu widzenia było coś nieznanego — jakaś postać, której prawo do przebywania w tym miejscu natychmiast i z pasją zakwestionowałam. Przypominam sobie przeróżne okoliczności, jakie brałam pod uwagę, jak najwyraźniej tłumacząc sobie, że mogło to być coś zupełnie zwykłego, jak na przykład pojawienie się kogoś ze dworu czy choćby jakiegoś posłańca, listonosza lub chłopca od kramikarza z wioski. To tłumaczenie w niczym jednak nie zmieniło mojej praktycznej pewności i przeświadczenia — mimo iż nadal nie patrzyłam w tę stronę — o charakterze i zamiarach tego przybysza. Narzucało się od razu, że jednak musi to być czymś, czym absolutnie być nie może.

Co do właściwego rozpoznania tej zjawy postanowiłam się upewnić wówczas, skoro tylko na małym zegarku mojej odwagi wybije odpowiednia godzina; tymczasem z wysiłkiem kosztującym mnie i tak już bardzo wiele przeniosłam wzrok na małą Florę, która była w tym momencie oddalona ode mnie o jakieś dziesięć jardów. Serce na chwilę przestało mi bić ze strachu i podniecenia, kiedy zadałam sobie pytanie, czy i ona tego nie ujrzy; wstrzymałam oddech w oczekiwaniu tego, co mi oznajmi jakiś okrzyk z jej strony, jakiś niewinny znak bądź to zainteresowania, bądź też niepokoju. Czekałam, lecz daremnie. Potem w pierwszym rzędzie i w tym dopatruję się jeszcze czegoś okropniejszego od czegokolwiek, co muszę opowiedzieć — pokierowało mną jakieś wycucie, że w ciągu jednej minuty zupełnie nienaturalnie zamilkła, a z kolei pokierowała mną ta okoliczność, że jednocześnie odwróciła się od wody, nie przerywając zabawy. Taka była jej pozycja, gdy w końcu na nią spojrzałam —

spojrzałam z pełnym przekonaniem, że nadal jesteśmy obydwie pod czyjąś bezpośrednią obserwacją. Podniosła nieduży płaski kawałek drzewa, który posiadał mały otwór w środku i to zapewne nasunęło jej pomysł umieszczenia w nim jeszcze jednego drewnienka mającego wyobrazić maszt, po to, by zrobić z tego wszystkiego małą żaglówkę. Gdy ją obserwowałam, z wyraźnym uporem usiłowała umocować to drugie drewnienko. Widząc, co ona robi, nabrałam otuchy do tego stopnia, że po kilku sekundach poczułam się uodporniona na coś jeszcze gorszego. Potem jeszcze raz podniosłam wzrok i spojrzałam w twarz temu, co było mi sądzone ujrzeć.

ROZDZIAŁ VII

Po tym wszystkim odszukałam panią Grose tak szybko, jak tylko mogłam. Nie potrafię powiedzieć jasno, jak do tego momentu wytrzymałam. Dotąd jeszcze słyszę swój krzyk, z jakim rzuciłam się jej dosłownie w ramiona:

— One wiedzą o tym... to potworne: one wiedzą, one wiedzą, one wiedzą!

— Lecz o czym, na Boga...? — Wyczułam jej zdumienie, kiedy mnie obejmowała.

— Ależ, to wszystko, co my wiemy... i Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze poza tym!

Potem gdy mnie puściła, wyjawiałam jej wszystko, wyjawiałam, być może, teraz dopiero w sposób zupełnie zrozumiały nawet dla siebie samej.

— Dwie godziny temu, w ogrodzie — zaledwie mogłam wykrztusić — Flora widziała!

Pani Grose przyjęła to tak, jak gdyby otrzymała, cios w żołądek.

— Powiedziała to pani? — zapytała, oddechając z trudem.

— Ani słowa... w tym leży cała potworność. Zatrzymała to dla siebie! Ośmioletnie dziecko, takie dziecko! — z trudnością tylko mogłam się wysłowić, tak bardzo byłam jeszcze oszołomiona tym wszystkim.

Pani Grose otworzyła oczy jeszcze szerzej.

— A więc skąd pani wie o tym?

— Ja tam byłam... widziałam na własne oczy. Zauważyłam, że ona też dobrze widziała.

— Chce pani powiedzieć, że Flora jego widziała?

— Nie... ją — mówiąc to, czułam, jaki widok muszę przedstawiać, bo znalazł on po chwili swoje odbicie na twarzy mej współtowarzyszki. — Inna osoba... tym razem; postać podobnie niesamowita i zła kobieta w czerni, błada i wzbudzająca przerażenie... tak samo jednak dziwna, i, och, co za twarz... po drugiej stronie jeziora. Byłam tam z dzieckiem... przez godzinę był spokój i wtem ona się tam zjawiała.

— Jak się zjawiała... skąd przyszła?

— Stamtąd, skąd oni przychodzą! Pojawiła się po prostu i stała tam... lecz nie tak blisko.

— I nie podeszła bliżej?

— Och, miałam takie uczucie i takie odniosłam wrażenie, jak gdyby stała tak blisko, jak pani!

Moja przyjaciółka, dziwnie czymś poruszona, cofnęła się o krok.

— Czy był to ktoś, kogo pani nigdy nie widziała?

— Nigdy. Lecz ktoś, kogo dziecko już widziało. Ktoś, kogo pani też widziała. —

Potem, by jej wykazać, jak do tego doszłam, powiedziałam: — Moja poprzedniczka, ta, która umarła.

— Miss Jessel?

— Miss Jessel! Pani mi nie wierzy? — nalegałam.

Niezmiernie zakłopotana, kręciła się to w prawo, to w lewo.

— Skąd ta pewność?

W tym stanie nerwowego podniecenia wywołało to u mnie nagły odruch zniecierpliwienia:

— A więc niech pani zapyta Florę... ona wie na pewno!

Zaledwie jednak to powiedziałam, a już pohamowałam się.

— Nie, na miłość boską, niech pani tego nie robi. Ona zaprze się, ona powie, że nic nie wie!

Pani Grose nie była na tyle wstrząśniętą, by instynktownie nie zaprotestować:

— Jak może pani tak mówić...

— Ponieważ nie mam co do tego wątpliwości. Flora nie chce, abym o tym wiedziała.

— A zatem tylko po to, aby panią oszczędzać.

— Nie, nie... to są głębie, niezbadane głębie! Im bardziej w to wnikam, tym więcej dostrzegam, a im więcej dostrzegam, tym większy lęk mnie ogarnia. Nie wiem, czego nie dostrzegam... czego nie lękam się!

Pani Grose próbowała nadażyć za moimi myślami:

— Chce pani powiedzieć, iż pani obawia się, że znów ją pani zobaczy?

— Och, nie, to mało ważne... teraz! — rzekłam, po czym wyjaśniłam: — Chodzi o to, że mogę jej nie widzieć.

Lecz moja współtowarzyszka patrzyła tylko tępym wzrokiem.

— Nie rozumiem.

— Przecież dziecko może to robić dalej... i zrobi to z pewnością... a ja nic nie będę wiedziała.

Wyobraziwszy sobie taką ewentualność, pani Grose załamała się, jednakże po chwili, jak gdyby powodowana jakimś wewnętrznym odruchem, opanowała się znowu, zdając sobie sprawę, jak wiele zależy od tego, by nie ustąpić nawet na krok.

— Ach, moja kochana, nie wolno nam tracić głowy! Prawdę powiedziawszy, jeśli Flora nie ma nic przeciwko temu...! — wysiliła się nawet na ponury żart: — A może ona nawet to lubi!

— Lubić takie rzeczy... w tak młodym wieku!

— Czyż nie jest to właśnie najlepszym dowodem jej błogosławionej niewinności? — zapytała odważnie moja przyjaciółka.

W tym momencie prawie że mnie przekonała.

— Och, musimy się tego uchwycić... musimy się tego trzymać! Jeżeli to nie jest dowodem tego, co pani mówi, to jest to dowodem... sam Bóg wie czego! Taka kobieta... to coś straszego.

Na to pani Grose przez chwilę wlepiała oczy w ziemię, potem, podniósłszy je, wreszcie powiedziała:

— Skąd pani wie o tym?

— A więc pani przyznaje, że taka ona była istotnie? — wykrzyknęłam.

— Skąd pani wie o tym? — powtórzyła moja przyjaciółka po prostu.

— Skąd wiem? Stąd, że ją widziałam! Z tego, w jaki sposób patrzyła.

— Na panią, chce pani powiedzieć, patrzyła tak złowrogo?

— Nie, kochana, nie... to potrafiłabym znieść. Nie spojrzała nawet na mnie. Nie odrywała wzroku od dziecka.

Pani Grose próbowała to sobie uzmysłwić.

— Nie odrywała wzroku?

— Ach, w oczach jej było coś straszego!

Spoglądała mi w oczy, jak gdyby chciała się w nich rzeczywiście dopatrzeć podobieństwa do tamtych.

— Czy to była wrogość?

— O Boże, nie. Coś daleko gorszego.

— Gorszego niż wrogość?

To wytrąciło ją zupełnie z równowagi.

— Jakaś determinacja... nie do opisanania. Jakieś szaleńcze zamysły.

Usłyszawszy to, pobladła.

— Zamysły?

— Aby nią owładnąć.

Pani Grose, nie spoglądając prawie mi w oczy, wstrząsnęła się i podeszła do okna; i kiedy tam stała, wyglądając przez nie na zewnątrz, uzupełniłam swoją myśl:

— I Flora wie o tym.

Obróciła się po małej chwili z powrotem.

— Pani mówi, że ta osoba była w czerni?

— W żałobie, ubrana raczej skromnie, nieledwie lichy. A mimo tego... wyjątkowo wytwornie.

Spostrzegłam teraz, do czego krok po kroku doprowadziłam w końcu ofiarę moich wyrzeń, bo widać było jasno, że zaczęła to rozważać.

— Och, bardzo, bardzo przystojna — utrzymywałam z uporem — nadzwyczaj przystojna. Lecz zdeprawowana.

Powoli znów do mnie podeszła.

— Miss Jessel... była zepsuta do szpiku kości.

Znów ujęła moją rękę, ściskając ją tak silnie, jak gdyby chciała mnie uodpornić na jeszcze większą trwogę, którą mogłabym odczuć po tym, co teraz miała zamiar mi wyjawić.

— Oni oboje byli zdeprawowani — powiedziała na koniec.

Tak więc na krótko przeciwstawiłyśmy się temu znów razem i owładnęła mną pewnością, że teraz, kiedy wszystko stało się tak jasne, nabiorę większej ufności do siebie.

— Doceniam to doprawdy — powiedziałam — postąpiła pani bardzo przyzwoicie, nie mówiąc mi tego dotąd; na pewno jednak nadszedł już czas, aby to ujawnić przede mną w całości.

Zdawało się, że się z tym zgadza, lecz tylko w milczeniu, jak dotąd; co widząc, ciągnęłam dalej:

— Musi mi pani to teraz powiedzieć. Na co ona zmarła? No więc, czy między nimi coś było?

— Wszystko było.

— Pomimo różnicy...?

— Och, ich stanowisk i sfery, do której należeli — wypowiedziała to żalonym tonem.

— Ona była prawdziwą damą.

Zastanowiłam się; miałam jej obraz na nowo przed oczyma.

— Tak... ona była prawdziwą damą.

— A on taki zwykły służący — rzekła pani Grose.

Czułam niewątpliwie, że w jej obecności nie powinnam zatrzymywać się zbyt długo nad kwestią, jakie miejsce należałoby przyznać służącemu w drabinie społecznej; lecz nic nie stało na przeszkodzie, by przyjąć opinię mej koleżanki co do stanu upodlenia, do jakiego doszła moja poprzedniczka. Był na to sposób i użyłam go; z tym większą gorliwością, aby uzyskać własny, pełny obraz — na podstawie dowodów — nie żyjącego już, zaufanego człowieka naszego chlebobawcy, przystojnego i mądrego, a przy tym bezczelnego, pewnego siebie, zepsutego, zdeprawowanego.

— To była podła kreatura.

Pani Grose zamyśliła się, jak gdyby rozważając, czy nie trzeba jednak rozróżnić pewnych odcieni.

— Nigdy nie widziałam kogoś takiego, jak on. Robił, co chciał.

— Z nią?

— Z nimi wszystkimi.

Można by rzec, że miss Jessel odrodziła się teraz ponownie w oczach mojej przyjaciółki. Przez moment w każdym razie zdawało mi się, że we wskrzeszonym przez nią obrazie rozpoznałam ją tak wyraźnie, jak wówczas, kiedy oglądałam ją przy stawie, i oznajmiłam zdecydowanie:

— To musiało również odpowiadać jej chęciom!

Z oblicza pani Grose można było wyczytać, że tak było istotnie, ale jednocześnie rzekła:

— Biedna kobieta... zapłaciła za to!

— A więc pani jednak wie, co było powodem jej śmierci? — zapytałam.

— Nie... nic nie wiem; o niczym nie chciałam wiedzieć; byłam naprawdę rada, że nic o tym nie wiedziałam, i dziękowałam Bogu, że wreszcie z tym wszystkim skończyła.

— A zatem domyślała się pani...

— Istotnych przyczyn jej wyjazdu? Och, tak... jeżeli o to chodzi. Nie mogła pozostać. Niech pani pomyśli ona tutaj... jako guwernantka! A później przychodziły mi różne myśli do głowy... i wciąż jeszcze przychodzą. A to, co sobie wyobrażam, jest okropne.

— Nie tak okropne, jak to, co ja sobie wyobrażam — odrzekłam.

I w ten sposób zdradziłam się przed nią zapewne — z czego aż nadto zdawałam sobie sprawę — z poniesionej na całym froncie porażki. To sprawiło, że jej serce znowu wezbrało głęboką litością dla mnie, a sam przyływ jej dobroci odebrał mi wszelką siłę do przeciwstawienia się. Wybuchłam płaczem tak, jak ona płakała poprzednio, kiedy ją do tego doprowadziłam; przyciągnęła mnie do swojej macierzyńskiej piersi i rozplakałam się na dobre.

— Nie umiem dać sobie rady! — szlochałam rozpaczliwie. — Ani ich nie ratuję, ani ich nie chronię! Jest o wiele gorzej, niż to sobie wyobrażałam. One są stracone!

ROZDZIAŁ VIII

W tym, co powiedziałam pani Grose, nie było przesady. W tej całej sprawie, którą przed nią wyluszczyłam, tkwiło coś nieprzeniknionego, jakieś niespodzianki, na których zgłębienie nie umiałam się zdobyć, tak że kiedy spotkałyśmy się ponownie, odurzone jeszcze tym wszystkim, doszłyśmy zgodnie do przekonania, że przede wszystkim musimy pamiętać, by nie dać się ponieść jakimś przesadnym urojeniom. Nie wolno nam było tracić głowy, jeśli nawet niczego innego nie zdołamy zachować — ta jedna rzecz zdawała się nie ulegać wątpliwości, jakkolwiek niełatwo nam to może przyjść w obliczu tego wszystkiego i tych naszych niezwykłych przejść. Późnym wieczorem, gdy cały dom już spał, odbyłyśmy jeszcze jedną rozmowę w moim pokoju: wypytywała mnie o wszystkie szczegóły, by utwierdzić się całkowicie, że naprawdę widziałam to, co widziałam. Spozstrzegłam, że po to, by utrzymać ją w napięciu, wystarczy tylko zapytać, w jaki sposób, jeżeli „sobie to wymyśliłam” doszłam do tego, że potrafię odtworzyć podobiznę każdej z tych osób, które mi się ukazały, podobiznę ujawniającą ich cechy charakterystyczne w najdrobniejszych szczegółach — po prostu portret, który z chwilą, kiedy go jej skreśliłam, rozpoznała natychmiast i nazwała. Pragnęła oczywiście i nie należy jej się dziwić! — przejść nad tą sprawą do porządku dziennego: ja zaś nie omieszkałam jej zapewnić, że całą swoją uwagę skieruję teraz na to, by znaleźć jakąś inną drogę wyjścia z tej sytuacji. Rozstałyśmy się jak najserdeczniej do siebie usposobione, zgodne co do tego, że gdyby to się powtórzyło a byłśmy przekonane, że tego nie uniknę — będę już obyta

z grożącym mi niebezpieczeństwem. Stwierdziłyśmy przy tym dobitnie, że chociaż się nawet tak bardzo narażam, to są jeszcze inne, ważniejsze kłopoty. Najtrudniej jednak przyszło mi się pogodzić z nowymi podejrzeniami, które wkradły się do mojej duszy, a jednak mimo tych powikłań późniejsze godziny dnia przyniosły mi pewną ulgę.

Kiedy się z nią rozstałam, wróciłam oczywiście do moich wychowanków, po pierwszym wzburzeniu szukając w nich oparcia w obliczu dręczących mnie obaw. Ich bowiem dziecięcy urok był najlepszym lekarstwem na stan moich nerwów, był środkiem, do którego zawsze mogłam się uciec i który mnie nigdy jeszcze nie zawiódł. Po prostu innymi słowy, poddałam się na nowo temu swoistemu wpływowi towarzystwa Flory i przy niej uświadomiłam sobie — było to niemalże rozkoszą! — jak ona umiała dotknąć swoją czułą rączką właśnie tego miejsca, które bolało. Spojrzała na mnie ze słodkim namysłem i potem wprost mi zarzuciła, że płakałam. Sądziłam, że te brzydkie ślady po płaczu już się zatarły. Lecz pod wrażeniem tej niezmiernej dobroci serca dosłownie uradowałam się — podówczas w każdym razie — że jednak nie znikły one bez śladu. Patrząc w niebieską głębię oczu tego dziecka, mógłby ktoś posunąć się do określenia ich słodyczy jako chytrej sztuczki przedwczesnej przebiegłości, byłoby to jednak równoznaczne z cynizmem, a nad tym wołałam się teraz nie zastanawiać, odsuwając od siebie rozsądek, a także wzburzenie tak daleko, jak to się dało. Zresztą cóż znaczył tu wszelki rozsądek — tłumaczyła pani Grose wciąż od nowa, aż do samego rana — wobec uroku naszych małych przyjaciół, wobec czaru ich głosu, ich przymilności chwytającej za serce i dotyku ich świeżych twarzątek. Czyż zatem cokolwiek innego poza ich dziecięcą nieporadnością i powabem mogło mieć jakieś znaczenie? Żałowałam jedynie, tak się to jakoś składało, że pragnąc z tym skończyć raz na zawsze, zmuszona byłam również wyjawiać przed nią te oznaki wyrafinowania, na które owego popołudnia przy jeziorze zareagowałam wprost cudownym opanowaniem. Szkoda, że musiałam raz jeszcze się utwierdzić w przekonaniu, jakie zrodziła we mnie ta właśnie chwila, i powtórzyć, w jaki sposób spłynęło na mnie olśnienie, że ta rzecz nie do wiary, ta możliwość porozumienia się, która tak mnie zaskoczyła, musiała być dla obu stron czymś zupełnie zwyczajnym. Szkoda, że musiałam wyłuszczyć przyczyny, dla których, jak mi się zdawało w moim złudzeniu, nawet nie kwestionowałam tego, że dziewczynka widziała ową zjawę równie wyraźnie, jak ja widziałam panią Grose, i że dziewczynka życzyła sobie, abym ja przypuszczała, że ona tej zjawy nie widzi — mimo iż właśnie tak dobrze ją widziała — lecz jednocześnie nie okazując niczego, chciała wybadać, czy ja sama ją widzę! Szkoda, że musiałam przedstawić na nowo te podstępne sztuczki, przy pomocy których Flora starała się odwrócić mą uwagę — to przesadne ożywienie widoczne w jej ruchach, to bardziej intensywne oddanie się zabawie, to pośpiewywanie, tę paplaninę bez sensu i to zachęcanie do igraszek.

A jednak gdybym nie okazała obojętności wobec tych wszystkich sztuczek i gdybym nie ukryła, że się czegoś domyślam, byłabym pozbawiona tych dwóch lub trzech tak nikłych środków pocieszenia, jakie mi jeszcze pozostały. Nie byłabym na przykład w stanie przysiąc przed mą przyjaciółką, iż nie mam wątpliwości co do tego — to samo było już wielkim dobrodziejstwem — że przynajmniej ja sama się nie zdradziłam. Nie byłabym więc zmuszona, z konieczności chwili, w desperacji umysłu — nie wiem już, jak to nazwać — sięgnąć do takiego źródła wiadomości, które może udałoby mi się wydobyć, gdybym tylko przyparła mą koleżankę nieco do muru. Powiedziała mi dużo, słówko za słówkiem, pod presją. Jednakże w tym wszystkim kryło się jeszcze coś, co kładło się drobnym, nieuchwytnym cieniem jak dotyk skrzydeł nietoperza. Przypominam sobie, iż przy tej okazji — bowiem atmosfera domu pograżonego we śnie a przy tym czające się niebezpieczeństwo i nasze długie czuwanie zdawały się być tutaj pomocne — zdałam sobie sprawę, jak doniosły będzie ten ostatni akt zerwania kurtyny.

— Nie mogę uwierzyć w tak okropne rzeczy — pamiętam swoje słowa — nie, musimy sprawę postawić jasno, moja kochana, ja w to nie wierzę. Lecz gdybym w to uwierzyła, to

pozostaje jeszcze coś, czego będę od pani żądać, nie oszczędzając pani zupełnie, och, ani trochę, aby to od pani wydobyć. Co pani miała wówczas na myśli, kiedy byłyśmy tak przybite tym listem ze szkoły; nim Miles powrócił do domu, i kiedy powiedziała pani na moje nalegania, że nie twierdzi pani bynajmniej, aby chłopiec dosłownie nigdy nie okazywał jakichkolwiek złych skłonności? W istocie nie wykazywał ich nigdy podczas tych kilku tygodni, które spędziłam z nim razem, obserwując go tak bacznie. Trwał niby jakiś posążek, niewzruszony w swej zachwycającej, pełnej powabu dobroci. Mogła więc pani ręczyć za niego z całą stanowczością, gdyby nie zaszła wyjątkowa okoliczność, którą pani wzięła pod uwagę. Co to była za okoliczność i do jakiego momentu własnych spostrzeżeń pani nawiązuje?

Było to całkiem bezpośrednie pytanie i chociaż rozmowa nasza nie była prowadzona w lekkim tonie, niemniej jednak, zanim nastał szary świt, przynosząc ostrzeżenie, że należy się rozstać, otrzymałam odpowiedź. To, co moja przyjaciółka miała na myśli, ułatwiło nam ogromnie dalsze poczynania. Nie było to nic innego, jak tylko ten wielce wymowny fakt, że przez cały szereg miesięcy Quint i chłopiec trzymali się wciąż razem. Czy trzeba było doprawdy szukać lepszych dowodów rzeczowych niż to, że pani Grose zdobyła się na skrytykowanie niewłaściwości takiego zachowania, czyniąc uwagi co do niestosowności tak bliskiego związku, oraz to, że posunęła się nawet tak daleko, że wypowiedziała się przed miss Jessel z taką szczerością, na jaką jej tamta pozwoliła. Miss Jessel z bardzo wyniosłą miną zwróciła jej uwagę, żeby pilnowała własnych spraw, na co ta poczciwa kobieta, nie namyślając się długo, udała się z tym do małego Milesa. Pod moim naciskiem przyznała, że powiedziała mu wówczas, iż byłaby rada, gdyby młody panicz nie zapominał o swoim urodzeniu.

Nie przestałam nalegać oczywiście, żądając bliższych szczegółów.

— Przypomniała mi pani, że Quint jest tylko zwykłym służącym?

— Tak, nie inaczej! I właśnie jego odpowiedź zaraz mi się nie podobała.

— No a potem? — odczekałam. — Powtórzył pani słowa Quintowi?

— Nie, nie to. Tego by właśnie nie zrobił!

Wciąż jeszcze ulegałam jej sugestii.

— Byłam pewna w każdym razie — dodała — że tego nie uczynił. Zaprzeczył jednak pewnym okolicznościom.

— Jakim okolicznościom?

— Nie przyznał się, że chodzili wszędzie razem ze sobą, tak jak gdyby Quint był jego wychowawcą... i to jakim jeszcze, a panienka należała tylko do miss Jessel. Mam na myśli te dni wówczas, kiedy wychodził z tym człowiekiem, przebywając w jego towarzystwie godzinami.

— A więc tutaj wykręcał się, zaprzeczał?

Przytaknęła tak skwapliwie, że natychmiast się domyśliłam:

— Rozumiem. On kłamał.

— Och — wymamrotała pani Grose. Miało to oznaczać, że nie jest to nic ważnego, i podtrzymywała to, ciągnąc dalej:

— Widzi pani, ostatecznie miss Jessel nie zwracała na to uwagi. Nie zabroniła mu tego. Zastanowiłam się.

— Czy on podawał to jako usprawiedliwienie?

To odebrało jej znów pewność siebie.

— Nie, nigdy o tym nie wspomniał.

— Czy nigdy nie łączył jej z Quintem?

Zrozumiała, rumieniąc się zupełnie widocznie, do czego zmierzam.

— Ano, nigdy niczego po sobie nie okazał. Zaprzeczał — powtórzyła — wciąż zaprzeczał.

Boże, jakież teraz nacisk na nią wywierałam!

— A więc pani mogła dostrzec, że on wiedział, co łączy tych dwoje nędzników?

— Ja nie wiem... nie wiem! — lamentowała biedaczka.

— Pani już wie, moja droga — odpowiedziałam — nie potrafi pani tylko spojrzeć bezli-
tośnie, tak jak ja, prawdzie w oczy i kryje się pani w sobie, brak pani odwagi, jest pani skro-
mna i delikatna, a tym, co pani kiedyś sama odczuła bez mojej pomocy, dręczyła się pani
skrycie i to panią najbardziej unieszczęśliwiło. Ale ja jeszcze to od pani wydostanę! W chło-
pcu było coś takiego, co nasunęło pani myśli — ciągnęłam — że ten ich wzajemny stosunek
on osłania i ukrywa.

— Och, on nie mógł temu zapobiec...

— Aby pani dowiedziała się prawdy? Nie przeczę! Lecz na Boga — wtrąciłam gwałto-
wnie, idąc za tokiem myśli — czyż nie wskazuje to wyraźnie, do czego potrafili go oni dopro-
wadzić!

— Ależ nic takiego, o czym można by teraz powiedzieć, że to nieładnie! — żałośnie
broniła się pani Grose.

— Nie dziwię się, że kiedy wspomniałam pani o tym liście ze szkoły — nie ustępowa-
łam — przybrała pani tak dziwny wyraz twarzy!

— Wątpię, czy wyglądałam dziwniej od pani! — odparła bez ogródek — a jeśli nawet
miał on wówczas takie złe skłonności, jak z tego wynika, to dlaczego jest teraz takim anioł-
kiem?

— Tak, istotnie... i jeśli w szkole był takim złym duchem! Dlaczego, dlaczego, dlacze-
go? No, tak — powiedziałam udręczona — musi mi pani to pytanie jeszcze raz zadać, choć
przez kilka dni nie będę mogła pani odpowiedzieć. Niech się pani tylko z tym znów do mnie
zwróci! — wykrzyknęłam w taki sposób, że moja przyjaciółka wybałuszyła na mnie oczy. —
Są w tym pewne wskazówki, którymi na razie nie powinnam sobie głowy zaprzętać.

Tymczasem jednak powróciłam do jej spostrzeżenia — do podanego przez nią przed
chwilą przykładu — że chłopiec na szczęście czasem się z czymś wygadał.

— Skoro Quint, wówczas gdy pani zwracała się do chłopca ze swymi perswazjami, był
zwykłym służącym, to jedną z rzeczy, które Miles pani powiedział, było to, jak się domyślam,
że i pani jest nią również.

I znów wyraźnie dała mi poznać, że mam rację; mówiłam więc dalej:

— I pani mu to wybaczyła?

— A pani by tego nie uczyniła?

— Och, tak!

I rozbawione przerwałyśmy ciszę dziwnie brzmiącym, stłumionym śmiechem. Potem
ciągnęłam dalej:

— W każdym razie, kiedy przebywał w towarzystwie tego człowieka...

— Miss Flora była w towarzystwie tej kobiety. To dogadzało im wszystkim!

Mnie to też dogadzało, uświadomiłam to sobie aż nadto; pragnę przez to powiedzieć, że
zgadzało się to dokładnie z tą wyjątkowo groźną koncepcją, którą właśnie starałam się od
siebie oddalić. Lecz tylko tak dalece udało mi się nad sobą zapanować, że zatrzymałam ją dla
siebie; ujawniłam swoje myśli jedynie o tyle, o ile wynikało to z moich słów, z którymi teraz
zwróciłam się do pani Grose:

— Jego ówczesne łągarstwa i zuchwalstwo stanowią, muszę przyznać, mniej budujące
przymioty niż to, co spodziewałam się usłyszeć od pani po tym wystąpieniu zwykłych cech
ludzkich u niego. Jednakże — rozumowałam na głos — na razie tak musi pozostać, bo dzięki
temu wyczuwam bardziej niż kiedykolwiek, że muszę się mieć na baczności.

Już w chwilę potem okryłam się rumieńcem, gdyż z wyrazu twarzy mojej przyjaciółki
uświadomiłam sobie, że wybaczyła mu ona wszystko bardziej wielkodusznie, niżby wniosko-
wać to można z przytoczonej przez nią relacji. Wynikało stąd, że powinnam raczej kierować
się sercem.

To zaznaczyło się wtedy, kiedy wychodziła ode mnie, gdy byliśmy przy drzwiach

pokoju szkolnego.

— Pani oczywiście nie oskarża go...

— O utrzymywanie jakiegoś kontaktu, który on przede mną ukrywa? Ach, niech pani nie zapomina, że dopóki nie uzyskam dalszych dowodów, nikomu nic na razie nie zarzucam.

Po czym, nim jeszcze wyprowadziłam ją od siebie, polecając jej udać się innym przejeściem do swego pokoju, dodałam na zakończenie:

— Po prostu muszę odczekać.

ROZDZIAŁ IX

Czekałam i czekałam, a w miarę jak dni upływały, wracała mi stopniowo równowaga ducha. W rzeczywistości wystarczyło mi tylko kilka dni, które spędziłam, nie odrywając wzroku od moich wychowanków, i które upłynęły bez nowych wydarzeń, aby owa żalсна udreka a nawet ohydne wspomnienia zelzały jak pod dotknięciem miękkiej gąbki. Wspomniałam już o moim poddawaniu się ich dziecięcemu urokowi jako czemuś, co mogłam w sobie dowolnie rozwijać, i nie należy się dziwić, że sięgnęłam teraz do tego źródła po kojący balsam, jaki spływać może do mego serca. Dziwniejsze jeszcze, niż zdolna jestem to oddać, były moje wysiłki, aby się oswoić z sytuacją widzianą teraz przeze mnie w nowym świetle. Napięcie, w jakim żyłam, byłoby z pewnością jeszcze silniejsze, gdyby nie świadomość wielokrotnego już przezwyiężenia się. Zastanawiałam się często nad moimi wychowankami, którzy musieli przecież żywić podejrzenia, że dziwne myśli snują mi się o nich po głowie, a ta okoliczność, że czyniło to je tym bardziej interesującymi, nie mogła w żadnym stopniu przyczynić się do utrzymania ich w nieświadomości. Trzęsłam się po prostu na myśl, iż one same mogą dostrzec, że stały się teraz nad wyraz interesujące. Widząc jednak wszystko w najciemniejszych barwach, jak to często czyniłam w moich rozważaniach, doszłam do wniosku, że jakkolwiek cień przysłaniający niewinność obojga dzieci mógł stać się — pomimo iż były bez winy, a los ich był przesądzony — tylko jeszcze jednym powodem do podejmowania ryzyka. Bywały takie chwile, gdy wiedziona jakimś niepowstrzymanym impulsem, chwytalam je w ramiona i tuliłam do serca. I zaraz potem myślałam sobie: „Cóż one o tym pomyślą? Czyż nie zdradzam się przed nimi za bardzo?” Jakże łatwo można się było uwikłać w żalсную, dziką plątaninę, myśląc nieustannie o tym, co może im zdradzić moje oblicze. Wydaje mi się jednak, że istotna treść tego okresu pokoju, którym jeszcze nadal mogłam się radować, zawierała się w bezpośrednim działaniu uroku moich małych towarzyszy, uroku pełnego ułudy, wciąż jeszcze żywotnego, choć przyćmionego przypuszczeniem, że może to być poza. Przyszło mi bowiem do głowy, że te małe wybuchy mojej wzmożonej czułości muszą wzbudzać niekiedy podejrzenie i pamiętam również, iż zadawałam sobie pytanie, czy w ich własnym, wyraźnie zaznaczonym, przyptywie czułości nie przebija się coś dziwnego.

W tym okresie przejawiały one w stosunku do mnie jakąś nadmierną i nienaturalną serdeczność. Należy to wszakże, mówiłam sobie, przypisać czemuś innemu, a nie tylko wdzięcznej wzajemności dzieci nieustannie rozpieszczanych i tulonych do serca. Hołdy te, którymi tak hojnie szafowały, wpłynęły, prawdę mówiąc, dodatnio na moje nerwy oraz na to, że ani razu nie udało mi się, że tak powiem, złapać ich na tym, by robiły to z rozmysłem. Sądzę, że nigdy jeszcze nie chciały tyle co teraz zrobić dla swej biednej opiekunki. Chociaż uczyły się coraz lepiej i lepiej, co naturalnie sprawiać jej musiało największe zadowolenie, mam na myśli ów sposób, w jaki dostarczały jej rozrywki, w jaki ją bawiły i zaskakiwały bądź to czytając na głos urywki rozdziałów, bądź też opowiadając jej różne historyjki, rozwiązując z nią szarady, wpadając na nią znienacka w przebraniu różnych zwierząt czy histo-

rycznych postaci, a nade wszystko przyprawiając ją o zdumienie recytowaniem „kawałków”, których wyuczyły się w tajemnicy na pamięć i których znały nieskończoną ilość. Nawet nie byłabym w stanie wyliczyć — wnikając w to obecnie — wszystkich punktów tego wyczerpującego osobistego komentarza, uzupełnianego stale dalszymi poprawkami, którymi wypełniałam w tym czasie ich i tak już wypełnione godziny. Zauważyłam już od samego początku, że wykazują one niezwykle dar do wszystkiego, jakieś wszechstronne uzdolnienia, które przy nadaniu odpowiedniego kierunku rozwijały z godnym uwagi połotem. Do swych drobnych zadań podchodziły tak, jak gdyby były w nich rozmiłowane. Cieszyły się po prostu z nadmiaru zdolności, gdy mogły, nie będąc bynajmniej do tego przynaglone, popisywać się wyczynami swej cudownej pamięci. Wyrastały nagle przede mną nie tylko w roli tygrysów i Rzymian, lecz zaskakiwały mnie również swoją znajomością Szekspira, astronomii i nawigacji. Było to tak wyjątkowe zjawisko, iż temu prawdopodobnie należy zawdzięczać w głównej mierze ów fakt, którego dzisiaj nie umiem sobie inaczej wytłumaczyć. Mam tu na myśli moją nienaturalną pogodę ducha w związku z przeniesieniem Milesa do innej szkoły. Z tego, co sobie przypominam, wynika, że pogodziłam się z tym stanem rzeczy tak dalece, by kwestii tej na razie nie poruszać, a moje zadowolenie wypływało zapewne z istoty jego nieustannych urzekających popisów mądrości. Był na to za mądry, ażeby wypaczyć go mogła kiepska guwerkantka, córka wiejskiego pastora. Nicią najdziwniejszą, jeżeli nie najjaskrawszą, jaka przewijała się przez tę gmatwaninę myśli, o której dopiero co wspomniałam, było wrażenie, jakiego mogłam doznać, gdybym się zdecydowała rozważyć, że znajdował się on pod jakimś wpływem, który na jego dziecięcą umysłowość działał niby środek podniecający o wielkiej mocy.

O ile łatwo można było się z tym zgodzić, że taki chłopiec może sobie pozwolić na opóźnienie w nauce, to jednocześnie musiało zastanawiać, że właśnie on został przez dyrektora wyrzucony ze szkoły, co stanowiło zagadkę nie dającą się w ogóle wytłumaczyć. Chciałam tu jeszcze dodać, iż mając je teraz stale przy boku — a bardzo zważałam na to, by nie pozostawiać ich nigdy bez mojej opieki — doszłam do wniosku, iż po tym tropie za daleko nie będę mogła zajść. Żyliśmy w obłokach muzyki, tkliwości, wielkich osiągnięć i w świecie przedstawień amatorskich. Każde z dzieci posiadało wyjątkowy zmysł muzyczny, lecz szczególnie starsze odznaczało się jakimś cudownym wprost słuchem i darem odtwarzania melodii. Fortepian służący do nauki rozbrzmiewał najbardziej demonicznymi fantazjami; a kiedy tego miały już dosyć, rozpoczynały się poszeptywania po kątach kończące się tym, że jedno z nich wybiegało nagle z pokoju, podniecone w najwyższym stopniu, aby znów ukazać się w nowej postaci. Miałam również braci i nie było to dla mnie nowością, że dziewczynki często okazują niewolnicze uwielbienie dla małych chłopców. Przechodziło jednak wszelkie pojęcie, że istniał taki chłopiec, który odznaczał się tak cudowną wyrozumiałością dla młodszego wieku, słabszej płci i niższego stopnia intelektu. Były wyjątkowo zgodne ze sobą we wszelkich poczynaniach i powiedzenie, że nigdy się ze sobą nie kłóciły lub się wzajemnie nie oskarżały, nadałoby tym pochwałom ich słodczy pewien posmak szorstkości. Czasem (kiedy stawałam się właśnie szorstką) natrafiałam na ślady cichej zмовy pomiędzy nimi, która polegała na tym, że jedno z nich starało się mnie czymś zająć, podczas gdy drugie chyłkiem się gdzieś wmykało. We wszystkich poczynaniach dyplomatycznych istnieje, jak mi się zdaje, pewien rys naiwności. O ile jednak moi wychowankowie pozwalali sobie ze mną na różne praktyki, to należy przyznać, że w dyplomacji swej posługiwali się minimalną dozą nietaktu. To wszystko przypisać należy tym po tamtej stronie, których brutalność po chwilowej ciszy wybuchała ze zdwojoną mocą.

Czuję doprawdy, że pozostaję w tyle; lecz muszę się znów pogрузić w tym okropnym bagnie. Zdając relację z tego, co było w Bly odrażające, nie tylko podważam najbardziej liberalne ideały o które zresztą dbam mało; lecz (a to jest inna sprawa) odnawiam przebyte cierpienia i znowuż mozolnie brnę przez to wszystko aż do samego końca. Niespodziewanie nadeszła taka chwila, po której, gdy sobie to na nowo uprzytamiam, sprawa ta zdawała się

być już tylko jednym wielkim cierpieniem. Ale doszłam przynajmniej do jej sedna, a nie ulega wątpliwości, że najprostszą drogą wiodącą do celu jest nieustanne posuwanie się naprzód. Pewnego wieczoru bez żadnego przygotowania — odniosłam znowu wrażenie, jak gdyby mnie owionął jakiś zimny powiew, o który otarłam się zaledwie owej nocy po moim przyjeździe do Bly. Wrażenie było podówczas mniej uchwytnie, niż o tym wspomniałam, i zapewne nie utrwaliłoby się głębiej w mojej pamięci, gdyby mój pobyt tutaj nie został zakłócony. Nie położyłam się do łóżka, siedziałam czytając przy świetle dwóch świec. W Bly znajdował się ogromny zbiór starych książek — pomiędzy nimi trochę powieści z ubiegłego wieku, które dotarły w ten zapadły kąt nie w sposób przypadkowy, lecz dzięki wybitnie złej reputacji, i nieodparcie pobudzały ciekawość, charakterystyczną dla mojego młodego wieku. Przypominam sobie, że książkę, którą miałam w ręce, była *Amelia* Fieldinga, przypominam sobie również to, że byłam całkowicie przytomna. Pamiętam dalej, że równocześnie opanowały mnie: przeświadczenie, że jest już strasznie późno i jakaś szczególna niechęć, by spojrzeć na zegarek. Przypuszczałam wreszcie, że białe zasłony zawieszane w głowach łóżeczka Flory osłaniają jej sen dziecięcy w jego pełnej doskonałości, o czym zresztą upewniłam się już dawno wcześniej. Przypominam sobie pokrótce, że jakkolwiek głęboko zainteresowana autorem, którego czytałam, przyłapałam się na tym, że odwróciwszy stronicę książki, która nagle straciła swój urok, patrzyłam z natężeniem na drzwi mojego pokoju. Był taki moment, podczas którego nasłuchiwałam pod nawrotem tego nieokreślonego uczucia z owej pierwszej nocy, że coś się w domu dzieje, coś nieuchwytnego, i spostrzegłam, jak łagodny powiew z otwartego okna poruszył lekko na pół podciągnięte firanki. Potem z wszelkimi oznakami powzięcia decyzji, które musiałyby się wydać imponujące każdemu, kto mógłby je tam podziwiać, odłożyłam książkę, podniosłam się i ze świecą w ręku wyszłam z pokoju na korytarz, którego mroków moje nikłe światło nie zdołało rozproszyć, i bezgłośnie zamknęłam drzwi za sobą na klucz.

Nie umiem dzisiaj powiedzieć, co mnie do tego skłoniło i czym się kierowałam, ale ruszyłam przed siebie i wysoko unosząc świecę minęłam korytarz. Znalazłam się przy wielkim oknie, górującym nad szerokim łukiem klatki schodowej. W tym miejscu zdałam sobie nagle sprawę z trzech rzeczy. W istocie wystąpiły one równocześnie, oddzielone jednak kolejnymi przeblyskami świadomości. Świeca, którą trzymałam, na skutek gwałtownego potrząśnięcia zagasła i dzięki nie zasłoniętemu oknu spostrzegłam, że ustępujący mrok wczesnego świtu czynił ją niepotrzebną. W następnym momencie, już bez niej uświadomiłam sobie, że na schodach stoi jakaś postać. Wspominam o pewnej kolejności, lecz nie trzeba mi było nawet sekundy, by sprężyć się w sobie i przygotować do trzeciego spotkania z Quintem. Zjawa dotarła już do półpiętra, tak że znalazła się w miejscu najbliższym położonym okna, gdzie zatrzymała się nagle na mój widok i wpiła we mnie wzrok tak samo, jak uczyniła to z wieży i w ogrodzie. Poznał mnie równie dobrze, jak i ja go poznałam; tak oto spoglądaliśmy na siebie z obopólnym natężeniem w zimnym świetle przedświt, połyskującym w wysokich szybach, a także na lśniącej powierzchni dębowych stopni, położonych niżej. W tej chwili był on już jak gdyby zupełnie żywą osobą, pełną zła i nienawiści. Nie w tym jednak zawierał się ów dziw nad dziwy. To wyjątkowe określenie przytaczam w związku z zupełnie inną okolicznością: okolicznością, że na pewno przestałam się już bać i że mogłam teraz z całym spokojem stawić mu czoła i nadać mu bardziej konkretne wymiary.

Ta niezwykła chwila przyniosła mi rzadko odczuwaną udrękę, ale dzięki Bogu, nie przeraziła mnie. I on wiedział o tym, z czego w następnym momencie doskonale zdałam sobie sprawę. Czułam z niezłomną pewnością siebie, że o ile w tej chwili nie załamie się, nie będę potrzebowała — teraz przynajmniej — już się z nim liczyć. I dlatego w ciągu tej chwili widmo przybrało w moich oczach tak realne ludzkie kształty i wzbudziło we mnie jednocześnie taki wstręt, jaki by można odczuć w rzeczywistym spotkaniu dwojga osób, wstręt właśnie z tego powodu, iż było tak naturalne, jak naturalne byłoby spotkanie sam na sam przed świtem

jakiegoś wroga, awanturnika czy przestępcy w domu pogrążonym we śnie. Tylko cisza śmiertelna, towarzysząca naszej długiej wymianie spojrzeń z tak bliska, nadawała temu koszmarowi przy jego przerażającym ogromie piętno czegoś nienaturalnego. Gdybym w tym miejscu i o tej godzinie natknęła się na mordercę, na pewno zamienilibyśmy ze sobą choć kilka słów. Coś musiałyby się wydarzyć między mną a nim za życia, a gdyby się nie zdarzyło, wówczas jedno z nas musiałyby ustąpić. Chwila ta przeciągała się tak długo, że niewiele brakowało, bym sama nie zaczęła wątpić, czy jeszcze żyję. Nie potrafię zdać sobie sprawy z tego, co nastąpiło potem, ale sama cisza — która w pewnym sensie potwierdziła moją przewagę — zamieniła się w żywioł, w którym ta postać znikła mi z oczu; przy czym mogłam wyraźnie zauważyć, że się odwraca, tak iż wydawało się, jak gdybym widziała tego nędznika za życia odwracającego się i zdążającego wypełnić czyjeś polecenie. Ja zaś, utkwivszy wzrok w jego łajdackich plecach, których żadne zgarbienie nie było w stanie więcej zeszepecić, śledziłam go, jak schodził w dół po schodach w ciemność, w której gubił się następny zakręt.

ROZDZIAŁ X

Stałam jeszcze chwilę u szczytu schodów, lecz zrozumiałam w końcu, że jeśli mój przybysz sobie poszedł, to poszedł; po czym wróciłam do swego pokoju. Pierwszą rzeczą, którą spostrzegłam przy blasku pozostawionej świecy, było puste łóżeczko Flory. Na ten zapierający mi oddech widok wróciło całe moje przerażenie, któremu przed pięciu minutami potrafiłam się przeciwstawić. Rzuciłam się w kierunku łóżeczka, gdzie pozostawiłam ją leżącą, i ponad którym — bo jedwabna kołderka i prześcieradło były w nieładzie — białe zasłony zostały podstępnie zaciągnięte. Potem ku mojej niewypowiedzianej uldze kroki moje wywołały w odpowiedzi szmer, zauważyłam jakiś ruch firanek i dziewczynka, jak rozkwitający pączek róży, wyłoniła się spoza nich. Stała przede mną z tą swoją minką tak pełną szczerości, nic prawie nie mając na sobie, świecąc gołymi, różowymi nóżkami i skąpana w złotej aureoli swoich loczków. Spoglądała z niezmierną powagą i nigdy jeszcze w tym stopniu nie zdarzyło mi się utracić poczucia uzyskanej przewagi (która podziałała na mnie z równie intensywną siłą) kiedy uświadomiłam sobie, iż zwraca się do mnie z wyrzutem: — Niedobra! Gdzież pani była? — Zamiast ją zganić za jej wybryk, byłam oto sama stroną oskarżoną i usprawiedliwiająca się. Sama wytłumaczyła wszystko ze skwapliwą, uroczą prostotą. Gdy leżała w łóżku, spostrzegła nagle, że nie ma mnie w pokoju, i zerwała się, aby zobaczyć, co się ze mną stało. Ucieszona, że znów ją ujrzałam, osunęłam się z powrotem na krzesło i poczułam wówczas dziwną, lekką słabość; ona zaś tupocąc podbiegła prosto do mnie, skoczyła mi na kolana, rzuciła mi się w ramiona. Zachwycająca jej twarzyczka, opromieniona blaskiem świecy, zarumieniona jeszcze była od snu. Pamiętam, że na moment przymknęłam oczy, świadomie ulegając temu, co było nazbyt piękne, a co przeświecało w niebieskiej toni jej jasnych oczu.

— Rozglądałaś się za mną przez okno rzekłam. — Myślałaś, że przechadzam się może po parku?

— Ach wie pani, zdawało mi się, że ktoś tam chodzi...

Nie zbladła ani trochę, mówiąc mi to z uśmiechem na twarzy.

Och, jakżeż ja teraz na nią spojrzełam!

— I nie zobaczyłaś nikogo?

— Ach, nie — odparła (z pełnym uprzywilejowaniem dziecięcego braku konsekwencji) niemal z oburzeniem, choć w jej przeciągłym zaprzeczeniu brzmiała nuta słodczy dziecięcego głosu.

W owej chwili, w ówczesnym stanie moich nerwów, byłam absolutnie przekonana, że

kłamie. Jeśli przy tym jeszcze raz przymknęłam na to oczy, to tylko wobec tych trzech czy czterech oszołamiających możliwości, stojących do mej dyspozycji, dzięki którym — jak uważałam, będę mogła z tym się uporać. Jedna z tych możliwości kusiła mnie przez chwilę z tak wyjątkową mocą, że aby nie ulec, musiałam palcami wpić się kurczowo w ciało dziewczynki, która, o dziwo, zniosła to bez wydania jakiegokolwiek okrzyku lub innego śladu przestradchu. Czyż nie lepiej przeciąć to z miejsca i skończyć z tym raz, na zawsze? Rzucić prawdę wprost w tę jej cudną, roziskrzoną twarzyczkę? „Ty je widzisz, ty widzisz, ty wiesz o tym, że je widzisz i wyraźnie już podejrzewasz, że ja wiem o tym. Czemuż więc szczerze się nie przyznasz, tak żebyśmy przynajmniej razem mogły się z tym borykać i dowiedzieć się może związane tak przedziwnym losem — jaka jest nasza sytuacja i do czego to wszystko prowadzi?” Pokusę tę, niestety, zaraz odrzuciłam: gdybym potrafiła jej się poddać, zaoszczędziłabym sobie... No cóż, o tym się dowiecie. Zamiast ulec pokusie, zerwałam się znów na nogi, spojrzałam na łóżko Flory i nieporadnie wybrałam drogę pośrednią.

— Dlaczego zaciągnęłaś zasłony nad łóżkiem? Czy po to, abym myślała, że jesteś w łóżeczku?

Flora zastanowiła się pełna promiennej jasności; po czym, jak zwykle bosko uśmiechnięta, powiedziała:

— Bo nie lubię pani straszyć!

— Jeżeli jednak, jak myślałaś, wyszłam?...

Jednakże w żaden sposób nie dała się zbić z tropu; przeniosła wzrok na płomień świecy, jak gdyby to pytanie było całkiem oderwane lub w każdym razie tak nieosobiste, jak pani Marcel albo dziewięć razy dziewięć.

— Och, pani wie jednak, kochana — odrzekła wcale stosownie — że pani mogła powrócić i że pani wróciła!

Trochę później, gdy znów położyła się do łóżka, dłuższy czas nieomal na niej siedziałam, by nie wypuścić z dłoni jej rączki, przez co okazywałam, jak bardzo zdaję sobie sprawę z celowości mojego powrotu.

Można sobie wyobrazić, jaki od tego momentu był ogólny charakter moich nocy. Przesiadywałam wielokrotnie do nie wiem już jak późnej godziny; wybierałam chwile, kiedy moja współtowarzyszka niewątpliwie spała, i wysuwając się z pokoju, krążyłam bezszelestnie po korytarzu. Zapuszczałam się tam nawet, gdzie ostatnio natknęłam się na Quinta. Lecz nigdy go tam więcej nie spotkałam i mogę też tu od razu zaznaczyć, że nie zdarzyło mi się, abym go raz jeszcze ujrzała w samym domu. Niemniej niewiele brakowało, a spotkałaby mnie na schodach innego rodzaju przygoda. Pewnego razu patrząc z nich z góry na dół, spostrzegłam obecność jakiejś kobiety, siedzącej na jednym z niżej położonych stopni, odwróconej do mnie tyłem, w pół zgiętej, z twarzą ukrytą w dłoniach, z wyrazem udręki w całej postaci. Jednakże zaledwie tam się znalazłam, a już zniknęła, nie spojrzawszy wcale na mnie. Mimo to wiedziałam dokładnie, jaką okropną twarz mogłabym ujrzeć. Zastanawiałam się przy tym, czy w wypadku, gdybym zamiast na górze znajdowała się na dole, zdobyłabym się na ten sam hart ducha, jaki wykazałam ostatnio wobec Quinta, by pójść po schodach na górę.

Zresztą najbliższy czas nasunął niejedną sposobność wymagającą hartu ducha. W jedyną noc po ostatnim spotkaniu z tym panem — liczyłam teraz każdą noc — przyszło groźne ostrzeżenie, które było niebezpiecznie z tym związane i które doprawdy, ze względu na to, że było tak szczególnie niespodziewane, okazało się wstrząsem najostrzejszym, jaki dotąd przeżyłam. Było to ściśle pierwszej nocy z owej serii, kiedy zmęczona czuwaniem powiedziałam sobie, iż mogę znów kłaść się do łóżka o zwykłej porze, nie osłabiając czujności. Zasnęłam natychmiast i jak później sprawdziłam, spałam prawie do pierwszej w nocy, lecz przebudzwszy się usiadłam sztywno wyprostowana i tak rozbudzona, jak gdyby mną jakaś ręka silnie potrząsnęła. Pozostawiłam palącą się świecę, ale teraz była zgaszona i miałam od razu pewność, że to Flora ją zgasła. Skoczyłam na równe nogi, dopadłam w ciemności do jej łóże-

czka i stwierdziłam, że je opuściła. Jeden rzut oka w stronę okna wyjaśnił mi więcej, a po zapaleniu zapalki obraz uzupełnił się do reszty.

Dziecko znów wstało z łóżka, tym razem gasząc świecę, i znowu wcisnęło się za firanki i spoglądało w noc, by coś obserwować czy też z kimś się porozumieć. To, że tym razem coś widziała, tak jak uprzednio — o czym się przekonałam — nie widziała, wykazał mi fakt, że nie spłoszyło jej ani ponowne zapalenie światła ani też pośpiech, z jakim starałam się nałożyć nocne pantofle i coś na siebie narzucić. Zasłonięta, ukryta, zaabsorbowana, opierała się zapewne o parapet — okiennice otwierały się na zewnątrz — i była całkowicie pochłonięta, nie pamiętając o niczym. Wielki, cichy księżyc przyszedł jej z pomocą i ta okoliczność zaważyła na szybkości mej decyzji. Była twarzą w twarz ze zjawą, którą spotkałyśmy przy jeziorze, i mogła się z nią teraz komunikować, czego wówczas nie była zdolna uczynić. Ze swej strony powinnam się teraz dostać przez korytarz, tak aby jej nie spłoszyć, do jakiegoś innego okna zwróconego w tym samym kierunku. Podeszłam do drzwi tak cicho, że mnie nie usłyszała. Wyszłam z pokoju, przymknęłam drzwi za sobą i wyteżyłam słuch, by pochwycić jakiś ewentualny szmer wywołany przez Florę. Stojąc tak w korytarzu, miałam wzrok zwrócony na drzwi do pokoju jej brata, które znajdowały się nie dalej niż dziesięć stóp i które, w sposób nie dający się opisać, wywołały u mnie na nowo ten dziwny impuls, o którym wyraziłam się ostatnio jako o mojej pokusie. A gdybym tak weszła wprost do wnętrza i podeszła do jego okna? — A gdybym tak, narażając się w obliczu jego chłopięcego zdziwienia na wyjawienie moich pobudek, zarzuciła na resztę tych tajemnic jeszcze dłuższe cugle śmiałości?

Myśl ta utkwiała mi w głowie dość mocno, by popchnąć mnie w stronę jego pokoju i tam zatrzymać. Nadstawiłam uszy na rzeczy niezwykcyjne; zastanowiłam się, co też może kryć się tam niebywalego; rozważałam sobie, czy jego łóżko jest też puste i czy też czatuje w ukryciu. Była to minuta głęboka, bezdźwięczna, a pod jej koniec impuls mój zgasł. Cicho było u niego, mógł być niewinny, ryzyko było straszliwe, zawróciłam. Na dworze była jakaś postać — postać, która tam grasowała, żeby coś zobaczyć, przybysz, z którym Flora była związana; ale nie ten, który tak bardzo interesował się moim chłopcem. Zawahałam się na nowo, lecz z innych przyczyn i tylko na kilka sekund; potem dokonałam wyboru. W Bly było aż za dużo pustych pokoi i stanowiło to tylko kwestię wyboru najwłaściwszego z nich. Uzmysłowiłam sobie nagle, że najlepiej nadawać się będzie do tego celu pokój położony niżej, ale wysoko wzniesiony nad ogrodem — w masywnym narożniku określonym przeze mnie jako stara wieża. Była to obszerna, kwadratowa komnata, dość wystawnie urządzona sypialnia, której przesadne rozmiary czyniły ją tak niewygodną, że przez całe lata, choć utrzymana przez panią Grose we wzorowym porządku, nie była używana. Często ją oglądałam i umiałam się w niej obracać. Musiałam tylko po przewyciężeniu wahania na myśl o zimnym mroku związanym z martwością tego miejsca, przejść przez nią wszerz i jak najciszej odsunąć zasuwę jednej z okiennic. Gdy miałam to za sobą, otworzyłam cichutko okiennicę. Kiedy przywarłam twarzą do szyby, mogłam stwierdzić, że znajdowałam się po właściwej stronie budynku i będę mogła stamtąd wszystko zobaczyć, gdyż na zewnątrz nie było tak ciemno, jak w pokoju. Potem ujrzałam coś więcej. Księżyc rozproszył nocne ciemności wyjątkowo silnie i odsłonił przede mną jakąś osobę stojącą na trawniku, pomniejszoną przez odległość; stała nieruchomo jak gdyby zaczarowana, spoglądając do góry, tam gdzie się ukazałam, to znaczy — patrzyła nie tyle wprost na mnie, ile na coś, co znajdowało się widocznie nade mną. Jasne było, że nade mną była jakaś inna osoba — ktoś musiał być na wieży; ale osoba na trawniku nie była bynajmniej tą, której się spodziewałam i do której spieszyłam w przekonaniu, że ją tam odnajdę. Postacią na trawniku — gdy ją rozpoznałam, zrobiło mi się słabo — był biedny, mały Miles we własnej osobie.

ROZDZIAŁ XI

Z panią Grose rozmawiałam dopiero późno nazajutrz. Rygor, jaki stosowałam wobec moich wychowanków, nie spuszczać ich z oczu, utrudniał często zetknięcie się na osobności, tym bardziej że każda z nas wyczuwała, jak ważną rzeczą jest niewywoływanie — zarówno ze strony służby, jak i ze strony dzieci — żadnych podejrzeń jakiegoś ukrytego niepokoju albo jakiegoś omawiania tajemnic. Już jej sama pogodna powierzchowność wpływała na mnie wybitnie kojąco. W jej świeżej twarzy nikt nie mógłby się dopatrzeć najmniejszego odbicia moich okropnych zwierzeń. Wierzyła mi, jestem pewna, absolutnie; gdyby mi nie wierzyła, nie wiem, co by się ze mną stało, bo sama jedna nie zniosłabym tego napięcia. Była ona jednak wspaniałym uosobieniem błogosławionego braku wyobraźni i jeśli nie zauważyła w naszych małych wychowankach niczego oprócz ich piękności i przymilności, ich szczęścia i rozumu, nie miała też bezpośredniego kontaktu ze źródłem moich kłopotów. Gdyby uwidoczniły się jakiegokolwiek objawy ich duchowego skażenia lub przygnębienia, to odbiłyby się one również na niej. W tym stanie rzeczy jednak mogłam wyczuć, że kiedy obejmowała je wzrokiem, skrzyżowawszy tęgie białe ramiona, z uosobieniem pogody w całym jej spojrzeniu, dziękowała łasce boskiej za to, że nawet gdyby zostały zwichnięte ich charaktery, to jeszcze będzie można wszystko naprawić. Wzloty wyobraźni powinny według niej ustąpić przed nieustającym ciepłem ogniska domowego. Zaczęłam też dostrzegać, jak coraz bardziej przekonana o tym, że — w miarę jak czas upływał bez żadnego nowego wydarzenia — nasze dzieciątka umiały sobie mimo wszystko radzić, skierowała ona całą swą troskliwość na smutną sprawę, której uosobieniem była ich obecna opiekunka. Było to dla mnie samej rozsądnym uproszczeniem: zaręczyć mogłam, że wobec świata twarz moja niczego nie ujawni, lecz w tych warunkach ogromnym obciążeniem byłaby jeszcze dodatkowa troska o nią.

O tej godzinie, o której teraz mowa, powodowana wewnętrznym nakazem, podeszła do mnie na taras, gdzie pod koniec lata popołudniami na słońcu było całkiem przyjemnie. Usiadłyśmy tam razem, podczas gdy w pewnej odległości przed nami, jednak dość blisko, by można było w każdej chwili je przywołać, to tu, to tam, przechadzały się dzieci, nastrojone wyjątkowo posłusznie. Przechadzały się wolno, w doskonałej harmonii, poniżej nas po trawniku. Chłopiec czytał głośno z książki jakąś bajkę, obejmując siostrę ramieniem, by mieć ją blisko siebie. Pani Grose przyglądała się im z pozornym spokojem; potem uchwyciłam stłumiony wewnętrzny zgrzyt, z którym obróciła się, by świadomie odciągnąć moją uwagę od tego, co kryje się w głębi scenerii. Uczyniłam z niej powiernicę rzeczy strasznych, lecz w jej cierpliwości pomimo bólu, jaki zadawałam, kryło się jakieś dziwaczne uznanie dla mojej wyższości, dla moich umiejętności i mojej funkcji. Ofiarowała całą duszę moim zwierzeniom tak, że gdybym chciała zgotować napój diabelski i przedstawiła taką propozycję z całą powagą, ona podałaby próżne naczynie z całą ochotą. Takie było jej rzeczywiste nastawienie w owej chwili, kiedy opisując zdarzenia ubiegłej nocy, doszłam do tego, co mi powiedział Miles, gdy zesłam na dół, by przyprowadzić go do domu po zobaczeniu go o tak niezwyklej porze prawie na tym samym miejscu, gdzie się obecnie znajdował. Aby nie rozbudzić domowników wybrałam wówczas przy oknie po głębszym namyśle raczej ten sposób, niż jakiegokolwiek inny, bardziej hałaśliwy. Tymczasem wzbudziłam tylko w niej wątpliwości, mało zresztą licząc na powodzenie pomimo rzeczywistej sympatii, jaką mnie darzyła, gdy usiłowałam na nią przelać moje odczucie prawdziwej wspaniałości tej pewnej dozy natchnienia, z jaką chłopiec przyjął moje ostateczne, jasno sformułowane wyzwanie, w chwili kiedy przyprowadziłam go do domu. Skoro tylko ukazałam się na tarasie w świetle księżyca, chłopiec podszedł prosto do mnie, nie zbaczając z drogi, na co ja wzięłam go bez słowa za rękę i poprowadziłam przez miejsca zaległe ciemnością w górę schodami, gdzie Quint tak łąpczywie

czatował na niego, wzdłuż korytarza, gdzie nasłuchiwałam i drżałam, i dalej do opuszczonego przezeń pokoju.

Całą drogę trwało między nami całkowite milczenie i zastanawiałam się — och, jak ja się zastanawiałam — czy on w swej przerażającej małej główce nie szuka czegoś, co byłoby możliwe do przyjęcia i nie nazbyt groteskowe. Na jaką próbę wystawiłoby to jego pomysłość... a wyczuwałam tym razem pod istotnym zakłopotaniem jakiś dziwny dreszczyk triumfu. Była to niebezpieczna pułapka dla każdego zwierzątka, któremu dotąd udawało się wymykać. Nie mógł już dłużej udawać doskonałej przyzwoitości ani nawet pretendować do niej. Jak też, u licha, on z tego wybrnie? Doprawdy, kołatało we mnie gwałtownym pulsem pytanie, równie nie rozwiązany problem, jak, u licha, ja z tego wybrnę. Jak nigdy dotąd stanęłam wreszcie w obliczu całego ryzyka związanego nawet teraz z uderzeniem przeze mnie w moją własną strunę strachu.

W rzeczy samej, przypominam sobie, kiedy wsunęliśmy się do jego pokoiku, gdzie nie spał on w ogóle tej nocy, a przez niczym nie zasłonięte okno wdzierał się blask księżycowy, czyniąc wszystko tak jasnym, że nie trzeba było zapalać zapalki — przypominam sobie, jak nagle opuściły mnie siły i opadłam na skraj łóżka pod naporem przeświadczenia, że na pewno musi on o tym wiedzieć, jak mnie — jak to się mówi — „dostał”. Mając całą swą mądrość do usług, będzie mógł robić, co zechce, tak długo, dopóki w dalszym ciągu odsuwać będę stare zbrodnicze metody owych wychowawców młodzieży, którzy uciekają się do gróźb i przesądów. „Dostał” mnie doprawdy i zapędził w ślepy zaułek, bo któż mnie kiedykolwiek rozgrzeszy, któż mnie nie potępi, jeśli okazując najłżejszy odruch wahania, ja pierwsza właśnie wprowadzę w ten nasz idealny stosunek czynnik tak okrutny? Nie, nie; wszelkie usiłowania, aby przyswoić to pani Grose będą równie daremne, jak chęć oddania na papierze tego krótkiego ostrego starcia w ciemnościach, gdy Miles wywołał we mnie po prostu wstrząs zachwytu. Byłam oczywiście jak najbardziej uprzejma i łaskawa: nigdy, nigdy dotąd nie przyłożyłam do jego drobnych ramion rąk tak czule, jak wówczas, kiedy opierając się o łóżko, trzymałam go jak w sieci. Nie pozostało mi nic innego, formalnie przynajmniej, jak tylko zapytać go o to.

— Musisz mi teraz powiedzieć... i to całą prawdę. Po co wychodziłeś? Co tam robiłeś?

Wciąż jeszcze widzę przed sobą jego uroczy uśmiech, białka jego ślicznych oczu i jego połyskujące w mroku ząbki.

— Jeśli pani powiem dlaczego, czy pani zrozumie?

Serce skoczyło mi do gardła. Czyżby naprawdę chciał mi powiedzieć? Nie chciałam wydobyć z siebie głosu, aby go tylko nie zrazić, i wiem, że odpowiedziałam jedynie kilkakrotnym potaknięciem głowy. Był uosobieniem delikatności i podczas kiedy ja potakiwałam zachęcająco głową, stał przede mną bardziej niż kiedykolwiek podobny do małego królewicza z bajki. Odetchnęłam doprawdy, widząc jego wesołą minę. Czy byłoby to czymś aż tak wielkim, gdyby mi to istotnie powiedział?

— A więc — odezwał się wreszcie — wyłącznie tylko dlatego, by pani zrozumiała.

— Co zrozumiała?

— Niech pani mnie sobie wyobrazi... na odmianę... złym chłopcem!

Nigdy nie zapomnę tej słodyczy i humoru, z jakim wypowiedział te słowa, ani jak na domiar wszystkiego pochylił się i pocałował mnie. Faktycznie oznaczało to koniec wszystkiego. Odpowiedziałam na jego pocałunek i zdobyłam się, przytuliwszy go na chwilę w ramionach, na wyjątkowo ogromny wysiłek, by nie rozplakać się. Wytłumaczył się tak właśnie, że prawie nie pozostawił mi możliwości dalszej indagacji i tylko na skutek mego wyraźnego pogodzenia się z tym byłam w stanie powiedzieć, rozglądając się po pokoju:

— Czyż więc nie rozbierałeś się w ogóle?

Jaśniał wprost w mroku.

— Wcale nie. Siedziałem i czytałem.

— A kiedy zszedłeś na dół?
— O północy. Jeżeli jestem zły, jestem zły!
— Rozumiem, rozumiem... ślicznie. Lecz skąd mogłeś mieć pewność, że ja dowiem się o tym?
— Och, co do tego umówiłem się z Florą — jak gładko wypadały te jego odpowiedzi!
— Miała wstać z łóżka i uważać.
Co też uczyniła. Ot, i wpadłam w tę pułapkę!
— Tak więc przebudziła panią, a chcąc wiedzieć, czemu ona się przypatruje, pani również wyrzała... pani zobaczyła.
— Podczas gdy ty — odparłam — zaziębiłeś się na śmierć w nocnym chłodzie.
Był tak dosłownie rozpromieniony tym swoim wyczynem, że pozwolił sobie na radosne przytaknięcie.
— A jakże inaczej mógłbym być takim złym chłopcem? — zapytał.
Sprawę naszą i rozmowę zakończył jeszcze jeden uścisk w uznaniu tego zasobu dobrej woli, na którą, ku swej ucieście, potrafił się zdobyć.

ROZDZIAŁ XII

Muszę tu jeszcze raz zaznaczyć, iż za jasnego dnia to osobliwe wrażenie, jakiego wówczas doznałam, straciło jakby na mocy i wydawało mi się, że nie udzieli się ono pani Grose w tym samym stopniu, chociaż poparłam je dodatkową uwagą, którą on wypowiedział przy naszym rozstaniu.

— Na to wszystko wystarczy kilka słów — rzekłam do niej — słów, które wyjaśniają całą rzecz. Chcąc mnie przekonać, jaki on jest dobry, dorzucił jeszcze na końcu: „Niech pani tylko pomyśli, co ja jeszcze mógłbym zrobić!” On zna siebie jak własną kieszeń i wie doskonale, do czego jest zdolny i czego próbkę dał w szkole.

— O, Boże, ależ się pani zmieniła! — wykrzyknęła moja przyjaciółka.

— Nie zmieniłam się, doszłam po prostu do tego. Może pani być pewna, że cała ta czwórka spotyka się regularnie ze sobą. Gdyby pani tylko przebywała z jednym lub drugim dzieckiem podczas jednej z tych. ostatnich nocy, nie miałyby pani wówczas żadnych wątpliwości. Im więcej im się przypatrywałam i im dłużej czekałam, tym bardziej utwierdzałam się w przeświadczeniu, że o ile mnie nic innego nie upewni, to systematyczne milczenie obojga da mi wystarczającą do tego podstawę. Nigdy nie zdradziły się choćby jednym nieopatrzonym słowem z tym, co je łączyło z ich dawnymi przyjaciółmi, podobnie jak Miles nie napomknął o swoim wydaleniu ze szkoły. Och, tak, możemy tu sobie siedzieć i przyglądać im się, a one paradować mogą przed nami aż do znudzenia; ale nawet teraz, kiedy rzekomo są tak zaczytane i wyglądają, jakby poza tą bajką nie myślały o bożym świecie, pograżone są w swej wizji zmarłych, których na nowo odzyskały. On nic jej nie czyta — oświadczyłam — one rozmawiają o nich... o rzeczach potwornych! Wiem, że plotę tak, jakbym nie była przy zdrowych zmysłach, i doprawdy dziwić się należy, że ich dotąd nie postradałam. To, co oczy me oglądały, przyprawiłoby panią o szaleństwo; ale mnie one tylko szerzej się otwarły, pozwalając mi przeniknąć inne jeszcze rzeczy.

Moje niezwykle jasnowidzenie musiało się jej wydawać czymś strasznym, lecz te czarujące stworzenia, które padły jego ofiarą, połączone słodkim uściskiem, kiedy mijały nas chodząc tam i z powrotem, musiały stanowić dla mojej współtowarzyszki coś, co mogło być dla niej punktem oparcia; i czułam, jak kurczowo trzymała się tego, gdy w niczym nie tamując płomienia mej pasji, nadal nie odrywała od nich wzroku.

— Jakie to jeszcze rzeczy przeniknęła pani?

— Ależ te właśnie, które tak mnie zachwycaly i fascynowały, a które jednak, w głębi mojej duszy, wywoływały u mnie niepokój i miały w sobie coś zagadkowego, co teraz dopiero stało się dla mnie jasne w tak dziwny sposób. Ta ich nieziemska bez mała piękność, ich grzeczność absolutnie nienaturalna. To jest poza — ciągnęłam dalej — to jest taktyka i oszustwo!

— Ze strony tych kochanych dzieciątek?...

— Takich maleństw i tak rozkosznych? Tak jest, mimo że wydaje się to szaleństwem!

Już sama możliwość wypowiedzenia się dopomogła mi wpaść na ślad podążyć za jego biegiem i połączyć: wszystko razem.

— Nie, one nie były grzeczne... one były tylko nieobecne. Żyło się z nimi po prostu dlatego tak wygodnie, ponieważ prowadzą one swoje własne życie. Nic ich ze mną nie łączy... nic ich nie łączy z nami. Należą do niego i do niej.

— Do Quinta i do tej kobiety?

— Do Quinta i do tej kobiety. One chcą się połączyć z nimi.

Och, dopiero teraz biedna pani Grose zaczęła je jak gdyby naprawdę obserwować!

— Lecz po co?

— Z umiłowania całego zła, które w tym strasznym okresie zostało im wpojone przez tę parę łajdaków. A tych sprowadza znowu chęć dalszego wpajania tego zła i kontynuowania szatańskiego dzieła.

— Sprawiedliwe nieba! — powiedziała moja przyjaciółka bez tchu.

Okrzyk był raczej pospolity, lecz tym samym okazała, że w istocie zgadza się z moimi dalszymi dowodami tego, co w owych złych czasach — a wówczas było gorzej jeszcze niż teraz — musiało się wydarzyć. Ten zwykły okrzyk był najlepszym potwierdzeniem zaznanych przez nią doświadczeń i dowodem, że nie myliłam się w moich domysłach, jeśli chodzi o granice deprawacji, do jakich ta para łotrów zdolna była się posunąć. Nie trudno było dostrzec, że poddawała się wspomnieniom przeszłości, kiedy wyrwało jej się po chwili:

— To była para łajdaków! Lecz cóż oni mogą teraz zrobić? — zapytała dalej.

— Zrobić? — powtórzyłam tak donośnie, że Miles i Flora, przechodząc obok wciąż w tej samej odległości, zatrzymali się na moment i spojrzeli na nas.

— Czyż jeszcze pani mało? — zwróciłam się do niej zniżonym głosem, gdy tymczasem dzieci uśmiechnęły się do nas, skinęły główkami i przesławszy nam całusy, podjęły grę od nowa. Urzekła nas ona na minutę; po czym odparłam:

— Oni mogą doprowadzić ich do zagłady!

Na to moja przyjaciółka zmieniła się na twarzy, lecz błagalne spojrzenie, jakie rzuciła mi bez słowa, zmierzało do tego, abym się wypowiedziała wyraźniej.

— Jak dotychczas, nie widzę jeszcze, w jaki sposób, lecz robią, co mogą. Można ich tylko zobaczyć niejako przenikając przez nich wzrokiem i gdzieś w oddali — w miejscach dziwnych, wysoko na szczycie wieży, na dachu domu, za oknem i w bardziej odległych kątach stawu; lecz w tym wszystkim kryje się jakiś tajemny plan, tak z jednej, jak i z drugiej strony, aby się bardziej zbliżyć do siebie i przezwyciężyć zapory; a zatem osiągnięcie celu przez kusicieli jest tylko kwestią czasu. Wystarczy im tylko trzymać nas wciąż pod groźbą.

— Pod groźbą przyłączenia się do nich dzieci?

— A skoro to zechcą uczynić, czeka je zagłada!

Pani Grose podniosła się powoli, a ja dodałam skrupulatnie:

— O ile oczywiście temu nie przeszkodzimy!

Podczas gdy ja nadal siedziałam, ona, stojąc przede mną, wyraźnie zdawała się bić z własnymi myślami.

— Tym musi się zająć ich wuj. Musi je stąd zabrać.

— A kto go do tego skłoni?

Błądziła wzrokiem w dali, lecz teraz zatrzymała go na mnie z jakąś głupawą miną.

— Pani.

— Pisząc do niego, że jego dom przesiąknięty jest zgnilizną, a bratanek i bratanica postradali zmysły?

— Lecz jeśli one naprawdę zwariowały?

— I jeśli ja sama zwariowałam, jak pani pewnie przypuszcza? Cóż za przemiłe wiadomości godne w sam raz, aby przesłała je osoba obdarzona jego zaufaniem i której główne zadanie polega na tym, by nie naruszać jego spokoju.

Pani Grose skupiła myśli, znów śledząc wzrokiem dzieci.

— Tak, on nie znosi żadnych kłopotów. To była jedyna przyczyna...

— Przyczyna, dla której te szatany potrafiły go zwodzić przez tak długi czas? Niewątpliwie, choć jego obojętność musiała być czymś okropnym. Ja sama w każdym razie, nie będąc żadnym złym duchem, nie mogłabym go w błąd wprowadzić.

W odpowiedzi na to moja koleżanka po małej chwili usiadła i chwyciła mnie za ramię.

— W każdym razie niech go pani tu ściągnie.

— T u t a j? — wytrzeszczyłam oczy i przestraszyłam się nagle na myśl, do czego się ona jeszcze posunie. — Jego?

— On tu p o w i n i e n się znaleźć... on powinien pomóc.

Podniosłam się szybko i przypuszczam, że wyraz mego oblicza wydać musiał się jej jeszcze bardziej dziwny niż kiedykolwiek.

— Pani sobie wyobraża, że ja zwrócę się do niego z prośbą o odwiedzinę?

Nie; jej oczy wpatrzone we mnie, z całą oczywistością zadały temu kłam. Nawet przeciwnie — przejrzawszy mnie tak, jak każda kobieta potrafi przeniknąć drugą potrafiła sobie przedstawić to, co i ja sobie wyobrażałam: jego kpinki, jego rozbawienie, jego pogardę, z jaką potraktuje złamanie przyrzeczenia, że nie będę się z niczym do niego zwracać, pogardę dla tej przemyślnej maszynierii, jaką wprawiłam w ruch, byle tylko zwrócić jego uwagę na moje nie za bardzo powabne wdzięki. Nie wiedziała — nikt o tym nie wiedział — jak dumna byłam z tego, iż byłam na jego służbie i że trwałam z taką uporczywością przy naszej umowie. Niemniej jednak uważałam, że doceniła wagę tego ostrzeżenia, które jej teraz rzuciłam:

— Jeżeli straci pani głowę tak dalece, że zwróci się pani do niego o udzielenie mi pomocy...

Przestraszyła się naprawdę.

— Słucham panią?

— Opuśćcie was z miejsca, zarówno jego, jak i panią.

ROZDZIAŁ XIII

Obcowanie z nimi było fraszką, lecz przemawianie do nich okazało się, tak jak zwykle, czymś przerastającym moje siły: byłam tak jak przedtem narażona na trudności, które po głębszym namyśle zdawały się nie do pokonania. Ciągnęło się to przez cały miesiąc przy akompaniamencie coraz nowych dysonansów i w różnych tonacjach, spośród których jedna nuta wybijała się wyraźnie, przybierając stale na ostrości, owa nuta leciutkiej drwiny u moich wychowanków. Jestem dziś tak samo pewna, jak pewna byłam podówczas, że nie uległam wyłącznie jakiejś grze mej przeklętej wyobraźni. Dało się wysledzić z absolutną pewnością, że zdawali sobie sprawę z tego niefortunnego położenia, w jakim się znalazłam, i że ten ich niezwykle kontakt zaciążył w pewnym stopniu przez czas dłuższy na całej atmosferze, w której obracaliśmy się wszyscy. Nie chcę przez to powiedzieć, aby naśmiewali się ze mnie lub

posuwali się do czegoś wulgarnego, to bowiem nie zagrażało mi z ich strony, ale chcę przez to powiedzieć, że analizując to z innego punktu widzenia, mogłam dostrzec, jak pewien nieokreślony i utajony dotąd czynnik, który nas dzielił, uwypuklił się między nami silniej niż jakikolwiek inny, i że takie unikanie zadrażeń nie mogłoby trwać dłużej bez odpowiedniej dozy cichego porozumienia. Chwilami wyglądało to tak, jak gdybyśmy natrafiali na rzeczy, których widok każe się natychmiast zatrzymać, a które wyłaniają się nagle ze ślepych alei, jak przypuszczaliśmy, zamykając z łoskotem owe podwoje tak nieostrożnie przez nas rozwarte, z nieledwie takim łoskotem, że krzyżowaliśmy spojrzenia, gdyż jak wszystkie hałasy i ten był głośniejszy, niż leżało to w naszych zamiarach. Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, a być może, bywały takie chwile, kiedy łapaliśmy się na tym, że każda bodaj dziedzina wiedzy czy przedmiot rozmowy ociera się o tereny zakazane. Do „terenów zakazanych” należało w ogólności zagadnienie powrotu umarłych, a w szczególności pytanie, czy jest możliwe, aby po owych przyjaciółach utraconych przez te małe dzieci coś jednak przetrwało dla zachowania ich w pamięci. Niejednokrotnie mogłabym przysiąc, że jedno z nich w sposób prawie niedostrzegalny mówiło do drugiego: „Ona sądzi, że tym razem jej się to uda — lecz to się jej nie uda!” Aby mi się to mogło „udać”, musiałabym na przykład — raz wreszcie w jakiś sposób — zrobić jakąś bezpośrednią wzmiankę o tej pani, pod której kierownictwem dzieci stawiały pierwsze kroki w dziele wychowania. Przejawiały jakiś zachwycający, nigdy nie zaspokojony apetyt na urywki z historii mego życia, którymi częstowałam je wciąż od nowa. Wiedziały wszystko, co mi się kiedykolwiek przydarzyło, znały ze wszystkimi szczegółami dzieje każdej, najmniejszej nawet przygody, jaką przeżyłam sama, oraz jakie przytrafiły się moim braciom i siostram, i kotu, i psu w moim rodzinnym domu, równie dobrze, jak cały szereg drobniactw o kapryśnym usposobieniu mego ojca, o urządzeniu i układzie naszego mieszkania i o pogwarkach starych kobiet w naszej wiosce. Tyle było tego wszystkiego, wiążąc jedno z drugim, że można by było o tym gawędzić bez końca, byle tylko bez zatrzymywania się, domyślając się instynktownie, co należy pominąć. Z wrodzoną już jakby umiejętnością uderzać potrafiły w struny mojej inwencji i mojej pamięci. I przypuszczalnie nic w tym stopniu nie budziło we mnie większych podejrzeń, że jestem skrycie obserwowana, gdy później rozmyślałam o tych chwilach. W każdym razie tylko w kręgu zdarzeń z mojego życia, mojej przeszłości i moich przyjaciół potrafiliśmy czuć się między sobą jako tako swobodnie: był to stan rzeczy, który powodował, że czasami przerywały mi, zawsze jednak z poczuciem taktu, by wrócić do wspomnień przeszłości. Dopraszały się — bez widocznego związku — bym powtórzyła od nowa głośne powiedzonka Goody Goslinga lub przypomniawszy wszystkie okoliczności, stwierdzające mądrość kucyka z plebanii.

Mój dylemat, jak to nazwałam, stawał się wyjątkowo męczący po części wśród takich sytuacji, a po części wśród sytuacji całkiem odmiennych, a które zaczęły się wytwarzać w miarę rozwoju wydarzeń. Wydawałoby się, iż fakt, że dzień upływał za dniem bez jakiegokolwiek natknięcia się na owe widma, powinien był przyczynić się do uspokojenia moich skołatanych nerwów. Od czasu tej drugiej z kolei nocy, kiedy to stojąc u szczytu schodów musnęła mnie zaledwie świadomość obecności jakiejś kobiety, siedzącej na stopniach, nie zauważyłam niczego takiego ani w domu, ani poza domem, czego by lepiej było nie oglądać. Dość było tam różnych węglów, spoza których spodziewałam się ujrzeć wyłaniającą się nagle postać Quinta, i sporo też było sytuacji, które dzięki tylko swemu posepnemu nastrojowi sprzyjałyby znakomicie pojawieniu się miss Jessel. Lato dobiegło kresu. Lato minęło. Na Bly spadła jesień i zdmuchnęła połowę naszej światłości. Szare niebo, festony zeschniętego listowia, naga przestrzeń i rozsypiska martwych liści upodobiły to miejsce do teatru po przedstawieniu — teatru zaśmieconego wzdłuż i wszerz zmietymi programami. Niekiedy panowała tutaj taka właśnie aura, taki stan warunków dźwięku i ciszy, niewypowiedzianego wyczucia atmosfery sprzyjającej chwili, która trwała o tyle długo, by przynieść ze sobą i pozwolić mi uchwycić groźbę wiszącą w powietrzu, podobnie jak owego czerwcowego wieczoru, kiedy po

raz pierwszy ujrzałam Quinta, i tak samo jak podczas tej długiej chwili, gdy zobaczyłam go za oknem, szukałam go daremnie, rozglądając się po otaczającym mnie kręgu krzewów. Rozpознаwałam już te znaki, te wróżby — rozpoznawałam chwilę i miejsce. Lecz nic temu nie towarzyszyło i pustka panowała nadal, a ja pędziłam swój żywot niczym nie dręczona, o ile można zastosować to słowo do postępowania pewnej młodziutkiej kobietki, której wylewność uczuć zamiast osłabnąć, nadzwyczajnie się jeszcze pogłębiła. Powiedziałam pani Grose, gdy opisywałam tę okropną scenę odegraną przez Florę nad jeziorem — i wprowadziłam ją w zakłopotanie, mówiąc o tym — że poczawszy od tamtego momentu, bardziej by mnie martwiła utrata mej mocy widzenia, niż utrzymanie jej nadal. Potem wyjawiałam, na czym skupiają się moje myśli: tę prawdę, że niezależnie od tego, czy dzieci rzeczywiście wiedziały, czy nie — bo jak dotąd nie zostało to ostatecznie stwierdzone — wolę jednak niby straż ochronna wziąć wszystko na siebie. Gotowa byłam poznać choćby najgorsze, jeśli trzeba będzie. Niemiłym uczuciem, jakiego przelotnie doznałam, była świadomość że mogę mieć łuski na oczach właśnie wtedy, gdy one będą je miały jak najszerzej rozwarte. Trzeba przyznać, że jak dotychczas wydawało się, istotnie miałam łuski na oczach — skończył się pewien akt i byłoby bluźnierstwem nie dziękować za to Bogu. Było to jednak niestety powiązane z pewnymi trudnościami: dziękowałabym Mu z całej duszy, gdybym w równej mierze nie była przeświadczona o istocie tajemnicy moich wychowanków.

W jakim sposobie zdołam dzisiaj odtworzyć na nowo te dziwne etapy stanu mego opętania? Niekiedy gdy przebywaliśmy razem, gotowa byłabym przysiąc, że dosłownie w mojej obecności, lecz nie w bezpośrednim zasięgu moich zmysłów, mieli oni gości wśród siebie, gości sobie znanych i chętnie przez nich widzianych. W takich chwilach, gdyby nie odstręczała mnie od tego już sama tylko ewentualność, iż skutki takiego zaburzenia mogą się okazać groźniejsze od zaburzenia, jakiego można uniknąć, gotowa byłabym dać upust podnieceniu, i krzyknąć: „Są tutaj, są tutaj — wy mali niegodziwcy”, a potem dodałabym jeszcze — „i nie możecie teraz temu zaprzeczyć!” Tymczasem „mali niegodziwcy” przeczyli temu, okazując mi wzmożoną przyjaźń i przymilność. Wyzierało jednak z tego szyderstwo przewagi, jaką mieli nade mną — jak błysk ryby spośród kryształowo czystej głębi. Prawdą oczywistą było, że wstrząśnięta zostałam silniej jeszcze, niż przypuszczałam owej nocy, kiedy znalazłszy się pod rozgwieżdżonym niebem i rozglądając się za Quintem lub za miss Jessel, ujrzałam tam chłopca, nad którego snem powinnam była czuwać i który przeniósł na mnie natychmiast to prześliczne spojrzenie skierowane w górę, tam, gdzie spoza zębatego muru ponad nami radowało się ohydne widmo Quinta. Jeśli chodzi o uczucie trwogi, to przestraszył, jaki ogarnął mnie wówczas, kiedy zrobiłam to odkrycie, przerósł wszystko, czego dotąd doznałam. Temu jednak stanowi przerażenia, w jakim się znalazłam, zawdzięczam wysnucie właściwych wniosków. Trapiłam się o dzieci do tego stopnia, że czasami, w najróżniejszych chwilach, zamykałam się w pokoju tylko po to, by po raz nie wiem który przemyśleć sposób, w jaki będę mogła dotknąć owego problemu. Przynosiło mi to ulgę wprost fantastyczną, ale potem znów chytała mnie rozpacz. Analizowałam wszystko z tej i z tamtej strony i szamotałam się z sobą w swoim pokoju, by załamać się w końcu, popadając w histerię wyzwisk. Gdy zamierały na mych ustach, mówiłam sobie, że mogłyby one doprawdy przyczynić się do ujawnienia czegoś haniebnego, zwłaszcza jeżeli wypowiedziane na cały głos naruszają to instynktowne poczucie delikatności, jakie zawsze panowało w pokoju szkolnym. Kiedy mówiłam do siebie: „One na tyle są przyzwoite, że zachowują milczenie, a ty, osoba darzona takim zaufaniem, jesteś podła, bo mówisz o tym!” czułam, że się rumienię, i kryłam twarz w rękach. Po takich scenach, z którymi się kryłam, byłam bardziej gadatliwa niż zwykle, rozmawiając wciąż z ożywieniem, dopóki znów nie zapadła między nami ta cisza przeogromna, nieledwie dotykalna. Inaczej nie da się określić tego dziwnego, oszołamiającego podniecenia czy też stoczenia się (usiłuję znaleźć odpowiednie określenie) w jakąś ciszę, gdzie kończy się wszelkie życie. Cisza ta nie miała nic wspólnego z większym lub mniejszym gwarem, jaki mogliśmy w danej chwili

wywołać, i dawała się po prostu słyszeć bądź poprzez jakiekolwiek nasilenie wesołości, bądź bardziej przyspieszoną recytację lub głośniejsze brząkanie na pianinie. I wtedy właśnie oni, ci obcy, byli między nami. Mimo że nie byli aniołami, jednakowoż „przechodzili na tę stronę”, jak mówią Francuzi, powodując, iż tak długo, jak byli obecni drżałam ze strachu na myśl o tym, że przekażą swym młodym ofiarom jakieś jeszcze bardziej piekielne wieści lub objawią się im w jaskrawszej postaci od tej, jaką uważali za wystarczającą, jeśli chodzi o mnie.

Tym, z czym przychodziło mi najtrudniej się pogodzić, była okrutna myśl, że cokolwiek bym ja ujrzała, Miles i Flora widzieli więcej — rzeczy straszne, nieodgadnione, które miały swe źródło w przerażających zaułkach przeszłości. Oczywiście to wszystko wywoływało jakiś chłód w powietrzu, lecz w takich chwilach zachowywaliśmy się tym głośniejsze, udając, iż go nie odczuwamy. W wyniku ciągłych ćwiczeń wszyscy troje doszliśmy do tak świetnych rezultatów, że za każdym razem stosowaliśmy nieomal mechanicznie tę samą serię ruchów. Uderzające było to, iż dzieci zapamiętały i całkiem bez przyczyny zasypywały mnie wciąż pocałunkami i nigdy nie omieszczały — jedno lub drugie — pominąć tego bezcennego pytania, które pomagało nam uniknąć niejednej pułapki. „Jak pani sądzi, kiedy on tu przyjedzie? Czy nie uważa pani, że n a l e ż a ł o do niego napisać?” Pytania te, jak wiedzieliśmy już z doświadczenia, były wprost niezastąpione, jeśli chodzi o wybrnięcie z tych niezręcznych sytuacji. Mówiąc „on”, dzieci miały oczywiście na myśli nie kogo innego, tylko swego wuja z Harley Street. Żyliśmy wśród ciągłych rozważań, że on może w każdej chwili przyjechać i przyłączyć się do naszego grona. Nie wyobrażam sobie, aby je można było czymkolwiek bardziej zniechęcić, niż informacją o tym, jak on mógł ustosunkować się do podobnej myśli, lecz gdybyśmy nie mieli w niej oparcia, pozbawilibyśmy się wzajemnie niejednego z naszych najcenniejszych popisów aktorskich. Nigdy do nich nie pisał. Może tkwił w tym egoizm, lecz było to częścią składową tego schlebiającego mi zaufania, jakim darzył moją osobę. Największy bowiem hołd, jaki mężczyzna składa kobiecie, może się wyrazić w bardziej uroczystym przestrzeganiu jednego z uświęconych praw do własnej wygody. Dając więc moim małym przyjaciółkom do zrozumienia, iż ich listy stanowią tylko uroczą formę ćwiczeń stylistycznych, uważałam, że postępuję w myśl obietnicy, iż nie będę się z niczym do niego zwracać. Listy te były zbyt piękne, aby je w ogóle wysyłać. Trzymałam je u siebie i wszystkie są dotąd w moim posiadaniu. Była to ściśle przestrzegana reguła, która w obliczu przypuszczeń powtarzanych wobec mnie przez dzieci iż może się on zjawić każdej chwili między nami, przydawała całej sprawie posmaku ironii. Wyglądało to zupełnie tak, jak gdyby moi młodzi przyjaciele zdawali sobie sprawę z tego, o ile mi to więcej przysparza kłopotu. W dodatku, gdy sięgam wzrokiem w przeszłość, najosobliwsze ze wszystkiego wydaje mi się to, że nigdy w stosunku do nich nie traciłam cierpliwości pomimo napięcia, w jakim żyłam, i pomimo tryumfów, jakie nade mną odnosiły. Rozumiem teraz, jak musiały być naprawdę przemile, jeśli wówczas nie żywiłam do nich żadnej urazy! Czy jednak gdybym wówczas musiała czekać jeszcze dłużej na ratunek, rozgoryczenie nie wzięłoby góry i czy ostatecznie nie zdradziłoby mnie? Nie ma to zresztą większego znaczenia, ratunek bowiem został mi udzielony. Nazywam to ratunkiem, aczkolwiek można by go porównać z nagłym trząśnięciem przy zbyt dużym naprężeniu lub z nagłym rozpętnaniem nawałnicy podczas parnego dnia, kiedy nie można złapać oddechu. Była to przynajmniej jakaś zmiana i nadeszła ona z szybkością wichru.

ROZDZIAŁ XIV

Rankiem pewnej niedzieli udaliśmy się wszyscy do kościoła. Ja szłam, mając małego Milesa przy boku, a przed sobą i dobrze na oku miałam jego siostrę kroczącą obok pani

Grose. Dzień był chłodny i jasny, pierwszy tego rodzaju od dłuższego czasu. Noc pozostawiła po sobie lekki osad mrozu, a jesienne powietrze, świeże i ostre, nadało dzwonom kościelnym wesołą prawie nutę. Dziwny to był odruch myślowy, że akurat w takiej chwili zostałam szczególnie i bardzo mile zaskoczona posłuszeństwem moich małych wychowanków. Dlaczegoż nigdy nie wyrażały żadnego sprzeciwu, że nie odstępowałam ich nawet na krok? Coś, nie wiem teraz już co, uzmysłowiło mi, że trzymałam chłopca, przywiązawszy go niemal do siebie swoim szalem, i że sposób, w jaki pędziłam przed sobą moich towarzyszy, mógł robić wrażenie, jak gdybym przedsięwzięła środki ochronne przed jakąś groźbą buntu. Przypominałam strażnika, który ma się na baczności przed ewentualnymi niespodziankami ze strony więźniów, noszących się z zamiarem ucieczki. Lecz wszystko to — mam tu na myśli ich wspaniałą, dziecięcą uległość — należało tylko do tego specyficznego układu zjawisk, które były tak bardzo niezgłębione. Wystrojony na niedzielę w ubranko uszyte przez krawca jego wuja, krawca, któremu pozostawiono wolną rękę i który gustował w ładnych kamizelkach, Miles nosił się z tak wielkopańską minką, z wyrytym w całej postaci piętnem takiej niezależności oraz uprzywilejowania z racji swojej płci i urodzenia, że gdyby nagle wyrwał się na wolność, nie wyrzekłabym nawet słowa sprzeciwu. Dziwnym trafem rozmyślałam właśnie, co bym też uczyniła w razie takiej bezspornej rewolucji. Nazywam to rewolucją, bo zdaję sobie teraz sprawę, jak z pierwszym jego słowem poszła w górę kurtyna przed ostatnim aktem mego strasznego dramatu, a moment katastrofy został gwałtownie przyspieszony.

— Niech pani posłucha, moja kochana — powiedział z uroczą minką — kiedyż ja wreszcie wrócę znowu do szkoły?

Przytoczone tu słowa mogą wydawać się całkiem błahe, zwłaszcza, że wypowiedziane zostały niby niechęć wobec wszystkich, chociaż głównie skierowane do jego nieodstępnej guwernantki — owym słodkim sopranem o zmiennej intonacji, tak jak gdyby rzucał róże. W tych słowach było coś takiego, czego jak zwykle trzeba się dopiero doszukiwać; również i tym razem połapałam się, o co mu chodzi, i to z takim skutkiem, że stanęłam w miejscu tak nagle, jak gdyby jedno z drzew w parku przewróciło się i zatarasowało drogę. Od razu wkra- dło się między nas coś nowego, a on doskonale zdawał sobie sprawę, iż wiem o tym, choć aby mi ułatwić zrozumienie jego myśli, nie potrzebował wcale wyglądać mniej szczerze i czarująco niż zwykle. Mogłam wyczuć, że się już domyślił, jaką uzyskał nade mną przewagę, widząc, że nie mam gotowej odpowiedzi. Zastanawiałam się tak długo, że starczyło mu czasu aż nadto, by jak zwykle uzupełnić swe słowa z wymownym gestem, lecz nie przekonywającym uśmiechem:

— Pani rozumie, moja kochana, że ciągle przebywanie w kobiecym towarzystwie...

To swoje „moja kochana” miał stale na ustach, gdy się do mnie zwracał, i nic nie mogło dokładniej oddać odcienia tego uczucia sympatii, jaką pragnęłam wzbudzić w moich wychowankach, jak to poufale odezwanie. Można było nim tak łatwo operować, w niczym mi nie uwłaczając.

Lecz, och, gdy uprzytomniłam sobie, że teraz na mnie przyszła kolej dobierać słowa! Przypominam sobie, że chcąc zyskać na czasie, próbowałam się roześmiać i zdawało mi się, iż ujrzałam w jego ślicznej twarzyczce, zwróconej ku mnie, jak brzydko i dziwnie zmieniałam się na twarzy.

— I wciąż z tą samą panią? — odparłam.

Nie drgnął wcale ani też nie mrugnął. Faktycznie ta cała sprawa dotyczyła tylko nas dwojga.

— Och, oczywiście, ona jest całkiem morową niewiastą; lecz mimo wszystko jestem chłopakiem, czyż nie? I to chłopakiem, który przecież dorasta.

Przystanęliśmy na chwilę, nadal prawiąc sobie uprzejmości.

— Tak, dojrzewasz powoli.

Och, jakżeż czułam się bezradna! Do dzisiaj zachowałam to niejasne podejrzenie, które

rani mi serce, iż zdawał sobie z tego sprawę i że igrał sobie.

— A musi pani chyba przyznać, że sprawuję się bardzo dobrze?

Położyłam mu rękę na ramieniu i choć wiedziałam, że należało raczej iść dalej, nie byłam jeszcze do tego zdolna.

— Tak, Milesie, przyznaję, że masz rację.

— Prócz tej jednej nocy, pani wie!...

— Tej jednej nocy? — powtórzyłam, nie będąc w stanie spojrzeć mu w oczy z tą samą prostotą, co on.

— No, wówczas kiedy zszedłem na dół... kiedy wyszedłem przed dom.

— Och, tak. Zapomniałam jednak, po coś to zrobił.

— Pani zapomniała? — powiedział ze słodką emfazą dziecięcej nagany w głosie. — Ależ tylko dlatego, by pani pokazać, że mogę to zrobić!

— Och, tak, jesteś do tego zdolny.

— I mogę to znowu zrobić.

Uświadomiłam sobie, że mimo wszystko zdołam się opanować.

— Oczywiście. Lecz nie zrobisz tego.

— Nie, tego więcej nie zrobię. To nie było nic takiego

— To nie było nic takiego — rzekłam — lecz musimy iść dalej.

Ruszył razem ze mną, biorąc mnie pod rękę.

— A więc kiedy wracam?

Zastanawiając się nad tym, przybrałam najbardziej poważny wyraz twarzy.

— Czy dobrze się czułeś w szkole?

— Och, ja wszędzie czuję się dobrze — odpowiedział po krótkim zastanowieniu.

— No, to wobec tego — odrzekłam z drzeniem w głosie — jeżeli czujesz się tak samo dobrze tutaj...

— Ach, ale to nie jest wszystko! Oczywiście, pani wie dużo...

— Chcesz jednak powiedzieć, że i ty wiesz prawie tak samo dużo? — zaryzykowałam pytanie, gdy przerwał.

— Ani połowy tego, co chciałbym wiedzieć! — wyznał całkiem szczerze — lecz to nie jest takie ważne.

— Cóż więc wobec tego?

— No... chciałbym bardziej życie poznać.

— Rozumiem, rozumiem.

Doszliśmy już do miejsca, skąd roztoczył się przed nami widok kościoła i różnych osób, włącznie z garstką domowników z Bly, zdążających do niego i tłoczących się w drzwiach, by nas zobaczyć, jak wchodzimy do środka. Przyspieszyłam kroku; chciałam się tam znaleźć, zanim dojdzie do dalszego rozwinięcia tej sprawy, którą poruszyliśmy. Myślałam z rozkoszą o tym, że zmuszony będzie milczeć dłużej niż godzinę, i nie mogłam doczekać się chwili, kiedy otoczy mnie ten półmrok, jaki panuje w ławach kościelnych, tęskniłam do moralnej nieomal podpory kłęcznika który pozwoli mi zgiąć kolana. Zdawało mi się, że dosłownie biegnę w wyścigu z jakimś chaosem myśli, do którego już mnie prawie doprowadził, lecz wyczułam, że on pierwszy dobiegł do mety. Zanim weszliśmy na cmentarz przy kościele zauważył naraz:

— Chcę być w swoim gronie!

Dosłownie poderwało mnie to z miejsca.

— Ależ Milesie, niewielu jest takich jak ty! — roześmiałam się. — Chyba kochana, mała Flora!

— Czy pani mnie doprawdy porównuje z malutką dziewczynką?

Zbił mnie zupełnie z tropu.

— Czyżbyś więc nie kochał naszej słodkiej Flory?

— Gdybym jej nie kochał... i pani również, gdybym jej nie kochał!... — powtórzył, jak

gdyby szykował się do skoku. Jednak nie dokończył swej myśli, tak że kiedy doszliśmy do bramy, musiałam się znowu zatrzymać, gdyż narzucił mi to po prostu, silniej przytrzymując mnie za ramię. Pani Grose i Flora weszły do kościoła, inni wierni podążyli za nimi, a my na razie zostaliśmy sami wśród starych grobów. Przystanęliśmy na ścieżce wiodącej od bramy przy niskim, podłużnym grobowcu, przypominającym stół.

— Tak, gdybyś nie kochał...?

Błądził oczami po grobach, podczas gdy ja wyczekiwałam.

— Pani już wie co!

Nie poruszył się jednak. Wreszcie wystąpił z czymś, co sprawiło, że osunęłam się wprost na kamienną płytę grobowca, jak gdybym miała zamiar odpocząć.

— Czy mój wuj myśli tak samo, jak pani?

Teraz już wyraźnie odpoczywałam.

— Skąd wiesz, co ja myślę?

— No... nie wiem oczywiście; zastanawiam się bowiem, dlaczego pani mi nigdy nic nie mówi. Lecz chodzi mi o to, czy on o tym wie?

— O czym, Milesie?

— No, o tym, jak mi się wiedzie?

Spostrzegłam w porę, że niezależnie od odpowiedzi, jakiej udzielę na to pytanie, wymagać ona będzie pewnego poświęcenia ze strony mego chlebodawcy. Jednocześnie jednak nasunęło mi się, że my wszyscy w Bly dość się poświęcamy, aby to nam było można wybaczyć.

— Nie sądzę, aby twój wuj bardzo o to się troszczył.

Usłyszawszy to, Miles przyglądał mi się, stojąc nieruchomo.

— A nie uważa pani, że można go do tego skłonić?

— W jaki sposób?

— No jakże, niech tylko tu przyjedzie.

— Ale któż go nakłoni, by tutaj przyjechał?

— Ja to zrobię! — powiedział dobitnie chłopiec, cały rozpromieniony. Obdarzył mnie jeszcze jednym spojrzeniem pełnym wymowy i oddalił się, wchodząc sam do wnętrza kościoła

ROZDZIAŁ XV

Cała ta sprawa została praktycznie przesądzona z chwilą, gdy za nim wcale nie poszłam. Było to pożałowania godne, że tak łatwo uległam podnieceniu, jakie ogarnęło mój umysł, ale świadomość tego bynajmniej nie przywróciła mi równowagi. Siedziałam bezwolnie na kamiennej płycie, próbując doszukać się istotnego znaczenia słów, które usłyszałam od mojego młodego przyjaciela. Wreszcie kiedy pojęłam całość, objęłam nią również na wytłumaczenie nieobecności pretekst, jakoby wstyd mi było dawać przykład takiego spóźnienia dzieciom i reszcie zgromadzonych wiernych. Ponad wszystko zaprzętała mnie myśl, że Milesowi udało się jednak coś ze mnie wyciągnąć, a właściwą tego oceną będzie moje niezręcznie zasłabnięcie. Milesowi udało się mnie zmusić do ujawnienia pewnych szczegółów pozwalających na przypuszczenie, iż istnieje coś, czego się obawiam, i co prawdopodobnie umożliwi mu wykorzystanie moich obaw dla osiągnięcia większej swobody ruchów w jemu tylko wiadomych celach. Mój lęk wynikał z tego, że będę zmuszona poruszyć nieznośny temat wydalenia ze szkoły, gdyż właśnie ta sprawa była źródłem okropności, które się za nią ukrywały. To, że jego wuj powinien tutaj przyjechać, abym mogła się rozmówić na ten temat, było rozwiązaniem, którego urzeczywistnienia, ściśle mówiąc, nie powinnam wcale sobie życzyć;

ale wstręt i ból, jaki mi to sprawiało, tak mnie już wyczerpały, że właściwie zwlekałam tylko i żyłam z dnia na dzień. Wielce tym zmartwiona, wiedziałam, że chłopiec ma dużo racji, że ma prawo mi powiedzieć: „Albo pani wyjaśni memu opiekunowi zagadkę przerwania mojej nauki, albo pani będzie musiała się z tym pogodzić, że nie mogę prowadzić przy pani takiego życia, które dla chłopca jest tak bardzo nienaturalne”. Tak nienaturalne u tego chłopca, z którym mnie los powiązał, były nagłe przejawy pewnej świadomości i planu działania.

W tym właśnie tkwiła przyczyna, iż wytracona zostałam z równowagi i że nie weszłam do kościoła. Chodziłam wokół niego w rozterce, błądząc bez celu. Doszłam wreszcie do wniosku, że wyrządziłam sobie szkodę nie do powetowania, jeśli chodzi o chłopca. Nie mogłam niczego naprawić, a cisnąć się obok niego w ławce byłoby ponad moje siły: wsunąłby mi rękę pod ramię z tym większą pewnością siebie, a ja bym musiała siedzieć przez całą godzinę w milczeniu, świadoma tego, że niechybnie analizuje on naszą rozmowę. Po raz pierwszy od czasu jego przyjazdu pragnęłam znaleźć się z dala od niego. Kiedy przystanąłam przed wysokim oknem od wschodu i nasłuchiwałam odgłosów nabożeństwa, wzięła mnie pokusa i poczułam, iż opanuje mnie ona być może całkowicie, jeśli nie przeciwstawię się choć trochę. Pieku, jakie tutaj przeżywałam, mogłam z łatwością położyć kres, porzucając Bly na stałe. Teraz nadarzyła się sposobność w domu nie było nikogo, kto mógłby mnie od tego powstrzymać. Mogłam rzec się wszystkiego, odwrócić się plecami i czmychnąć. Cała sprawa wymagała tylko, abym jak najprędzej, chcąc poczynić pewne przygotowania, znalazła się z powrotem w domu, gdzie ze względu na tak liczny udział ludzi ze dworu w nabożeństwie kościelnym, praktycznie nie było nikogo. Słowem, po prostu nikt nie będzie mógł mi robić zarzutów, jeśli ogarnięta rozpaczą, zwyczajnie wyjadę. A jakie skutki pociągnie za sobą moja nieobecność, o ile potrwa ona tylko do obiadu? To będzie już za kilka godzin i w końcu — stanęło mi to jak żywe przed oczami — moi mali wychowankowie zaczną z niewinnymi minkami wyrażać zdziwienie z powodu nieasystowania im w drodze powrotnej

„Co pani robiła, niedobra, brzydka? Czy trzeba było nas aż tak martwić i niepokoić... czy pani nie wie o tym... dlaczego opuściła nas pani przy samych drzwiach?” Nie mogłabym znieść takich pytań — gdyby je zadawali — ani tej obłudy w ich ślicznych oczach. A jednak to, co miało mnie spotkać, dokładnie tak by właśnie wyglądało, i w miarę jak obraz ten stawał się coraz wyraźniejszy, postanowiłam zerwać z tym raz na zawsze.

Wymknęłam się, przynajmniej na razie; wyszłam wprost z cmentarza przy kościele i bijąc się gorączkowo z myślami, wróciłam tą samą drogą, jaką przyszłam, na przelaj przez park. Wydawało mi się, że kiedy znalazłam się przed domem, zapadła już u mnie decyzja bezwstydnego ucieczki. Cisza niedzielna rozlana wokół i wewnątrz domu, gdzie nie napotkałam nikogo, pobudziła jeszcze moje wycucie okazji. Gdybym się w ten sposób szybko stąd usunęła, odeszłabym bez wywołania żadnej sceny, bez jednego słowa. Musiałabym to jednak zrobić niezmiernie prędko i trzeba było rozwiązać przede wszystkim kwestię jakiegoś pojazdu. Pamiętam, jak przytłoczona ogromem trudności i przeszkód osunęłam się w hallu przy schodach, tracąc nagle siły i padając na najniższy stopień. Potem przypomniałam sobie że wstrętem, że właśnie tutaj więcej niż miesiąc temu wśród nocnych ciemności podobnie przenikniętych atmosferą zła ujrzałam widmo tej okropnej kobiety. To wspomnienie podniosło mnie znowu na nogi. Przeszłam resztę schodów w górę. Cała wzburzona skierowałam swe kroki w stronę szkolnego pokoju, gdzie znajdowały się moje rzeczy, które miałam zabrać. Otworzyłam drzwi po to, by stwierdzić błyskawicznie, że znów spadła mi z oczu zasłona. Na widok tego, co ujrzałam, straciłam równowagę, lecz przywróciła mi ją siła oporu.

W jasnym świetle południa ujrzałam siedzącą przy moim stole jakąś osobę, którą, gdyby nie moje uprzednie doświadczenie, wzięłabym na pierwszy rzut oka za jakąś służącą pozostałą w domu, być może dlatego, aby go pilnować, i która korzystając z rzadkiej swobody ruchów oraz dostępu do stołu w szkolnym pokoju i moich piór, atramentu i papieru, zdobyła się na niemały wysiłek, aby napisać list do swego ukochanego. Sposób, w jaki podtrzy-

mywała rękami głowę, opierając łokcie na stole z wyraźnym zmęczeniem, wskazywał na pewien wysiłek. Lecz w tym momencie, gdy objęłam ją wzrokiem, uprzytomniłam sobie, że mimo, iż weszłam do pokoju, siedziała nadal dziwnie nieporuszona. I stało się — rozpoznałam jej tożsamość w nagłym przeblysku świadomości, który wywołała samą zmianą swej pozycji. Podniosła się, ale robiła wrażenie, jak gdyby mnie nie słyszała. Z niewypowiedzianie wyniosłą melancholią, obojętna i nieprzystępna, w odległości kilkunastu stóp stała oto przede mną moja nikczemna poprzedniczka. Miałam ją przed sobą w całej postaci, okrytą hańbą i tragiczną. Lecz jeszcze gdy mierzyłam ją wzrokiem i chłonełam każdy szczegół, by ją dokładnie zapamiętać, straszliwy ten obraz rozplątał się w nicość. Ciemna jak noc w swojej ciemnej sukni, posepnie piękna i bezmiernie nieszczęsna, posłała mi długie, wymowne spojrzenie, jak gdyby chciała powiedzieć, że jej prawo do siadania przy moim stole było równie dobre, jak moje, kiedy siadałam przy jej stole. W czasie tych kilku sekund, pełnych napięcia, przeniknęło mnie jakieś niewytłumaczone, mrozące uczucie, że to właściwie ja jestem intruzem. Gdy jakby w dzikim proteście przeciw temu zwróciłam się do niej ze słowami — Ty okropna, podła kobieto! — usłyszałam swój własny głos załamujący się w jakiś obcy mi ton, który przedarłszy się przez otwarte drzwi, rozbrzmiewał poprzez długi korytarz w całym pustym domu. Spojrzała tak, jakby mnie nie słyszała, ale ja przyszedłam już do siebie i wycofałam się. Po chwili nie było już nikogo, pokój tonął w blasku słońca, a ja uświadomiłam sobie, że muszę pozostać w Bly.

ROZDZIAŁ XVI

Miałam nieplonną nadzieję, że powrót reszty towarzystwa zaznaczy się w jakiś ostentacyjny sposób. Zdenerwowałam się na nowo, gdy spostrzegłam, iż w ogóle nie komentowali mojej ucieczki, zachowując głucho milczenie i dyskrecję. Zamiast wypominać żartobliwie i pieścić się ze mną, dzieci nawet nie napomknęły, jaki im zawód sprawiłam. Kiedy pozostawiły mnie samą, zaczęłam obserwować dziwnie zmienione oblicze pani Grose, bo spostrzegłam, że i ona nic nie powiedziała. W wyniku tego doszłam do przekonania, że jakimś sposobem dzieci kupiły jej milczenie — milczenie, które postaram się jednak przełamać przy pierwszej okazji, kiedy znajdziemy się na osobności. Sposobność taka nastęczyła się jeszcze przed porą na herbatę. Na pięć minut udało mi się z nią pomówić w cztery oczy w pokoju, w którym sprawowała obowiązki gospodyni i gdzie zastałam ją o zmroku, siedzącą przy ognisku, z wyrazem umęczenia i ulgi zarazem na twarzy, wśród zapachu świeżo upieczonego chleba, ale w pomieszczeniu czysto wymiecionym i wzorowo uporządkowanym. Tak widzę ją dotychczas, tak widzę ją najwyraźniej: zwróconą twarzą do płomieni ogniska, siedzącą na prostym, niewygodnym krześle, w ciemnawej, czystością świecącej izbie — prawdziwe uosobienie porządku i schludności, domkniętych i zamkniętych szuflad oraz mocnego, zdrowego snu, który obywa się bez wszelkich sztucznych środków.

— Och, tak, prosiły, bym nic nie mówiła. Chcąc sprawić im tę przyjemność tak długo, jak tam były, przyrzekłam im to oczywiście. Lecz co się z panią stało?

— Wyszedłam z wami tylko dlatego, aby się przejść — powiedziałam. — Musiałam potem wrócić, by spotkać się z pewną znajomą osobą.

— Ze znajomą osobą... pani? — spytała zdziwiona.

— Ależ tak, mam dwie takie osoby — zaśmiałam się. — Lecz czy dzieci podały pani przyczynę?

— Abym nie wspominała, że pani nas pozostawiła? Owszem; powiedziały, że pani tak właśnie będzie wołała Czy tak jest w istocie?

Widząc wyraz mej twarzy, poczuła skrucę.

— Nie, wprost przeciwnie — rzekłam, dodając jednak za chwilę: — Czy powiedziały jednak, dlaczego tak będę wołała?

— Nie; panicz powiedział tylko: „Powinniśmy wyłącznie to robić, co jej się podoba!”

— Niczego innego nie pragnę! A co Flora mówiła?

— Miss Flora była wprost słodka. Powiedziała: „Och, oczywiście, oczywiście!”... ja zaś powiedziałam to samo.

Przez moment się namyślałam.

— I pani też była taka słodka... tak jakbym was słyszała. Niemniej jednak między mną a Milesem już wszystko skończone.

— Wszystko skończone? — zapytała, wybałuszając oczy ale co, *miss*?

— Wszystko. To zresztą nie ma znaczenia. Już się zdecydowałam. Wróciłam do domu po to, moja droga — mówiłam dalej — ażeby się rozmówić z *miss Jessel*.

W tym czasie nabrałam już pewnej wprawy, by dobrze trzymać w karchach panią Grose, zanim uderzę w tę nutę; tak że nawet teraz, kiedy zatrzepotała powiekami odważnie, nie okazując nic więcej po sobie, byłam pewna, iż potrafi zachować względny spokój.

— Rozmówić się! Czyżby ona się odezwała?

— Mniej więcej. Kiedy wróciłam, zastałam ją w pokoju szkolnym.

— I co powiedziała?

Dotąd jeszcze słyszę głos tej poczciwej kobiety i widzę szczere osłupienie, jakie odmalowało się na jej twarzy.

— Iż przeżywa męczarnie!...

I wówczas dopiero, prawdę mówiąc, uzupełniwszy sobie mój opis, wytrzeszczyła oczy.

— Chce pani powiedzieć, męczarnie... — rzekła i zawahała się — dusz zgubionych?

— Tak, zgubionych. Dusz potępionych. I tylko dlatego, by dzielić wspólnie te męczarnie...

Moja koleżanka jednak, pozbawiona większej wyobraźni, nalegała dalej:

— Aby wspólnie dzielić?...

— Ona Florę chce dostać w swe ręce.

Obawiałam się, że słysząc te słowa, pani Grose odwróci się ode mnie. Byłam jednak na to przygotowana. Staralam się ją przytrzymać, aby okazać, że nie ustąpię.

— Jak już jednak pani powiedziałam, to nie ma znaczenia.

— Czy dlatego, że się pani zdecydowała? Lecz na co?

— Na wszystko.

— A co pani nazywa „wszystko”?

— Po prostu, zawezwę ich wuja.

— Och, na litość boską, niech pani to zrobi — rzekła moja przyjaciółka wybuchowo.

— Ależ tak, tak! Wiem, że to jedyna droga wyjścia. Mówiąc do pani „wszystko skończone”, miałam na myśli, iż Miles przekona się, jak bardzo się myli, przypuszczając, że obawiam się tego, i obliczając sobie, co może na tym zyskać. Tak, tak, wuj jego dowie się kilku słów prawdy tu na miejscu (i w obecności chłopca, o ile zajdzie potrzeba), jeśli mają mi być stawiane zarzuty, że znowu nic nie zrobiłam w sprawie dalszej nauki...

— Tak, *miss*... — rzekła moja koleżanka z naleganiem w głosie.

— Istnieje przecież ten okropny powód.

Jasne było, że tyle się teraz skłębilo w biednej głowie mej koleżanki, iż można jej było wybaczyć brak pewnej ścisłości.

— Lecz... jaki?

— No, ten list z jego ostatniej szkoły.

— Czy pani pokaże go naszemu panu?

— Powinnam była tak zrobić natychmiast.

— Och, nie! — powiedziała pani Grose zdecydowanie.
— Ja mu oświadczę — mówiłam nieubłaganie dalej — iż nie mogę brać na siebie odpowiedzialności za dalsze losy dziecka, które zostało wydalone...
— Z zupełnie nie wiadomo jakich przyczyn — oznajmiła pani Grose.
— Z przyczyny na zepsucie, jakie rozsiewał. Z jakiej by innej, skoro jest taki mądry, piękny i idealny? Czyż jest może tępy? Czyż jest nieporządny? Czyż jest upośledzony? Czyż jest złośliwy? Jest chodzącą doskonałością... a więc to tylko może wchodzić w rachubę i w tym tkwi istota rzeczy. Ostatecznie — powiedziałam — jest to wina ich wuja. Jeśli zostawił przy nich takich ludzi!...
— On ich w rzeczywistości w ogóle nie znał. Moja w tym wina — rzekła, błędąc mocno na twarzy.
— No cóż, pani przecież na tym nie ucierpi — odrzekłam.
— Dzieci nie ucierpią! — odparła z naciskiem.
Milczałam przez chwilę; spoglądałyśmy na siebie wzajemnie.
— A więc, co mam mu oznajmić?
— Pani nie potrzebuje nic mówić. Ja mu to powiem
Wzięłam to pod rozwagę.
— To znaczy, pani chce napisać?... Jak się pani z nim porozumiewa? — zreflektowałam się, przypomniawszy sobie, że ona sama pisać nie umie.
— Mówię zawsze rządcy. On umie pisać.
— I pani chciałaby, aby on o naszej sprawie pisał?
To moje pytanie było zaprawione dość dużą dawką sarkazmu, którego bynajmniej nie pragnęłam użyć w tym stopniu, i przyczyniło się ono tylko do tego, że całkiem nedorzecznie załamała się po chwili. Łzy pokazały się znowu w jej oczach.
— Ach, niech więc pani pisze!
— A zatem... dziś wieczorem — odparłam wreszcie. Z tymi słowami rozstałyśmy się.

ROZDZIAŁ XVII

Wieczorem postąpiłam o tyle naprzód, że zrobiłam choć początek. Pogoda znów się zmieniła. Na dworze szalała gwałtowna wichura, ja zaś siedziałam przez dłuższy czas przy lampie nad arkuszem czystego papieru, z Florą przy boku, cichą i spokojną, wsłuchując się w bicie deszczu i porywy wichru tłukącego okiennicami. W końcu wyszłam z pokoju, zabierając jedną świecę. Przeszłam przez korytarz i nasłuchiwałam przez chwilę przy drzwiach do pokoju Milesa. Pod pozorem dręczących mnie nieustannie myśli coś popchnęło mnie do natężenia słuchu za jakimś odgłosem, który wskazywałby, że on nie śpi. Niebawem też pochwyciłam taki odgłos, lecz nie w tej formie, jak się spodziewałam. Dobiegł mnie jego dźwięczny głosik:

— Hej, tam... proszę wejść.

Była to radość wśród przygnębienia!

Weszłam ze świecą do wnętrza i zastałam go w łóżku, bez śladu senności na twarzy, ale bynajmniej też nie speszzonego.

— No, i cóż to pani knuje? — zapytał z niewymuszoną swobodą. To nasunęło mi myśl, iż gdyby pani Grose była obecna, na próżno mogłaby szukać dowodu, że między nami istotnie wszystko „się skończyło”.

Stałam nad nim ze swoją świecą.

— Skąd wiedziałeś, że tu byłam?

— Ależ to jasne, słyszałem panią. Czy pani wyobraża sobie, że porusza się pani bezgło-

śnie? Można by powiedzieć, że zbliża się szwadron kawalerii! — roześmiał się prześlicznie.

— A więc nie spałeś?

— Nieszczęśliwie! Leżę sobie i myślę.

Postawiłam świecę, rozmyślnie trochę bardziej z boku, a potem, gdy wyciągnął przyjaciennie swą tak dobrze znajomą dłoń, usiadłam na brzegu jego łóżka.

— A o czymże to zapytałam rozmyślasz sobie?

— A o kimże by, moja kochana, jak nie o pani?

Ach, ta duma, jaką napawa mnie twoje zainteresowanie, nie domaga się aż tego! Wolałabym raczej, abyś spał.

— No, ale wie pani, ja myślę również nad tą naszą dziwną sprawą.

Wyczułam chłód jego małej, twardej dłoni.

— Nad jaką to dziwną sprawą?

— No, nad tym, w jaki sposób pani mnie wychowuje. I w ogóle nad tym wszystkim!

Na chwilę wstrzymałam oddech, a od migocącego kaganka dość było jasno, bym mogła dostrzec, jak z głową opartą o poduszkę uśmiecha się do mnie.

— Ale co ty rozumiesz przez „w ogóle to wszystko”?

— Och, pani już wie, pani już wie!

Przez chwilę nie mogłam wydobyć głosu, choć trzymając go za rękę ze wzrokiem utkwionym w jego wzroku, zdawałam sobie sprawę, że moje milczenie nosi wszelkie znamiona przyznania się do postawionego mi zarzutu i że w całej rzeczywistości tego świata nie ma chyba w tej chwili nic tak fantastycznego, jak obecny nasz stosunek.

— Ależ wrócisz do szkoły z całą pewnością rzekłam — jeśli o to ci chodzi. Lecz nie na stare miejsce, musimy znaleźć jakąś inną, lepszą szkołę. Skądże mogłam wiedzieć, że się martwisz tą sprawą, skoro nic mi nie mówiłeś, nie wspomniałeś nawet o tym?

W łagodnej bieli jego zasłuchanej, jasnej twarzyczki było w tej chwili coś tak wzruszającego, jak u dziecka w szpitalu dziecięcym, przejętego tęsknotą za domem. Kiedy to sobie uświadomiłam naocznie, mogłabym dać wszystko, co w świecie posiadałam, żeby tylko zostać pielęgniarką lub siostrą miłosierdzia, która pomogłaby mu wrócić do zdrowia. Choć może nawet i teraz będę mogła mu pomóc!

— Czy wiesz, że nie powiedziałeś mi nigdy nawet jednego słowa o szkole? Mam na myśli tę ostatnią, nigdy i nie zrobiłeś żadnej wzmianki.

Udawał zdziwienie. Uśmiechał się nadal czarująco. I wyraźnie jednak starał się zyskać na czasie. Czekał na coś, szukał natchnienia.

— Czyżby?

Nie, nie do mnie należało mu pomóc — należało to do czegoś, z czym już się zetknęłam.

Było coś takiego w tonie jego głosu i w wyrazie jego twarzy, kiedy mi to powiedział, że ścisnęło mi serce takim cierpieniem, jakiego nigdy jeszcze nie zaznałam. Gdy pod wrażeniem chwili natężał swój maleńki zaintrygowany umysł i mierzył swe maleńkie siły, by odegrać rolę na wpół niewinnego i na wpół poważnego, przedstawiał widok, który był czymś niewymownie chwytającym za serce.

— Nie, nigdy od czasu, kiedy wróciłeś. Nigdy nie wspomniałeś mi o żadnym ze swoich nauczycieli, o żadnym koledze ani o żadnej najdrobniejszej rzeczy, która przydarzyła ci się w szkole. Nigdy, mój mały, nie, nigdy... Nie zdradziłeś się przede mną najmniejszym nawet słowem z niczego, co ci się mogło tam zdarzyć. Możesz więc sobie wyobrazić, jak bardzo gubię się w domysłach. Od samego początku, kiedy cię ujrzałam po raz pierwszy, aż do dzisiejszego rana, kiedy z tym wystąpiłeś, nie wspomniałeś ani razu o swoich przeżyciach z ubiegłych lat. Zdawało mi się, że z istniejącego stanu rzeczy byłeś zupełnie zadowolony.

Zadziwiające było, jak w moim przeświadczeniu o jego przedwczesnej, choć ukrytej dojrzałości — lub jakkolwiek nazwać bym mogła ten jad, wpajany weń przez owe utajone

wpływy, których nie śmiałam nawet nazwać pełnym imieniem — przybrał on mimo leciutkiego tchnienia wewnętrznego niepokoju pozory osoby jak gdyby dorosłej i tak bliskiej mi duchowo, że zmusił mnie do traktowania go jak równego sobie.

— Myślałam, że pragniesz żyć nadal jak dotąd.

Zdziwiłam się widząc, że się na to lekko zarumienił. Niemniej potrząsnął leniwie głową, jak pacjent powracający już do zdrowia, choć jeszcze trochę wyczerpany chorobą.

— Nie chcę, nie chcę. Chcę się stąd wydostać.

— Znudziło ci się już w Bly?

— O nie, tu w Bly mi się podoba.

— No, więc...?

— Och, pani wie, czego pragną chłopcy!

Czułam, że Miles wie o tym lepiej ode mnie, i chwilowo się wycofałam.

— A może chciałbyś pojechać do swego wujka?

Głowa jego poruszyła się znowu na poduszce, a twarz przybrała słodko ironiczny wyraz.

— Och, tak łatwo nie uda się pani wykreścić!

Teraz ja z kolei umilkłam i zmieniłam się, jak sędzę, na twarzy.

— Mój kochany, ja wcale nie mam zamiaru się wykrecać!

— Pani nie może nawet tego zrobić, choćby pani chciała. Pani nie może, pani nie może!

Leżał wyciągnięty, nie odrywając ode mnie swych prześlicznych oczu.

— Mój wuj musi przyjechać, pani zaś przedtem winna się z tymi sprawami uporać.

— Możesz być przekonany — odparłam z pewnym ożywieniem — że jeśli tak zrobimy, to będziesz musiał stąd w ogóle wyjechać.

— Czy pani nie rozumie, że mnie o to właśnie chodzi? Pani będzie musiała mu powiedzieć... o tym, jak lekkomyślnie pani to zaniedbała: będzie mu pani musiała powiedzieć wiele rzeczy!

Wypowiedział te słowa z taką uciechą, że ułatwiło mi to teraz wymuszenie na nim czegoś więcej.

— A ty, Milesie, co ty mu powiesz? Będzie się ciebie pytał o pewne rzeczy!

— Najprawdopodobniej — odrzekł po namyśle — lecz o jakie rzeczy?

— O rzeczy, których mi nigdy nie mówiłeś. Aby mógł postanowić, co należy ostatecznie zrobić. On nie może posłać cię z powrotem...

— Ja nie chcę wracać! — przerwał mi. — Ja muszę mieć nowe pole do działania.

Powiedział to z zachwycającą pogodą ducha, z niekłamanym, szczerym ożywieniem. Bez wątpienia owa właśnie nuta uzmysłowiła mi najlepiej tę gorycz, tę niecodzienną tragedię dziecięcą, kiedy nim jeszcze upłyną trzy miesiące, zjawi się w domu ponownie, nadal pełen brawury i okryty jeszcze większą niesławą. Owładnęła mną myśl, że nigdy nie będę mogła się z tym pogodzić, i załamałam się zupełnie. Rzuciłam się na niego i gwałtownie przytuliłam do siebie, zdjeta tkliwością i współczuciem.

— Kochany mały Milesie, kochany mały Milesie!...

Twarz miałam blisko jego policzka, a on pozwalał mi się obcałowywać, przyjmując to z pobłażliwie dobrym humorem.

— No i cóż, kochana pani?

— Czy nic, czy już naprawdę nic nie masz do powiedzenia?

Przesunął się trochę na bok, obracając twarz ku ścianie i unosząc rękę do góry, by patrzeć na nią tak, jak to zwykły czynić chore dzieci.

— Powiedziałem pani... powiedziałem pani dziś z rana.

Och; jakże ja go żałowałam!

— Że chcesz po prostu, bym ci się nie naprzykrzała?

Odwrócił teraz twarz w moim kierunku, jak gdyby w dowód uznania dla mej domyślno-

ści, po czym jak najłagodniej odrzekł:

— Aby mnie pani zostawiła w spokoju.

Była w tym nawet jakaś dziwna mała powaga, coś takiego, co zmusiło mnie, aby wypuścić go z objęcia, lecz — mimo że się podniosłam — tkwić nadal przy jego boku. Bóg mi świadkiem, że nigdy nie chciałam go nękać, lecz usłyszawszy to, czułam, że jeżeli się od niego odwrócę, wówczas oznaczać to będzie pozostawienie go własnemu losowi lub szczerze mówiąc, jego utratę.

— Właśnie zaczęłam pisać list do twego wujka — powiedziałam.

— No, to niechże go pani skończy!

Poczekalam chwilę.

— Co się stało wówczas?

Podniósł znów na mnie oczy.

— Kiedy wówczas?

— Zanim tu powróciłeś. I zanim stąd wyjechałeś.

Milczał przez pewien czas, lecz nie odrywał ode mnie oczu.

— Co się stało?

Ton jego słów, w których po raz pierwszy wyczułam jakby jakąś słabą, drżącą nutę zgodności z jego wewnętrznym przekonaniem, po prostu zniewolił mnie, zmusił do tego, że padłam obok łóżka na kolana chciałam raz jeszcze uchwycić szansę pozyskania go sobie.

— Mój kochany, mój maleńki Milesie, gdybyś tylko wiedział, jak bardzo pragnę ci pomóc! To wyłącznie dlatego i tylko dlatego! Bodajbym raczej umarła, niż bym miała sprawić ci ból lub wyrządzić jakąś krzywdę! Wolałabym raczej śmierć niż dopuścić do tego, by choć jeden włos miał spaść ci z głowy. Milesie mój kochany. mój maleńki, dopomóż mi i pozwól, abym cię ocaliła!

— Och, teraz wyrzuciłam to z siebie, nie bałam wie, że mogę posunąć się za daleko.

W chwilę potem wiedziałam już jednak, że posunęłam się za daleko. Moje błagalne wezwanie spotkało się z natychmiastową odpowiedzią, lecz przyszła ona w niezwyklej formie — jakiegoś gwałtownego podmuchu i zimna, jakiegoś powiewu lodowatego powietrza oraz nagłego wstrząsu całego pokoju, tak silnego, jak gdyby szalejący wichur wyrwał okiennice i rzucił je do wnętrza. Chłopcu wydarł się z piersi głośny, ostry krzyk, który, zagubiony w ostatkach ogłuszającego huku, mógł wydać się, choć byłam tak blisko, niewyraźną nutą bądź to radosnego tryumfu, bądź też przerażenia. Zerwałam się szybko, świadoma, że otaczają mnie ciemności. Przez chwilę dzieliło nas milczenie, ja zaś, wysiłając wzrok, zobaczyłam tylko, że zasłony na oknach wiszą zupełnie nieruchomo, a okiennice są szczelnie zamknięte.

— Ależ, świeca zgasła! — krzyknęłam wtedy.

— To ja ją zdmuchnąłem, kochana! — powiedział Miles.

ROZDZIAŁ XVIII

Następnego dnia po lekcjach pani Grose znalazła chwilkę czasu, aby się do mnie spokojnie odezwać:

— Czy pani napisała?

— Tak... napisałam.

Nie dodałam jednak — chwilowo — że list, opatrzony pieczęcią i adresem, leży u mnie nadal w kieszeni. Będzie jeszcze dość czasu, aby wysłać go przez posłańca, zanim wybierze się on do wsi. Tymczasem tego rana moi wychowankowie zachowywali się tak przykładowo i byli tak błyskotliwi, jak jeszcze nigdy. Wyglądało to tak, jak gdyby z całego serca pragnęli

wygładzić wszelkie ślady niedawnych drobnych tarć. Popisywali się rozwiązywaniem najbardziej zawiłych zadań arytmetycznych, wymykając się zupełnie spod mizernego zasięgu mej wiedzy, i z większym zapałem niż kiedykolwiek zasypywali mnie niezliczonymi, dowcipnymi uwagami z dziedziny historii i geografii. Charakterystyczne było, oczywiście szczególnie u Mileśa, że pragnęli niejako okazać, jak łatwo mogli mnie zbić z tropu. To dziecko wciąż żyje w mojej pamięci, ujęte w jakąś ramę piękna i niedoli, której żadne słowa nie potrafią opisać. Odznaczał się czymś tylko sobie właściwym, co przejawiało się w każdym jego odruchu. Nigdy w świecie nie było takiego maleńkiego stworzenia, które w oczach ludzi nie wtajemniczonych, widzących rzeczy bezpośrednio i bez żadnych uprzedzeń, utożsamiałoby się z obrazem bardziej idealnego i bardziej niezwykłego małego dżentelmena. Musiałam wciąż wystrzegać się urzekającej siły kontemplacji, której ulegałam pod wpływem mego wtajemniczenia, aby uniknąć owej mglistej zadumy i westchnień zniechęcenia, w których wciąż usiłowałam na przemian rozwiązać lub odrzucić dziwną zagadkę przewinienia małego dżentelmena, który zasłużył na karę. Przypuśćmy, że pod wpływem owych wiadomości, ciemnych sił rozwarły się przed nim podwoje wyobraźni wszelkiego zła: całe moje poczucie sprawiedliwości krzychało o dowody, że te imaginacje kiedykolwiek wcieliły się w czyn.

W każdym bądź razie nie był on jeszcze nigdy tak doskonałym małym dżentelmenem, jak wówczas tego okropnego dnia po wczesnym obiedzie, gdy podszedł do mnie i pokornie zapytał, czy nie chciałabym przez pół godziny posłuchać jego gry. Dawid grający Saulowi nie umiałby wykazać bardziej subtelnego wyczucia chwili. Był to czarujący dosłownie popis taktu i wielkoduszności, ściśle połączony z wygłoszoną przez niego uwagą: Prawdziwi rycerze, o których lubimy czytać, nigdy za bardzo nie nadużywają swej przewagi. Wiem, co pani przyszło teraz do głowy. Pani pomyślała sobie, że jeśli się pani od wszystkiego odsunie i nikt się pani nie będzie naprzykrzał, pozbędzie się pani kłopotów, jakie pani przyczyniam, i nie będzie musiała mnie pilnować ani też trzymać przy sobie na uwięzi, pozwoli mi pani odchodzić i przychodzić, gdy tylko zechcę. Otóż «przychodzę», jak pani widzi, lecz nie odchodzę! Na to mamy jeszcze dość czasu. Pani towarzystwo sprawia mi doprawdy ogromną przyjemność i chciałem pani pokazać, że spierałem się tylko o zasadę. — Można sobie wyobrazić, czy wobec tego mogłam oprzeć się jego prośbie i czy nie poszliśmy znów razem, ręka w rękę, do pokoju szkolnego. Usiadł przy starym fortepianie i grał tak, jak nie grał jeszcze nigdy. Jeśli są tacy, którzy uważają, że lepiej byłoby dla niego, gdyby zajęty był kopaniem piłki nożnej, to mogę tylko oświadczyć, że w zupełności się zgadzam. Po jakimś czasie bowiem, który pod jego wpływem przestałam w ogóle liczyć, podniosłam się z dziwnym przeświadczeniem, że po prostu zasnęłam na posterunku. Było to po obiedzie, przy blasku ogniska w pokoju szkolnym. Choć w rzeczy samej nie zasnęłam ani na chwilę; ale popełniłam coś o wiele gorszego — zapomniałam. Gdzież w ciągu całego tego czasu podziewała się Flora? Kiedy zwróciłam się z tym pytaniem do Mileśa, nie przestał grać jeszcze przez całą minutę, po czym powiedział tylko: Ależ moja droga, skądże mogę wiedzieć? — Zanosił się przy tym śmiechem pełnym rozbawienia i zaraz potem wpadł jak gdyby w akompaniament wokalny, w nieskoordynowaną, ekstrawagancką melodię jakiejś piosenki.

Udałam się prosto do swego pokoju, lecz jego siostry tam nie było: następnie, zanim zeszałam na dół, zajrzałam jeszcze do innych pokoi. Ponieważ nigdzie jej nie było, należało wnioskować, że jest zapewne w towarzystwie pani Grose, za którą też, pocieszając się tą myślą, zaczęłam się rozglądać. Zastałam ją tam, gdzie ubiegłego wieczoru, ale na moje nagłaśce pytanie wystraszyła się i patrząc tępym wzrokiem oświadczyła, że nie ma pojęcia. Przypuszczała tylko, że po posiłku zabrałam oboje dzieci ze sobą. Miała pełne prawo tak myśleć, bo po raz pierwszy pozwoliłam dziewczynce zejść sobie z oczu, nie biorąc pod uwagę żadnych wyjątkowych okoliczności.

Mogła oczywiście być teraz wśród służących, toteż nie okazując na zewnątrz niepokoju, należało natychmiast wszczać poszukiwania. Umówiliśmy się szybko między sobą; lecz

kiedy w dziesięć minut później, wypełniając naszą umowę, spotkałyśmy się w hallu, mogłyśmy tylko stwierdzić wzajemnie, że nasze poszukiwania jak też ostrożne wypytywania zawiodły całkowicie. Tam w hallu, nie obserwowane przez nikogo, wymieniałyśmy przez chwilę w milczeniu trwożliwe spojrzenia i mogłam wyczuć, że pani Grose była teraz bardzo przejęta, gdyż udzielił się jej również mój niepokój.

— Ona będzie na górze — rzekła wreszcie — w jednym z tych pokoi, gdzie jej pani nie szukała.

— Nie, ona będzie gdzieś dalej odpowiedziałam zdecydowana. — Ona wyszła z domu. Pani Grose wytrzeszczyła oczy.

— Bez kapelusza!

Naturalnie moja twarz też dużo mówiła.

— A czyż ta kobieta nosi go kiedykolwiek?

— Ona jest z n i ą?

— Ona jest z nią! — stwierdziłam. — Musimy je odszukać.

Trzymałam przyjaciółkę za ramię, lecz w obliczu takiego obrotu sprawy zapomniała na razie odwzajemnić uścisk. Przeciwnie, natychmiast musiała podzielić się trawiącym ją niepokojem.

— A gdzie jest panicz?

— Och, on jest razem z Quintem. Są zapewne w pokoju szkolnym.

— Boże! Proszę pani!

Sama byłam tego świadoma, że w moim poglądzie na tę sprawę, a jak przypuszczam, i w tonie moich słów — jeszcze nigdy nie przebijała aż tak zimna pewność siebie.

— Użyły teraz podstępu — mówiłam dalej — i plan swój przeprowadziły z powodzeniem. Miles wpadł na cudowny wprost pomysł: uspił moją czujność, a ona tymczasem wyszła.

— Cudowny? — powtórzyła pani Grose jak echo.

— Piekielny zatem! — odrzuciłam prawie wesołym tonem. — O siebie też się zatroszczył. Lecz skończmy już z tym!

Bezradnie starała się przeniknąć wzrokiem głąb mroków tajemnicy.

— Czy pani go zostawi?...

— Z Quintem przez tak długi czas? Tak... teraz jest mi to już obojętne.

W takich chwilach ujmowała w końcu mą dłoń i tym sposobem zdołała mnie i teraz pohamować. Przez moment jednak z trudem łapała powietrze, niezdolna pogodzić się z moją nagłą rezygnacją, by wreszcie wyrzucić z siebie:

— Czy z powodu listu?

Zamiast odpowiedzi, wsunęłam szybko rękę do kieszeni, wyciągnęłam list, pokazałam go, po czym uwolniwszy drugą rękę z uścisku, podeszłam do wielkiego stołu, który stał w hallu, i położyłam list.

— Łukasz zabierze go ze sobą — powiedziałam, wracając od stołu. Doszłam do drzwi wejściowych i otworzyłam je; teraz byłam już na stopniach.

Koleżanka ociągała się jeszcze; nawałnica, która srożyła się w nocy i wczesnym rankiem, ucichła. Popołudnie jednak było wilgotne i szare. Zeszłam na dół, podczas gdy ona stała jeszcze w drzwiach.

— Pani idzie bez żadnego okrycia?

— Czyż mam się tym przejmować, skoro dziecko nic nie ma na sobie? Nie mogę tracić czasu na ubieranie się — krzyknęłam — a jeśli pani musi się najpierw ubrać, to ja idę sama. Niech pani zostanie tymczasem na górze.

— Z n i m i?

Och, z jakim wtedy pośpiechem przyłączyła się do mnie ta biedna kobieta!

ROZDZIAŁ XIX

Udałyśmy się wprost nad jezioro, jak je w Bly nazywano, zresztą słusznie, choć wodna płaszczyna była może znacznie mniej rozległa, niż się to podówczas wydawało moim młodym oczom, które jeszcze tak niewiele widziały. Przyznać muszę, że rzadko miałam sposobność oglądać wodne płaszczyny, zaś ów staw w Bly czynił na mnie pewne wrażenie swą rozległością i nieustannym falowaniem podczas tych kilku okazji, gdy pod opieką moich wychowanków zgodziłam się naruszyć jego powierzchnię w starej płaskodennej łodzi, przycumowanej tam do naszego użytku. Do łodzi wsiadaliśmy zwykle w miejscu oddalonym około pół mili od domu. Byłam jednak instynktownie przeświadczona, że gdziekolwiek Flora się znajdowała, z pewnością nie było jej w pobliżu domu. Wymknęła mi się cichaczem nie dla jakiejś drobnej przygody. Od owego dnia, kiedy przeżyłam z nią tę wielką przygodę nad jeziorem, wiedziałam doskonale, jaki zakątek podczas naszych przechadzek przyciąga ją najwięcej. Dlatego też nadałam krokom pani Grose tak określony kierunek — kierunek, któremu się jednak przeciwstawiła, gdy się zorientowała, dokąd idziemy, ujawniając tym samym, że ogarniają ją nowe wątpliwości.

— Pani idzie nad wodę? Pani myśli, że ona wpadła...?

— Być może, choć nie przypuszczam, aby tam gdziekolwiek było naprawdę głęboko. Najprawdopodobniej jednak znajduje się ona w tym miejscu, skąd owego dnia obie widziałyśmy to, o czym pani mówiłam.

— Wówczas kiedy udawała, że nic nie widzi?

— Tak, zadziwiająco opanowana! Wciąż byłam pewna, że chciała tam wrócić samotnie. No, i teraz braciszek postarał się o to.

Pani Grose stała nadal w miejscu, gdzie się zatrzymała.

— Czy pani przypuszcza, że one rzeczywiście r o z m a w i a j ą o nich?

Mogłam na to odpowiedzieć bez wahania:

— Mówią o rzeczach, które, gdybyśmy słyszały, po prostu mogłyby nas przerazić.

— A jeśli ona tam jest?

— Tak?

— To w takim razie miss Jessel jest tam również?

— Bez wątpienia. Pani przekona się.

— Och, dziękuję! — wykrzyknęła moja przyjaciółka, stając jak wryta, co widząc, poszłam dalej sama prosto przed siebie.

Nim jednak doszłam do stawu, była już niedaleko za mną. Na pewno też pomyślała sobie, że gdyby miało mi się coś przydarzyć — jak się tego obawiała — będzie jednak dla niej bezpieczniej trzymać się mnie jak najbliżej. Kiedy miałyśmy już przed oczyma większą część powierzchni stawu, a Flory nigdzie nie było, wydała westchnienie ulgi. Nie było też śladu Flory na bliższej stronie brzegu, tam, skąd tak bardzo wstrząśnięta, z ukrycia kiedyś ją obserwowałam. Nie było jej również na przeciwległym brzegu, gdzie gęstwina drzew i zarośli sięgała aż do samej wody, prócz wąskiego pasa, nie dłuższego jak dwadzieścia jardów. Ten wydłużony skrawek wolnej przestrzeni w porównaniu ze swą długością był tak wąski, że biorąc pod uwagę, iż obydwaj jego końce nie leżały w zasięgu wzroku, można go było wziąć za niedużą rzeczkę. Wpatrywałyśmy się obie w ów pusty skrawek, a potem wyraz oczu przyjaciółki naprowadził mnie na pewien domysł. Wiedziałam, o czym myśli, i odpowiedziałam przecząco, potrząsając głową.

— Nie! nie! Niech pani poczeka! Ona wzięła łódź.

Moja przyjaciółka wlepiła wzrok w puste miejsce, gdzie łódź była zwykle przycumowana, i potem znów przebiegła oczami jezioro.

— Gdzie więc ta łódka?

— To właśnie, że jej nie widzimy, jest najbardziej przekonywającym dowodem. Użyła jej, by się przedostać na drugą stronę, a potem łódź przemyślnie ukryła.

— Sama... to dziecko?

— Ona nie jest sama, a w takich chwilach przestaje być dzieckiem: jest wówczas starą, starą kobietą.

Przesunęłam oczami po całym widocznym brzegu stawu, podczas gdy pani Grose z właściwą sobie uległością zatopiła się znowu myślami w te tajemne żywioły, w które ją wciągnęłam. Potem zwróciłam uwagę, że łódź może być doskonale ukryta w małym zakątku, utworzonym przez załamanie linii brzegu, we wgłębieniu niewidocznym z tej strony i zamaskowanym występem i kępą drzew nad samą wodą.

— Ale jeśli tam jest łódź, to gdzie ona jest, na Boga? — zapytała pani Grose z niepokojem.

— To właśnie musimy zbadać.

I puściłam się dalej w drogę.

— Będziemy obchodzić całe jezioro dokoła?

— No, naturalnie, odległość nie gra roli. Zabierze nam to zaledwie dziesięć minut, choć jest to o tyle daleko, że dziecko wołało nóg nie nadwerężyć. Przeprowała się po prostu.

— Sprawiedliwe nieba! — wykrzyknęła moja przyjaciółka ponownie. Moja umiejętność logicznego powiązania faktów była zawsze czymś ponad jej siły. Nawet teraz w swej nieporadności nie mogła się ode mnie oderwać i kiedy przeszliśmy połowę drogi — zmudna i nużąca wędrownica po nierównym gruncie i ścieżką zdławioną wprost roślinnością — przystanąłam, by pozwolić jej odetchnąć. Z uczuciem wdzięczności wsparłam ją ramieniem i zapewniłam, że może być ogromnie pomocna. Dodało nam to nowych sił, tak że już po kilku minutach doszliśmy do miejsca, skąd mogłyśmy dojrzeć łódź — była dokładnie tam, gdzie przypuszczałam. Łódź została ukryta rozmyślnie możliwie jak najbardziej z dala od oczu ludzkich; była przywiązana do jakiegoś kołka w płocie, który w tym właśnie miejscu dochodził aż do samego skraju wody i był pomocny przy wychodzeniu na brzeg. Widok pary krótkich, grubych wiosel, wciągniętych do wnętrza łodzi tak, jak należy, pozwolił mi ocenić zdumiewający charakter wyczynu tej małej dziewczynki; zbyt długo jednak już żyłam pośród dziwów i zbyt często brakowało mi tchu, kiedy stykałam się z jeszcze bardziej zadziwiającymi zjawiskami. W płocie była furтка, przez którą przeszliśmy, i w ten sposób, prawie w mgnieniu oka, znalazłyśmy się na bardziej otwartej przestrzeni. Wówczas wykrzyknęłyśmy obie jednocześnie: Ona jest tam!

Nieco dalej na trawie stała przed nami Flora i uśmiechała się tak, jak gdyby właśnie skończyła przedstawienie. Jednak już w następnej chwili schyliła się i zerwała — jak gdyby dlatego tylko tam stała — długą, szpetną gałązkę zeschniętej paproci. Domyśliłam się zaraz, że wyszła dopiero co z zagajnika. Czekwała na nas, sama nie ruszając się z miejsca, i zdałam sobie wtedy sprawę z niezwykle uroczystego nastroju, w jakim się wreszcie do niej zaczęłyśmy zbliżać. Uśmiechała się i uśmiechała, a my nie przerywałyśmy naszego pochodu. Wszystko to odbywało się jednak wśród jakiejś ciszy, teraz już jawnie złowróznej. Pani Grose zakłóciła ją pierwsza: padła na kolana i chwyciwszy dziecko w ramiona ścisnęła długo jej delikatną, uległą figurkę. Dopóki trwał ten niemy, spontaniczny uścisk, mogłam jedynie przyglądać się i czynić to z większą jeszcze gorliwością, kiedy dostrzegłam twarzyczkę Flory wyzierającą sponad ramienia mej koleżanki. Teraz już była poważna i znikły z niej ślady rozbawienia. Spotęgowała jednak jeszcze mękę, jaką przeżywałam w owej chwili, zazdroszcząc pani Grose prostoty, z jaką ona odnosiła się do Flory. Jak dotąd jednak, nic między nami nie zaszło prócz tego, że Flora wypuściła z ręki swą bzdurną paproć. W gruncie rzeczy dałyśmy sobie tylko jedno do zrozumienia, a mianowicie to, że odtąd skończyło się zachowywanie pozorów. Gdy pani Grose podniosła się wreszcie, trzymała nadal dziecko za rękę, tak iż wciąż jeszcze

miałam je obie przed sobą. Ta szczególna między nami powściągliwość nabrała jeszcze wyrazu, kiedy spojrzała na mnie z jakąś szczerością, która zdawała się mówić: „Niech mnie diabli wezmą, jeśli ja się odezwę!”.

Flora mierzając mnie od stóp do głów wzrokiem pełnym niewinnego zdumienia, pierwsza przerwała milczenie. Uderzył ją u nas brak kapeluszy na głowach.

— Ależ, gdzie macie kapelusze, płaszcze?...

— Gdzie ty je masz, moja kochana? — odpaliłam z miejsca.

Odzyskała już dawną wesołość i uważała widocznie, że to pytanie w zupełności wystarczyło za odpowiedź.

— A gdzie jest Miles? — ciągnęła dalej.

W tym małym przejawie jej męstwa kryło się coś takiego, co zbiło mnie z tropu zupełnie: owe cztery słowa były jak błysk dobytej szpady, jak trącenie kielicha, który trzymałam przez długie tygodnie wysoko wzniesiony, wypełniony po brzegi, a który teraz, poczułam, zaczął nagle, wezbrany jak potok przelewać się, zanim zdążyłam przemówić.

— Powiem ci, jeśli ty mi powiesz... — usłyszałam swój głos, rozróżniłam w nim drganie, w którym się nagle załamał.

— No dobrze, ale co takiego?

Pani Grose rozgorzała wprost z emocji, wyczekując na mnie, lecz teraz było już za późno, ja zaś zręcznie ją zaskoczyłam.

— Gdzież jest, mój kotku, panna Jessel?

ROZDZIAŁ XX

Nieoczekiwanie, podobnie jak wówczas na cmentarzu przy kościele, zostałyśmy znów wciągnięte w te dziwne sprawy. Choć tak wielką wagę przywiązywałam do faktu, że to imię nigdy między nami nie zostało wypowiedziane, ów nagły stłumiony blask, jaki na jego dźwięk odbił się na twarzy dziecka, sprawił, że to moje raptowne zakłócenie ciszy było jak brzęk rozbitej szyby. Spotęgowało to jeszcze ten krzyk, za pomocą którego pani Grose chciała mnie powstrzymać przed decydującym ciosem, krzyk, który pani Grose wydała w tym samym momencie przeciwko mej bezwzględności, krzyk wystraszonego albo raczej zranionego zwierzęcia, po którym chwytając moją towarzyszkę za ramię, wykrztusiłam:

— Ona tam jest, ona tam jest!

Miss Jessel stała przed nami na przeciwległym brzegu dokładnie tak, jak stała kiedyś, i pamiętam, co dziwne, że pierwszym odczuciem doznany wtedy przeze mnie, był dreszcz radości, jaki mnie przeszedł wobec możliwości przedstawienia dowodu. Stała przed nami, a zatem byłam usprawiedliwiona; stała przed nami, a zatem nie byłam ani okrutna, ani szalona. Przyszła tutaj teraz dla biednej, wystraszonej pani Grose, lecz przede wszystkim przyszła dla Flory. Żadna chwila, być może, nie była tak niezwykła w ciągu tego całego koszmarnego okresu, jaki tu przeżyłam, jak ta właśnie, gdy w pełni świadomości — zdając sobie sprawę, że jakkolwiek jest to demon drapieżny i błądy, jednak podchwyci to i zrozumie — przesłałam jej nieme spojrzenie wdzięczności. Sterczała sztywno w miejscu, które opuściłam niedawno wraz z moją przyjaciółką, a zło, emanujące w całym kręgu jej nienasyconego pożądania, nie zelżało ani o jeden stopień. Ta początkowa wyrazistość widzenia i siła emocji trwała tylko kilka sekund, podczas których błędny wzrok pani Grose, utkwiony w miejsce przeze mnie wskazane, prawie przekonał mnie, że i ona też wreszcie widzi, co spowodowało, iż szybko przeniosłam oczy na dziecko. Zdumiewające zachowanie Flory w sytuacji niezwyklej wytrąciło mnie, prawdę mówiąc, z równowagi daleko więcej, niż gdybym zaobserwowała u niej chociaż

pewne podniecenie, bo widocznych oznak przerażenia nie mogłam się oczywiście po niej spodziewać. Trzeba było się z tym liczyć, że mając się na baczności i z góry ostrzeżona naszym pościgiem, będzie się starała stłumić wszelkie oznaki, które mogłyby ją zdradzić. Od razu też zostałam po prostu wstrząśnięta, kiedy moją uwagę przykuła ta właśnie oznaka, z którą zupełnie się nie liczyłam. Gdy tak stała przede mną bez jednego drgnienia na różowej twarzyczce, nie udając nawet zaciekawienia choćby przez spojrzenie w kierunku tego fenomenu, na który zwróciłam uwagę, a przeciwnie, mierząc mnie wzrokiem pełnym kamiennej powagi, wzrokiem zupełnie mi dotąd nie znanym, bez precedensu, wzrokiem, który zdawał się czytać w moich myślach, oskarżać i osądzać — jej widok sprawił, że odczułam to jak uderzenie obuchem przeobrażające nagle małą dziewczynkę w ciemną zaiste postać. Wytrzeszczyłam z podziwu oczy nad jej opanowaniem — nigdy jeszcze nie byłam bardziej pewna, jak właśnie w tym momencie, że widzi dokładnie to widmo. I wtedy, zmuszona przejść bezzwłocznie do samoobrony, wezwałam ją żarliwie, aby poświadczyła, że tak jest istotnie.

— Ona tam jest, ty nieszczęsna, biedna istoto, tam, tam, tam, i ty wiesz o tym równie dobrze, jak to, kim ja jestem!

Dopiero co wspomniałam przed panią Grose, że w takich wypadkach przestaje ona być dzieckiem i zamienia się w starą, bardzo starą kobietę; a nic nie mogło oddać trafności mego określenia bardziej dosadnie niż sposób, w jaki, nie zwracając najmniejszej nawet uwagi na moje słowa, nie okazując ustępliwości i nie przyznając się do niczego, przybrała wobec mnie wyraz głębokiej i coraz bardziej się pogłębiającej, a wreszcie już zupełnie jawnej nagany. Muszę przyznać — jeśli w ogóle zdołam to jakoś odtworzyć — byłam jej postawą, tak to trzeba nazwać, przerażona bardziej niż czymkolwiek innym, choć prawie równocześnie zdałam sobie sprawę z tego, że muszę się teraz też liczyć z panią Grose i to naprawdę poważnie. W każdym razie już w następnej chwili zbladło wszystko wobec rozpalonej twarzy mojej starszej towarzyszkii, jej głośnego okrzyku protestu, wybuchu najwyższego oburzenia.

— Jak można kogoś tak przerazić, doprawdy! Gdzież pani, na Boga, widzi tu cokolwiek?

Zdołałam ją tylko szybko schwycić za ramię, bo nawet wówczas, kiedy wypowiadała te słowa, ohydna zjawa, widoczna gołym okiem, stała nadal nieprzyćmiona i nieustraszona. Trwało to całą minutę i ciągnęło się jeszcze, gdy trzymając moją koleżankę za ramię, popychałam ją wprost w kierunku zjawy, wskazując na nią palcem, a równocześnie nalegałam:

— Czy nie widzi jej pani również dokładnie, jak my ją widzimy? Chyba nie będzie pani twierdziła, że jej teraz nie widać... t e r a z? Przecież widać ją tak wyraźnie, jak wielkie ognisko wśród nocy. Niech pani tylko patrzy, kobieto kochana, niech pani tylko p a t r z y!...

Wpatrywała się uważnie, podobnie jak ja, i wydając głębokie westchnienie, w którym wyrażała się negacja, niesmak i współczucie — mieszanina uczucia litości, ulgi i odprężenia — dawała mi poznać pewną jakby chęć poparcia, gdyby tylko mogła, co mnie nawet wtedy wzruszyło. A to naprawdę dałoby mi bardzo wiele, bo cios, jaki mi został zadany tym bezlitosnym faktem, że ona ma bielmo na oczach, był ciężki zaiste, i czułam, jak wszystko wokół mnie wali się w gruzy. Czułam — widziałam — jak blade widmo mojej poprzedniczki ze swej strony starało się jeszcze pogłębić tę porażkę i zastanowiłam się w głównej mierze nad tym jak mam się zachować teraz wobec dziwnie niepojętej postawy małej Flory. Nagle i gwałtownie, wyrzucając z siebie cały potok pocieszających słów, wmieszała się w to pani Grose, gdy jeszcze poprzez ogólne odczucie mej klęski przesywała mnie jakaś przemożna świadomość osobiście odniesionego zwycięstwa.

— Tam jej nie ma, panienko, tam w ogóle nikogo nie ma... pani tam nic nie widziała, moja droga! Jakżeż mogłaby biedna miss Jessel... kiedy przecież miss Jessel dawno nie żyje i leży w grobie? My wiemy to, prawda kochanie? — zwróciła się do dziecka, co było już niedorzecznością. — To wszystko to nic innego jak tylko omyłka, niepotrzebne zmartwienie i po prostu żart... i teraz wrócimy jak najszybciej do domu

W odpowiedzi nasza mała towarzyszka przybrała prędko jakiś skromniutki i niewinny wygląd. Po czym obie, pani Grose teraz już stojąc, połączyły, jakby to można powiedzieć swe siły, występując niespodziewanie przeciw mnie. Flora nadal nie odrywała ode mnie wzroku, przywdziawszy maskę niechęci, a ja, nawet w takiej chwili prosiłam Boga, aby mi wybaczył, że oto patrząc, jak stoi przede mną i trzyma się kurczowo sukni mojej przyjaciółki, dostrzegam, iż jej niezrównana piękność dziecięca naraz gdzieś uleciała, znikła, przepadła. Powiedziałam już — stała się dosłownie odpychająco twarda, stała się pospolita i nieomal szpetna.

— Nie wiem, o co pani chodzi. Nikogo nie widzę. Nie widzę niczego. Nigdy nie widziałam. Uważam, że pani jest okrutna. Nie cierpię pani!

Po czym, po tej wypowiedzi, której mogłaby użyć raczej jakaś nieznośna, prostacka dziewczynka z ulicy, przytuliła się jeszcze mocniej do pani Grose, zatapiając swą okropną twarz w fałdach jej spódnicy. I w tej pozycji uderzyła w jakiś wściekły wprost krzyk.

— Niech mnie pani stąd zabierze, niech mnie pani stąd zabierze... Och, niech mnie pani od niej zabierze!

— Ode mnie? — wykrztusiłam.

— Od pani, od pani! — krzyczała.

Nawet pani Grose popatrzyła na mnie z przerażeniem. Mnie natomiast nie pozostało nic innego, jak tylko ponownie nawiązać kontakt z ową postacią, która tkwiąc nieporuszenie na przeciwległym brzegu, tak wyprężona, jak gdyby — z małą przerwą — łowiła dźwięk naszych głosów, sterczała z pewnością nie po to, by przyjść mi z pomocą, lecz by czyhać na moją zgubę. Każde słowo wypowiedziane ostrym językiem przez to nieszczęsne dziecko, sprawiało zupełnie wrażenie, iż zaczerpnięte zostało z obcego źródła; dlatego też w pełni rozpaczy nad wszystkim, co mnie tu spotyka, mogłam tylko ze smutkiem pokiwać nad nią głową.

„Jeśli kiedykolwiek miałam jakieś wątpliwości, to rozwiały się one teraz zupełnie. Żyłam, ocierając się o tę brudną, obmierzłą rzeczywistość, ale teraz dała mi się ona zanadto we znaki. Wiem oczywiście, że ciebie straciłam; starałam się temu przeszkodzić, ale pod jej przewodnictwem — mówiłam, posyłając znów spojrzenie nad stawem w stronę tego przekłętogo świadka — przekonałaś się, jak łatwo i pewnie możesz sobie z tym poradzić. Zrobiłam, co mogłam, lecz w końcu cię straciłam. Bądź zdrowa”.

Jeżeli chodzi o panią Grose, rzuciłam jej rozkazującym tonem niemal zjadliwie: — Idźcie sobie, idźcie! — na co ona, niepomierne strapiiona, lecz pod cichym wpływem dziewczynki i pomimo swej ślepoty niezbitnie przekonana, że stało się coś strasznego i że porwała nas jakaś lawina, zawróciła, jak tylko mogła najprędzej, tą samą drogą, którą przyszyliśmy.

Nie pamiętam już, gdy zostałam sama, w jakiej kolejności to wszystko następowało. Wiem tylko, że po upływie kwadransa, jak sądzę, jakaś cuchnąca wilgoć i szorstkość, ziębiące i przeszywające na wskroś moje zbolące ciało uprzytomniły mi, że widocznie rzuciłam się twarzą na ziemię, aby dać upust niezmiernej żalości. Zapewne leżałam tam dość długo, zalewając się łzami i lamentując, bo kiedy wreszcie podniosłam głowę, dzień miał się już ku schyłkowi. Wstałam i na chwilę, przenikając oczyma półmrok, spojrzałam na szary staw i jego nagi, niesamowity brzeg, po czym udałam się z powrotem do domu, tą samą krętą i posepną drogą, jaką przyszłam. Kiedy doszłam do furtki, stwierdziłam ku memu zdziwieniu, że łódź znikła, co było dla mnie nowym dowodem, jak nadzwyczajnie Flora panuje nad sytuacją. Zgodnie z milczącym i bodaj — gdyby to słowo nie brzmiało tak groteskowo fałszywie — bardzo szczęśliwym porozumieniem spędziła ona noc z panią Grose. Żadnej z nich nie ujrzałam po moim powrocie, lecz z drugiej strony, jak gdyby dzięki jakiejś zawilej rekompensacie, spotykałam się wciąż z Milesem. Nie schodził mi prawie z oczu — tak tylko mogę to powiedzieć i w ogóle spędził on tego dnia w moim towarzystwie więcej czasu niż kiedykolwiek. Od chwili, kiedy znalazłam się w Bly, jeszcze żaden wieczór nie odznaczał się tak złowrogą atmosferą, jak ten właśnie. Pomimo to, a niezależnie od tego, iż otchłań mojego lęku rozwarła się znacznie głębiej pode mną — atmosfera ta, w uchodzącej terażniejszości

była dosłownie przesiąknięta jakimś niezmiernie słodkim smutkiem. Gdy przyszedłam do domu, nie zainteresowałam się nawet, co się dzieje z chłopcem. Udałam się wprost do swego pokoju, aby się przebrać i aby przekonać się od jednego spojrzenia, że Flora rzeczywiście ze mną zerwała. Cały jej nieduży dobytek został z pokoju usunięty. Gdy później przy kominku w pokoju szkolnym ta sama służąca co zwykle podała mi herbatę, nawet nie skorzystałam ze sposobności, żeby się zapytać, co się dzieje z moim drugim wychowankiem. Miał teraz tę swoją swobodę — niech się nią nasyci do woli! No tak... ma tę wolność; a polegała ona też i na tym — po części w każdym razie — że zjawił się około ósmej; usiadł przy mnie i milczał. Jeszcze uprzednio, po sprzątnięciu zastawy, zdmuchnęłam świecę i przysunęłam krzesło bliżej ognia: miałam świadomość jakiegoś lodowatego, przenikliwego zimna i czułam się tak, jak gdybym nigdy już nie miała zaznać ciepła. Kiedy więc pojawił się u mnie, siedziałam, grzejąc się przy ogniu, pochłonięta myślami. Na chwilę zatrzymał się w drzwiach, jak gdyby chciał mi się przyjrzeć, a potem — jakby chciał dzielić ze mną te myśli — wszedł do pokoju i opadł na krzesło po drugiej stronie kominka. Siedzieliśmy tak, nie odzywając się słowem; chciał jednakże, czułam to, być ze mną razem.

ROZDZIAŁ XXI

Nowy dzień jeszcze w pełni nie zaświtał, kiedy otworzyłam oczy i zobaczyłam panią Grose w pokoju, stojącą przy moim łóżku jako zwiastunkę jeszcze bardziej alarmujących nowin. Florę wyraźnie trawiła gorączka, tak że zachodziła obawa, iż może się poważnie rozchorować. Spędziła wyjątkowo niespokojnie noc, noc zakłóconą przede wszystkim lękiem, który ją opanował, a którego przedmiotem nie była bynajmniej poprzednia, lecz wyłącznie obecna guwernantka. Nie wyrażała żadnych sprzeciwów co do możliwości powrotu miss Jessel namiętnie i niedwuznacznie występowała jedynie przeciw mnie. Zerwałam się na równe nogi, jednocześnie zasypując panią Grose gradem pytań, tym bardziej, że moja przyjaciółka jawnie teraz zasznurowała usta, znowu przechodząc do opozycji. Wyczułam to od razu, zadając pytanie, jak ona ocenia szczerść wypowiedzi dziecka w przeciwstawieniu do mojej szczerści.

— Czy ona nadal utrzymuje przed panią, że nic nie zauważyła i nigdy nic nie widziała? Mój gość był doprawdy w nie lada kłopotcie.

— Ach, proszę pani, to nie jest sprawa, o którą mogłabym ją teraz molestować. A przy tym, muszę powiedzieć, nie widać wcale, bym musiała aż tak o to napierać. Postarzało ją to mocno, pod każdym względem

— O, tak jakbym ją dokładnie widziała. Nie może te go znieść bez względu na skutki, jak jakiś małej miary dygnitarz, że ktoś odważył się zakwestionować wiarygodność jej słów i jak gdyby naruszył poważanie, jakim się cieszyła. Miss Jessel, doprawdy... o n a! Ach, jakaż ona przyzwoita, ten skrzat! Zapewniam panią, że wrażenie, jakie ona na mnie wczoraj wywarła, było najdziwniejsze ze wszystkiego, co mi się tutaj zdarzyło; przerosło ono wszelkie inne doznania; przestąpiłam zakazane progi! Nigdy się już do mnie nie odezwie.

Pomimo że to wszystko było tak mętne i ohydne, to przecież pani Grose na krótko zamilkła. Po czym przyznała mi rację z taką otwartością, że upewniło mnie to tylko, iż za tym musi kryć się jeszcze coś więcej.

— Rzeczywiście, *miss*, pewnie już nigdy się do pani nie odezwie. Lecz zachowuje się przy tym z godnością!

— A to jej poczucie godności... — podsumowałam szybko — sprowadza się praktycznie do pytania, co jej teraz dolega.

Och, to jej pełne godności zachowanie się mogłam spostrzec na twarzy mojego gościa, i niemało jeszcze poza tym!

— Dopytuje się co trzy minuty, czy sędzę, że pani do niej przyjdzie.

— Rozumiem... rozumiem.

I ja również, z mej strony, nie do takich tylko doszłam wniosków.

— Czy powiedziała pani coś od wczoraj... prócz wypierania się jakiegokolwiek znajomości z czymś tak okropnym... choć jedno słowo o miss Jessel?

— Ani słowa. Lecz oczywiście — dodała moja przyjaciółka — zapewniła mnie nad jeziorem jeszcze, że wtedy przynajmniej i tam właśnie nie było nikogo.

— A jakże! I pani naturalnie wierzy jej nadal.

— Nie sprzeczasz się z nią o to. A cóż innego mogę zrobić?

— Nic, absolutnie nic! Ma pani do czynienia z osóbką nieprawdopodobnie sprytną. To oni tak je przerobili — mówię o tej ich parze przyjaciół — rozwinieli w nich mądrość większą nawet od tej, jaką obdarzyła je natura. Materiał bowiem był bardzo podatny, wprost wspaniały! Flora ma teraz do mnie urazę i konsekwentnie to wykorzysta.

— Tak, proszę pani; lecz w jakim celu?

— No cóż, by rozprawić się ze mną przed wujem. Ona mnie już tak opisze, że w jego oczach będę uchodziła za najbardziej podłą istotę!...

Wzdrygnęłam się cała, spostrzegłszy niejako odbicie tej sceny na obliczu pani Grose. Przez chwilę patrzyła tak, jak gdyby miała tuż przed sobą nas oboje.

— I to wobec niego, który przecież panią tak bardzo ceni!

— Przychodzi mi właśnie na myśl — zaśmiałam się — że ma on dosyć dziwny sposób okazywania tego szacunku! Lecz mniejsza z tym, Florze, rzecz jasna, zależy na tym, by mnie się pozbyć.

Moja współtowarzyszka odważnie to potwierdziła.

— Nie chce pani więcej na oczy oglądać.

— A więc przyszła tu pani dlatego — zapytałam — by mnie prędzej wyprawić w drogę?

Nim jednak zdążyła odpowiedzieć, osadziłam ją, mówiąc:

— Mam lepszy pomysł... Jest to wynik moich refleksji. Zdawałoby się, że najważniejszą rzeczą byłoby stąd wyjechać, i w niedzielę byłam już o krok tylko od tego. Nic to nam jednak nie da. To pani musi stąd wyjechać. I musi pani zabrać Florę.

Ważyla to w myślach.

— Lecz dokąd, na Boga...?

— Z dała od tego miejsca. Z dała od nich. Z dała przede wszystkim nawet, ode mnie. Wprost do jej wuja.

— Po to tylko, aby panią obmówić?...

— Nie, nie „tylko”! Dlatego, bym pozostać tu mogła sama, razem z moim lekarstwem.

Nie mogła się jeszcze połapać.

— A jakież to pani ma lekarstwo?

— Pani lojalność, w pierwszym rzędzie. A poza tym lojalność Milesa.

Obrzuciła mnie przenikliwym spojrzeniem.

— Pani przypuszcza, że on?...

— Nie odwróci się ode mnie, gdy tylko nadarzy się sposobność? Otóż nad tym będę się jeszcze musiała stanowić. W każdym razie, chcę zrobić próbę. Niech pani wyjedzie z jego siostrą możliwie jak najprędzej i mnie pozostawi z nim samą.

Sama byłam zdumiona tą siłą ducha, jaką miałam jeszcze w rezerwie, i dlatego jej wahanie wytrąciło mnie, być może, nieco więcej z równowagi, pomimo że tak mężnie się dotąd zachowałam.

— Oczywiście, jest jeszcze coś... — mówiłam dalej — a mianowicie, dzieci nawet na

krótką chwilę nie mogą z sobą zobaczyć przed jej wyjazdem.

Potem przyszło mi na myśl, że jednak może już być za późno, choć Flora znajdowała się przypuszczalnie w odosobnieniu od chwili powrotu z nad stawu.

— Czy pani sądzi — zapytałam trwożliwie, że one w i d z i a ł y się ze sobą?

Pokryła się na to rumieńcem.

— Ach, *miss*, taka głupia przecież znowu nie jestem! Jeżeli zmuszona byłam ją zostawić samą ze trzy lub cztery razy, to jednak była tam zawsze któraś ze służących, a teraz, chociaż jest sama, zamknęłam drzwi na klucz na wszelki wypadek. A jednak...

W rachubę wchodziło zbyt wiele rzeczy.

— A jednak, co?

— No, czy naprawdę może pani tak polegać na paniczu?

— Nie jestem niczego pewna poza panią. Ale od wczorajszego wieczora wstąpiła we mnie jakaś nowa otucha. Wydaje mi się, jak gdyby chciał rozpocząć o czymś mówić. Jestem przekonana, że pragnie mi się z czymś zwierzyć... biedne, śliczne niebożątko. Siedział ze mną wczoraj o zmroku przez dwie godziny przy kominku i milczał, jak gdyby już miał zamiar to uczynić.

Pani Grose nieruchomo wpatrywała się w okno, za którym zaczynało już szarzeć.

— A czy doszło do tego?

— Nie, choć czekałam i czekałam, jednak nic z tego nie wyszło i w końcu pocałowaliśmy się na dobranoc, nie przerywając milczenia i nie robiąc nawet najmniejszej wzmianki o tym, co się dzieje z jego siostrą i dlaczego jest nieobecna. Niemniej — ciągnęłam dalej — nie mogę się na to zgodzić, jeżeli Flora zobaczy się ze swym wujem, by brat jej również się z nim spotkał, zanim mu jeszcze poświęcę trochę więcej czasu, a to głównie dlatego, ponieważ sprawy przybrały taki zły obrót.

Co do tego jednak przyjaciółka moja zajęła, zdawało się, o wiele bardziej niechętnie stanowisko, niżbym to przypuszczała.

— Co pani rozumie pod pojęciem „więcej czasu”?

— No więc, dzień lub dwa... po prostu, by ruszyć to z miejsca. Będzie on wówczas po mojej stronie, a z ważności tego zdaje pani sobie sprawę. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, chybię tylko celu, a w najgorszym wypadku pomoże mi pani, zrobiwszy wszystko, co pani uzna za stosowne, po przyjeździe do miasta.

Przedstawiłam jej to w taki oto sposób, lecz przez chwilę utonęła w własnych myślach, tak że przysłałam jej znowu z pomocą.

— Chyba — uzupełniłam — że pani doprawdy nie chce jechać.

Wreszcie dostrzegłam, jak jej oblicze się wypogadza; na dowód zgody wyciągnęła do mnie rękę.

— Pojadę... pojadę; pojadę jeszcze dziś z rana.

Pragnęłam być jak najbardziej bezstronna.

— Jeśliby pani chciała jeszcze z tym poczekać, postaram się, by mnie nie ujrzała.

— Nie, nie: tu chodzi już o samo miejsce. Ona musi je opuścić.

Przez chwilę spoglądała na mnie wzrokiem, w którym przebijał ciężki frasunek, po czym dokończyła:

— Pani myśl jest słuszna. Ja sama...

— No, co takiego?

— Nie mogę tutaj pozostać.

Spojrzenie, które towarzyszyło tym słowom, poderwało mnie, wskrzesiło znów nadzieję.

— Czy to znaczy, że po wczorajszym dniu, pani widziała?...

Z godnością potrząsnęłam głową.

— Słyszałam!...

— Co takiego?

— Straszne rzeczy... z ust tego dziecka! Tak! — westchnęła z tragiczną ulgą — może pani mi wierzyć, ona mówi rzeczy!...

Zaklinając się tak, jednak załamała się nagle; osunęła się na moją kanapę, wybuchając gwałtownym płaczem, i podobnie, jak byłam już kiedyś tego świadkiem, poddała się bez pamięci trawiącej ją zgryzocie.

I ja również nie mogłam się opanować, choć w zupełnie odmienny sposób.

— Och, dzięki Bogu!

Na to jękąwszy zerwała się, wycierając sobie oczy.

— Dzięki Bogu?

— Jakże mnie to teraz usprawiedliwia!

— Istotnie, *miss*!

Nie mogłabym sobie życzyć większej skwapliwości, lecz czekałam jeszcze.

— Czyż jest aż tak okropna?

Widoczne było, że mojej koleżance z trudnością przychodziło to ubrać w słowa.

— Coś wstrząsającego, doprawdy.

— A o mnie?

— O pani, właśnie... jeśli już pani musi wiedzieć. To przechodzi ludzkie pojęcie... u tak młodej panienci; i nie mogę sobie wprost wyobrazić, gdzie się ona tego nauczyła...

— Tych plugawych wyrazów, którymi mnie obdarza? A więc ja mogę! — wybuchnęłam śmiechem, który był niewątpliwie dość wymowny.

Lecz, prawdę mówiąc, wywołało to u mojej przyjaciółki tym większą jeszcze powagę.

— No cóż, może i ja powinnam wiedzieć... bo coś niecoś z tego obilo mi się już przedtem o uszy! A jednak znieść tego nie mogę — mówiła dalej ta biedna kobieta, zerkając jednocześnie w stronę mojej toaletki na wskazówki zegarka. — Lecz muszę już wracać.

Zatrzymałam ją jednakże.

— Ach, jeśli pani tego znieść nie może!...

— A więc, jak mogę z nią wytrzymać, chciała pani zapytać? Otóż, jedynie *d l a t e g o*, aby ją stąd wydostać. Z dala od tego — ciągnęła z dala od *n i c h*...

— Może ona się zmieni? Uwolni się, być może? — pochwyciłam ją w ramiona prawie z radością. — A więc pomimo wczorajszego dnia, pani wierzy...

— W takie rzeczy? — określiła je tak zwyczajnie, że w świetle tego wyrażenia nie zachodziła już potrzeba dalszego rozwodzenia się, i wszystko teraz ujawniła mi tak, jak nigdy dotąd: — Wierzę.

Tak, było to dla mnie wielką radością, stałyśmy nadal ramię przy ramieniu: jeśli tylko mogę dalej na tym polegać, doprawdy niewiele będę przejmowała się tym, co może się jeszcze zdarzyć. W obliczu nieszczęścia znajduję w niej tę samą podpórę, jaką była dla mnie w pierwszej potrzebie znalezienia sojusznika, a jeśli moja przyjaciółka zareczy za moje słowa, ja całą resztę wezmę na siebie. Gdy zbliżył się moment pożegnania, ogarnęło mnie, mimo wszystko, pewne zakłopotanie.

— Oczywiście jest jeszcze jedna rzecz — nasunęło mi się — o której nie należy zapomnieć. Ten mój alarmujący list nadejdzie przecież do miasta przed panią.

Teraz dopiero uprzytomniłam sobie jeszcze bardziej, jak się, z wszystkim kryła i jak ją to w końcu znużyło.

— Pani list tam nie nadejdzie. Pani list w ogóle nie wyszedł.

— Cóż więc się z nim stało?

— Bóg jeden wie. Panicz...

— Czy chce pani powiedzieć, że on go zabrał? — wykrztusiłam.

Nabrała wody w usta, lecz przemogła niechęć.

— Chcę tylko powiedzieć, że kiedy wróciłam z *miss Florą* wczoraj z kościoła, zauwa-

żyłam, iż nie było go już tam, gdzie go pani położyła. Później wieczorem natknęłam się na Łukasza i zaczęłam go wypytywać, lecz on oświadczył, że listu ani nie widział, ani go nie ruszył.

Mogłyśmy na to wymienić tylko jedno z tych naszych pełnych niemego pytania spojrzeń. Pani Grose pierwsza podjęła przerwany wątek, mówiąc niemal chełpliwie:

— Rozumie pani!

— Tak, rozumiem, że jeśli zabrał go Miles, na pewno list przeczytał i zniszczył.

— A nic innego to pani nie mówi?

Popatrzyłam na nią ze smutnym uśmiechem.

— Widzę, że pani oczy są teraz nawet szerzej otwarte niż moje.

Tak też istotnie się okazało, choć wyjawiając to, niemal spłonęła rumieńcem.

— Domyślam się już, co on w szkole musiał robić — skinęła głową z tą bezpośrednią prostotą, okazując zabawne nieomal rozczarowanie. — On kradł!

Zastanowiłam się nad tym — nie chciałam być zbyt pochopna w swoich sądach.

— Hm... być może.

Spojrzała na mnie tak, jak gdyby zdziwił ją mój nagły spokój.

— On kradł listy!

Nie mogła oczywiście znać przyczyny mojego spokoju, dość powierzchownego właściwie; toteż odkryłam je przed nią na tyle, na ile mogłam.

— Sądzę, że robił to dla ważniejszych powodów niż w tym wypadku. Ten list zresztą, który położyłam wczoraj na stole — mówiłam dalej — nie przyniesie mu żadnych większych korzyści... zawierał bowiem tylko kilka słów prośby o rozmowę... i Miles zapewne wstydzi się już mocno, że posunął się tak daleko, osiągając tak mało, i dlatego właśnie, chcąc się do tego przyznać, nie mógł zaznać wczoraj spokoju.

Zdawało mi się w tym momencie, że zgłębiłam to, że zrozumiałam wszystko.

— Niech pani nas zostawi, niech pani nas zostawi — byłam już przy drzwiach, nawołując ją do pośpiechu — ja już to z niego wydobędę. On się przyzna. Jeżeli się przyzna, będzie uratowany. A jeżeli będzie uratowany...

— To i pani również? — mówiąc to ta poczciwa kobieta pocałowała mnie i pożegnała się.

— Ja panią bez niego wyratuję! — krzyknęła jeszcze, wychodząc.

ROZDZIAŁ XXII

Kiedy jednak wyszła — a nieobecność jej odczułam od razu — znalazłam się doprawdy w potrzasku. Jeżeli liczyłam na to, co zdołam osiągnąć, pozostając sam na sam z Milesem, zorientowałam się prędko, że na pewne możliwości mogę liczyć. W żadnej bez mała godzinie mojego pobytu w Bly nie targał mną taki niepokój, jak w owej właśnie chwili, gdy zesłam na dół, aby się dowiedzieć, że pojazd wiozący panią Grose i moją młodziutką wychowankę znajduje się już poza bramą. Teraz — powiedziałam sobie — rzeczywiście pozostałam sama, twarzą w twarz z ciemnymi siłami i walcząc ze słabością mego ducha przez pozostałe długie godziny dnia, mogłam się zastanawiać, czy nie postąpiłam zanadto pochopnie. Atmosfera tego domu stała się teraz bardziej naprężona niż kiedykolwiek od czasu, kiedy tutaj przybyłam; tym bardziej, że po raz pierwszy mogłam zauważyć w twarzach innych osób jakieś niejasne odbicie tej krytycznej chwili. Chociaż to, co się stało, musiało wywołać u domowników zdumienie w spojrzeniu, to jednak zbyt wiele było niejasności w nagłym postępku mojej towarzyszki, mimo że powiedziałyśmy to, cośmy mogły powiedzieć. Służące i słudzy unikali

mego wzroku, co fatalnie wpływało na moje nerwy i pogarszało moją sytuację tak dalece, że w końcu spostrzegłam konieczność wyzyskania tego wszystkiego jako czynnika pozytywnego. Tylko ujmując silnie ster w swoje ręce, mogłam uniknąć całkowitego rozbitcia i śmiem twierdzić, że aby wytrzymać to wszystko, stałam się tego rana bardzo wyniosła i bardzo oschła. Z pewnym zadowoleniem uświadomiłam sobie, że stanęły przede mną nowe zadania, i dałam to do zrozumienia tak wyraźnie, że zdana już tylko na własne siły, przybrałam wyjątkowo stanowczą postawę. W tej postawie wytrzymałam przez następnych kilka godzin i wzrok mój z pewnością mówił, że jestem gotowa do odparcia każdej napaści. Tak oto, dla dobra tych, których to powinno obchodzić, obnosiłam z godnością swój ból.

Osobą, którą to zdawało się najmniej obchodzić do czasu kolacji, okazał się właśnie sam Miles. Nie pokazał mi się nawet na oczy, gdy chodziłam tu i tam, lecz to właśnie przyczyniło się do bardziej namacalnego podkreślenia tej zmiany, jaka zaczęła się zaznaczać w naszym wzajemnym stosunku, jako następstwo przetrzymania mnie w interesie Flory w dniu wczorajszym przy fortepianie, co mnie tak omamiło i oszukało. Jej odosobnienie i wyjazd nadały temu ostatecznie jasny charakter i cała zmiana uwypukliła się przez to, że nie przestrzegaliśmy regulaminu pokoju szkolnego. Miles zniknął mi już z oczu, kiedy schodząc na dół otworzyłam drzwi do jego pokoju, a na dole dowiedziałam się, że zjadł śniadanie w obecności dwóch służących — razem z panią Grose i swoją siostrą. Potem, jak oświadczył, wyszedł przejść się. Cóż innego poza tym mogło lepiej uzmysłowić szczerą jego poglądów na gwałtowną zmianę mojego stanowiska. To, czym pozwolił mi się teraz zajmować na moim stanowisku, było jeszcze sprawą do rozstrzygnięcia: w odrzuceniu jednego fałszu kryła się przynajmniej jakaś dziwna ulga mam na myśli szczególnie siebie samą. Jeżeli tak dużo wyszło na jaw, to czyż wyrażę się zbyt dosadnie, gdy powiem, że tym, co zapewne najjaskrawiej się upewniło, była absurdalność dalszego podtrzymywania fikcji, jakobym mogła go jeszcze czegoś nauczyć. Było rzeczą dostatecznie jasną, że poprzez ciche, drobne sztuczki, za pomocą których Miles bardziej nawet niż ja sama starał się zachować moją godność, musiałam apelować do niego, aby mi ułatwił kontakt ze sobą, zachowując swoje prawdziwe oblicze. W każdym bądź razie mógł się cieszyć teraz swobodą; już nigdy nie miałam jej naruszyć. Okazałam to zresztą jasno, kiedy przyszedł mi towarzyszyć w pokoju szkolnym ubiegłego wieczoru; nie zrobiłam mu żadnej wymówki ani nawet wzmianki na temat jego nieobecności. Za bardzo od tej chwili przemyślałam nad własnymi koncepcjami. A mimo to — gdy Miles w końcu się pokazał, trudności związane z zastosowaniem tych koncepcji, nagromadzenie problemów, wróciły do mnie z całą siłą poprzez pojawienie się tej uroczej małej istoty, na którą to wszystko, co się dotychczas zdarzyło, nie rzuciło z pozoru żadnego cienia ani plamy.

Chcąc podkreślić wobec całego domu moje wyniesienie, które sobie sama narzuciłam, wydałam polecenie, żeby posiłki dla mnie i dla chłopca podawano odtąd na dole: tam też oczekiwałam go wśród przytłaczającego przepychu dominującego w tym pokoju, gdzie tej pierwszej przerażającej niedzieli dzięki pani Grose ujrzałam za oknem przebłysk czegoś, co trudno nazwać rozjaśnieniem. Obecnie czułam znowu — bo odczuwałam to wciąż od nowa — jak dalece moje zachowanie równowagi zależeć będzie od mej napiętej woli, woli zamykania oczu do granic możliwości na tę prawdę, że to, z czym mam do czynienia, jest odrażająco przeciwne naturze. Mogłam sobie teraz dawać radę jedynie pod warunkiem, że przywołam do pomocy „naturę” i zawierzę jej, traktując moje monstrualne zadanie jako posunięcie niezwykle i trzeba przyznać, nieprzyjemne, lecz wymagające pomimo wszystko, dla prostej uczciwości, jeszcze tylko jednego przekręcenia śruby zwykłej ludzkiej przyzwoitości. Nie mniej jednak żadna próba nie wymagała więcej taktu, jak właśnie próba oparcia się o całą naturę. Jak tu użyć choć trochę owej substancji, wstrzymując się jednocześnie od wzmianek o tym, co zaszło? Z drugiej strony, jakże to zrobić, aby nie czyniąc żadnej wzmianki na ten temat, nie popaść znów w tę ponurą ohydę? Po jakimś czasie przyszła mi do głowy pewnego rodzaju odpowiedź, która została potwierdzona w sposób niezbity przez nagłe uświadomienie sobie

tych cech wyjątkowych, które mojego małego współtowarzysza tak wyróżniały od reszty. Wydawało się doprawdy, jak gdyby potrafił nawet teraz — podobnie jak podczas lekcji — wynaleźć jakiś inny jeszcze, delikatny sposób, by przynieść mi odprężenie. Czyż ten fakt nie był objawieniem, które rozbłysło żywym blaskiem, tak jak nigdy dotąd, wówczas właśnie, kiedy łączyła nas samotność? — Ów fakt wynikający z okazji, bezcennej wprost okazji, jaka się teraz nadarzyła, że mając do czynienia z dzieckiem obdarzonym tak hojnie, niedorzecznością byłoby wyrzec się tych korzyści, które można by wydrzeć z jego inteligencji? Czyż ta jego inteligencja nie po to mu została dana, aby go właśnie wybawić? A może ryzykując, wbrew jego charakterowi, użycie silnej ręki, łatwiej przemówię mu do rozumu? Kiedyśmy się znaleźli twarzą w twarz w jadalni, wyglądało na to, że sam mi dosłownie rozwiązał zadanie. Na stole stała pieczeń barania, a na moje życzenie nikt nam tym razem nie usługiwał. Miles, nim zajął miejsce przy stole, stał przez chwilę z rękami w kieszeniach i wpatrywał się w pieczone takim wzrokiem, jak gdyby chciał na ten temat wypowiedzieć kilka słów żartobliwej oceny. Lecz w końcu ograniczył się tylko do powiedzenia:

— Niech pani posłucha, moja kochana, czy ona rzeczywiście jest tak strasznie chora?

— Mała Flora? Nie tak bardzo znowu, by w końcu nie miała powrócić do zdrowia. Londyn postawi ją na nogi. Tutaj w Bly przestało jej służyć powietrze. Chodź tutaj i nałóż sobie baraniny.

Usłuchał mnie skwapliwie, z uwagą zaniósł talerz na swoje miejsce i kiedy się już tam usadowił, podjął na nowo:

— Czy Bly przestało jej służyć tak nagle?

— Nie tak nagle znów, jakbyś przypuszczał. Dało się to już zauważyć od pewnego czasu.

— To dlaczego nie wysłała jej pani już przedtem?

— Kiedy przedtem?

— Zanim się zanadto nie rozchorowała, aby móc udać się w podróż.

Nie dałam się złapać.

— Ona nie jest tak chora, by nie móc podróżować; groziłoby jej to tylko wtedy, gdyby tutaj dłużej pozostała. Teraz był właśnie najdogodniejszy moment, który trzeba by wykorzystać. Ta podróż pozwoli się jej otrząsnąć z tego zgubnego wpływu — byłam wprost wspaniała! — i pomoże jej przełamać go całkowicie.

— Rozumiem, rozumiem...

Trzeba przyznać, że Miles był również wspaniały. Zasiadł do swego posiłku, zachowując się przy stole z dziecięcą, czarującą swobodą, która już od pierwszego jego przyjazdu uwolniła mnie od przykrego obowiązku ciągłego napominania. Choć powody wydalenia go szkoły mogły być różne, brak estetyki przy jedzeniu do nich nie należał. Jak zwykle, tak samo i dzisiaj sprawował się nienagannie. Był jednak niewątpliwie bardziej zamyślony. Jednakże widać było wyraźnie, że stara się przyjąć za dobrą monetę więcej, niż zdolny jest pojąć bez czyjejs pomocy. Popadł więc w niczym nie zakłócone milczenie, badając na razie sytuację. Posiłek nasz trwał wyjątkowo krótko — mój był tylko czczym pozorem — i natychmiast kazałam posprzątać ze stołu. W tym czasie Miles stał znów z rękami w kieszeniach, odwrócony do mnie plecami — stał i wyglądał przez szerokie okno, spoza którego owego dnia ujrzałam coś, co mną tak wtedy wstrząsnęło. Dopóki służąca była z nami, nie przerywaliśmy ciszy, takiej ciszy — tu strzeliła mi kapryśna myśl do głowy — jaka zdarza się czasami młodej parze, która podczas podróży poślubnej poczuje się w zajeździe zmieszana obecnością kelnera. Odwrócił się dopiero, gdy kelner nas opuścił.

— A więc jesteście sami.

ROZDZIAŁ XXIII

— Och, mniej więcej — wyobrażam sobie, że mój uśmiech był blady — lecz niezupełnie. Nie powinniśmy być z tego zadowoleni! — mówiłam dalej.

— Nie... nie sędzę, abyśmy mogli być z tego zadowoleni. Lecz przecież są z nami jeszcze inni.

— Są jeszcze inni... tak, doprawdy są jeszcze — zgodziłam się z nim.

— A jednak, mimo, że zostali — odparł, trzymając wciąż ręce w kieszeniach i stojąc przede mną nieruchomo — myślę, że oni się prawie nie liczą.

Nadrabiałam miną, jak mogłam, lecz poczułam się nieswojo.

— To zależy od tego, co ty nazywasz „prawie”!

— Tak — odparł, okazując całkowitą zgodność poglądów — wszystko jest względne!

Z tymi słowy jednak odwrócił się znów do okna i wkrótce podszedł doń kilkoma niepewnymi, nerwowymi krokami, pogrążony w myślach. Zatrzymał się tam przez chwilę, opierając czoło o szybę, wodząc w zamyśleniu wzrokiem po znajomych, bezsensownych krzewach i szarym listopadowym pejzażu. Rozporządzałam jak zwykle hipokryzją, na jaką pozwalały mi moje zajęcia, i pod jej osłoną podeszłam do kanapy. Znalazłszy w niej oparcie, z czego w takich chwilach udreki niejednokrotnie już korzystałam, a które opisałam jako chwile przeświadczenia, iż dzieci oddają się ukradkiem czemuś, do czego nie miałam dostępu, byłam znowu gotowa do spotkania się z najgorszym, do czego zdążyłam już przywyknąć.

Kiedy miałam przed sobą plecy chłopca, w których odczytałam zmieszanie, i próbowałam dociec, co też jeszcze one wyrażają, ogarnęło mnie jakieś wrażenie, nie inne, ale właśnie takie, że tym razem bramy stoją przede mną otworem. To przeświadczenie wkrótce przybrało jeszcze na intensywniej ostrości i zdawało się łączyć z bezpośrednim przekonaniem, iż tym razem on miał drogę zamkniętą. Ramy i szyby wielkiego okna stanowiły dla niego coś w rodzaju zwierciadła, w którym widocznie było odbicie pewnego rodzaju poniesionej przez niego klęski. Czułam, że przeniknęłam go, bez względu na to czy się zasklepi w sobie, czy też otworzy swe serce. Trzymał się wspaniale, lecz coś go gnębiło; wskrzesiło to we mnie błysk nadziei. Czyżby wypatrywał czegoś przez okno, które nawiedzał zły duch, czegoś, czego nie był w stanie dostrzec? — A może po raz pierwszy w czasie tych wszystkich wydarzeń rachuby zawiodły go aż tak dalece? Po raz pierwszy, rzeczywiście po raz pierwszy: poczytywałam to za świetny omen. Zbudziło to w nim niepokój, choć starał się tego po sobie nie okazać. Niepokój nękał go przez cały dzień i nawet kiedy siedział przy stole, w pełni przestrzegając form towarzyskich w tak charakterystyczny dlań dziecięcy a słodki sposób, ów dziwny, mały fenomen musiał wyteńczyć wszystkie swoje siły, ażeby tylko nadać im pewien polor. Kiedy się wreszcie odwrócił, by zmierzyć się ze mną, zdawało się, że wszystkie prawie walory tego genialnego dziecka, jakim był do niedawna, gdzieś się rozwiały.

— Jeżeli chodzi o mnie, to rad jestem, muszę przyznać, że pobyt w Bly mi służy.

— Zdaje się, że w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin widziałeś tutaj więcej niż przez cały poprzedni okres. Mam nadzieję — nie zrażona niczym mówiłam dalej — że bawiłeś się tutaj dobrze.

— Och, tak, nigdy jeszcze nie zapuszczałem się tak daleko; we wszystkich kierunkach... na mile, na całe mile stąd. Nigdy jeszcze nie czułem się tak swobodny.

Doprawdy umiał się znaleźć w moim towarzystwie, w jakiś jemu tylko właściwy sposób, a ja próbowałam jedynie dotrzymać mu kroku.

— No, i jak ci się to podoba?

Stał, uśmiechając się. Potem ujął to wszystko w dwa słowa: — A pani? — oceniając

sytuację jaśniej, niż mi się to kiedykolwiek zdarzyło usłyszeć w dwóch słowach. Nim jednak mogłam się z tym uporać, jak gdyby w poczuciu popełnionego nietaktu, który trzeba załagodzić, podjął na nowo:

— Nic nie może być bardziej uroczego niż postawa, z jaką pani to przyjmuje, wiadomo bowiem, że z nas dwojga, opuszczonych teraz przez wszystkich, pani właśnie najbardziej jest osamotniona. Spodziewam się jednak — dorzucił — że zbytnio się pani tym nie martwi!

— Że mam do czynienia z tobą? — zapytałam. — Moje drogie dziecko, dlaczego miałabym się tym martwić? Jakkolwiek zrzekłam się wszelkich roszczeń do przebywania w twoim towarzystwie, nie mogę się przecież z tobą równać, to jednak sprawia mi ono dużo przyjemności. Po cóż bowiem miałabym tu dłużej przebywać?

Spojrzał na mnie bardziej bezpośrednio, a w wyrazie jego twarzy, poważniejszej teraz, uderzyła mnie taka nadzwyczajna piękność, jakiej u niego nigdy dotąd nie widziałam.

— Czy pani pozostaje tylko dlatego?

— Oczywiście. Zostaję tutaj z przyjaźni dla ciebie i z racji tego ogromnego zainteresowania, jakie we mnie wzbudzasz, i pozostanę tutaj tak długo, dopóki się nie da uczynić czegoś, co tobie przyniesie większą korzyść. To nie powinno cię dziwić.

Głos drżał mi tak mocno, że nie mogłam tego drżenia opanować.

— Czy nie pamiętasz, jak owej nocy, kiedy zerwała się burza, przyszłam do ciebie i usiadłszy na twoim łóżku, powiedziałam, że nie ma takiej rzeczy na świecie, której bym dla ciebie nie uczyniła?

— Tak, tak!

On również ze swej strony, coraz więcej i coraz widoczniej nerwowo, musiał z sobą toczyć walkę, aby zapanować nad brzmieniem swego głosu. Lecz o tyle lepiej mu się powiodło, że pokrył śmiechem powagę sytuacji, stwarzając pozory przyjemnej, żartobliwej rozmowy

— Tylko w tym celu, jak mi się zdaje, żeby mnie skłonić do wyświadczenia pani przysługi!

— Po części dlatego, żebyś coś zrobił — przyznałam — Ty wiesz jednak, żeś tego nie uczynił.

— O, tak — rzekł z pozornie największą skwapliwością — chodziło o to, abym coś pani powiedział.

— Otóż to. Prawdę, szczerą prawdę. Wiesz, to, co ci leży na sercu.

— Aha! Więc dlatego pani pozostała?

Powiedział to jakimś wesołym tonem, w którym jednak dało się uchwycić ledwo wyczuwalne drżenie tłumionej niechęci, lecz nie potrafiłabym nawet wyrazić, jaki skutek wywołała u mnie ta, choćby tak nikła oznaka uległości. Wyglądało tak, jak gdyby to, do czego tęskniłam, spełniło się w końcu, by wprawić mnie po prostu w zdumienie.

— A więc, tak... Po cóż mam zresztą to dłużej ukrywać. Zostałam wyłącznie dlatego.

Tak długo powstrzymywał się od odpowiedzi, że zaczęłam już przypuszczać, iż czyni to z zamiarem odwołania tych założeń, na których oparłam całe moje postępowanie. W końcu jednak powiedział:

— Czy już zaraz... tutaj?

— I pora, i miejsce są w sam raz odpowiednie.

Rozejrzał się niepewnie dokoła i wydało mi się, że dostrzegłam u niego — cóż za przedziwne zjawisko! — pierwsze symptomy wzbierającego nagle strachu. Było to tak, jak gdyby naraz poczuł przede mną bojaźń — i to w istocie wpoilo we mnie przekonanie, iż może dzięki temu uda mi się go ujarzmić. Jednakże poprzez samą mękę tego wysiłku zrozumiałam, że nie zdobędę się na ostrzejszy ton. Już w następnej chwili usłyszałam siebie samą, jak mówiłam głosem tak łagodnym, że brzmiał niemal groteskowo:

— Aż tak bardzo zależy ci na tym, aby znowu wyjść?

— Bardzo!

Uśmiechnął się do mnie bohatersko i ten wzruszający, mały akt odwagi uwydatnił tylko szarpiącą nim boleść. Wziął do ręki kapelusz, który miał ze sobą, i stojąc obracał nim w taki sposób, że chociaż już prawie cel osiągnęłam, przejęło mnie jakieś perwersyjne uczucie zgrozy wobec tego, co czynię. Cokolwiek bym uczyniła, będzie to zawsze aktem przemocy, bo czyż nie łączy się z tym tylko pojęcie grubiaństwa i winy, narzucone temu bezbronnemu stworzeniu, z którym współżycie rokowało niegdyś tyle wspaniałych nadziei? Czyż nie było podłością stawiać istotę tak subtelną w położenie dlań kłopotliwe? Przypuszczam, że dzisiaj pojmuję wszystko z pewną jasnością, jaką nasza sytuacja nie mogła się wówczas odznaczać, widzę bowiem, że nasze słabe oczy rozbłysły jakąś iskrą męczarni, które miały nadejść. Krażyliśmy więc wokół siebie w strachu i niepewności, niby wojownicy, którzy nie śmia stanąć do boju. Obawialiśmy się jednak tylko o siebie nawzajem! To nam umożliwiło trwanie nieco dłużej w zawieszeniu, bez zadawania ran.

— Powiem pani wszystko — rzekł Miles — to znaczy, powiem pani wszystko, cokolwiek pani zechce. Pozostanie pani nadal ze mną i będziemy się razem dobrze czuli, i ja powiem pani, powiem. Ale nie teraz.

— Dlaczego nie teraz?

Upór mój spowodował, że Miles odwrócił się i przywarł raz jeszcze do okna, przy czym zapanowała między nami taka cisza, że można by usłyszeć dźwięk szpilki spadającej na ziemię. Potem znów stał przede mną z miną osoby, na którą czeka przed domem ktoś, z kim poważnie należy się liczyć.

— Muszę się zobaczyć z Łukaszem.

Nigdy jeszcze nie doprowadziłam go do tego, by musiał się poniżyć aż do tak ordynarnego kłamstwa, i dlatego zawstydziłam się. Chociaż było to okropne, jego kłamstwo utwierdziło mnie tylko w moich domysłach. Udało mi się ze skupieniem naciągnąć kilka oczek w mojej robótce.

— A więc idź do Łukasza, a ja poczekam na spełnienie twojej obietnicy. W zamian, przedtem nim wyjdiesz, spełnij tylko jedno, daleko skromniejsze życzenie.

Miał wygląd człowieka, któremu się zdaje, iż osiągnął już tak wiele, że może się jeszcze trochę potargować.

— Daleko skromniejsze?...

— Tak, zaledwie drobna cząstka poprzedniego. Powiedz mi... — och, byłam pochłonięta tylko robótką i mówiłam bez namysłu! — czy wczoraj po południu... wzięłeś ze stołu w hallu, no wiesz, mój list.

ROZDZIAŁ XXIV

Zanim zdążyłam pojąć, jak on to przyjął, zaciążyło nade mną przez chwilę coś, co mogę tylko nazwać gwałtownym rozszczepieniem mojej uwagi — cios, który z początku, kiedy się zerwałam, wygnał ze mnie wszystko poza ślepym jedynie odruchem, zmierzającym do tego, aby chłopca pochwyć, przyciągnąć blisko do siebie, i aby, kiedy oparłam się o najbliższy mebel dla zachowania równowagi, przytrzymać go instynktownie odwróconego plecami do okna. Zjawa, z którą już tutaj miałam kiedyś do czynienia, zawisła znów w całej pełni nad nami: Piotr Quint wyłonił się przed naszymi oczyma jak wartownik przed więzieniem. Spostrzegłam wreszcie, że dotarł on do okna od zewnątrz, i oto z twarzą przyklepioną do szyby i wzrokiem zapuszczonym w głąb pokoju, raz jeszcze obdarzył jego wnętrze swoim bladym obliczem potępieńca. Jeśli powiem, że w tej samej chwili powzięłam decyzję, to oddam zale-

dwie cząstkę tego wszystkiego, co się ze mną na ten widok działo; a jednak, jestem przekonana, że żadna inna kobieta, która doznała tak straszliwego wstrząsu, nie zapanowała nigdy nad swą wolą działania w tak krótkim czasie, jak ja to uczyniłam. Chociaż byłam sparaliżowana okropnym zetknięciem się oko w oko ze zjawą, zrodziła się we mnie myśl, że będzie to właściwym odruchem, jeżeli oglądając twarz w twarz to, co było przede mną, zdołam utrzymać chłopca w nieświadomości. Uważałam za natchnienie — nie potrafię tego nazwać inaczej — myśl, że mogę to przecież uczynić samorzutnie i z tak niepojętą łatwością. Przyrównać by to można do walki o duszę ludzką z demonem, i słusznie tak to oceniwszy, spostrzegłam, że ta dusza ludzka — trzymana przeze mnie w drżących rękach na odległość ramion — pokryła się potem, który jak gęsta rosa osiadł na czarownym czole dziecięcia. Twarz nieledwie dotykająca mojej była blada niczym twarz przytknięta do szyby i wreszcie wydobył się z niej jakiś głos, ani miękki ani cichy, lecz jak gdyby dochodził skądś z dala, który upoił mnie jak podmuch wonności.

— Tak... wziąłem go.

Na to, z radości tłumiąc szlochanie objęłam go, przycisnęłam do siebie, a gdy tuliłam go do piersi, wyczuwając oszalałe tętno serduszka w jego nagle rozpalonym drobnym ciałku, nie spuszczałam wzroku z postaci przy oknie i zauważyłam, jak się poruszyła i zmieniła pozę. Porównałam ją z wartownikiem, ale powolność, z jaką obróciła się na moment, przypominała raczej zataczanie kół przez drapieznika, któremu pomieszano szyki. Mój świeży przyptyw odwagi miał jednak to do siebie, że nie chcąc się zanadto zdradzać, musiałam jak gdyby przyciemnić jej blask. Tymczasem twarz o przenikliwym spojrzeniu znalazła się znów przy oknie, przy czym ów łajdak tak znieruchomiał, jak gdyby wypatrywał tylko czegoś i wyczekiwał. Ta właśnie ufność, iż mogę mu się teraz przeciwstawić, jak również całkowite już w tym momencie przekonanie, że dziecko trwa nadal w nieświadomości, popchnęły mnie do podtrzymania rozmowy.

— Dlaczego go wziąłeś?

— Aby zobaczyć, co pani o mnie napisała.

— Czy otworzyłeś list?

— Otworzyłem.

Trzymając Milesa trochę dalej od siebie, miałam teraz oczy skierowane ku jego twarzy, a brak jakiegokolwiek śladu owej lekko kpiącej miny uwidocznili mi całą pełnię spustoszenia, jakie w nim wywołał niepokój. Rzeczą najbardziej zaskakującą było to, że wreszcie, dzięki mojemu zwycięstwu, zatarła się w nim naraz wrażliwość i odebrana mu została zdolność porozumiewania się: wiedział, że ktoś znajduje się w pobliżu, lecz nie wiedział kto, a jeszcze mniej było mu wiadome, że ja również jestem w to wplątana i że wiem, co tu się dzieje.

Cóż jednak znaczyła ta groźba, to napięcie, gdy zwróciwszy znów oczy ku oknu, ujrzałam, że nic nie przesłania jasnego nieba, a — dzięki odniesionemu przeze mnie zwycięstwu — zgubny wpływ został stłumiony? Nie było już tam niczego. Czułam, że sprawę wygrałam i że z pewnością dopnę teraz wszystkiego.

— I nic nie znalazłeś! — nie mogłam wprost zapanować nad radością, jaka mnie ogarnęła.

Potrząsnął lekko głową z wyrazem bezmiernie żalostnej zadumy.

— Nic.

— Nic, nic! — krzyczałam prawie z radością.

— Nic... nic — powtórzył ze smutkiem.

Pocałowałam go w czoło; było zroszone potem.

— Cóż więc z nim zrobiłeś?

— Spaliłem go.

— Spaliłeś go? — „teraz lub nigdy”, pomyślałam sobie — a więc to takie rzeczy robiłeś w szkole?

Och, jakież ja znów struny poruszyłam!

— W szkole?

— Czy zabierałeś listy... lub może inne rzeczy?

— Inne rzeczy?

Wydawało się teraz, że rozmyśla o czymś bardzo odległym, a co dociera doń tylko poprzez ciężącą mu obawę. Lecz jednak do niego dotarło.

— Czy kradłem?

Poczułam, jak rumienię się aż po same uszy, a jednocześnie zastanowiłam się, co jest bardziej dziwne: czy to, że zadaje się takie pytanie dżentelmenowi, czy też to, że pozwala on sobie je zadawać i odsłania tym samym rozmiary swojego upadku w świecie.

— Czy robiłeś to dlatego, abyś nie potrzebował wracać?

Wywołało to u niego tylko lekkie, dość raczej ponure zdziwienie.

— Czy pani wiedziała, że mogę tam więcej nie wrócić?

— Wiem wszystko.

Obrzucił mnie nieskończenie długim i uderzająco dziwnym spojrzeniem.

— Wszystko?

— Wszystko. A więc czy...? — nie mogłam jednak tego ponownie wypowiedzieć.

Miles mógł natomiast, całkiem po prostu.

— Nie. Nie kradłem.

Wyczytać musiał z mej twarzy, iż wierzę mu bez zastrzeżeń. Potrząsałam nim — choć tylko z nadmiaru czułości tak jak gdybym chciała go przez to zapytać, dlaczego skazał mnie na całe miesiące udręki, skoro i tak na nic się to wszystko zdało.

— Cóż więc takiego zrobiłeś?

Z jakimś nieokreślonym wyrazem bólu błędził oczyma po suficie pokoju i zaczerpnął powietrza raz po razie, jak gdyby trudno mu było oddychać. Stał niby na dnie morza, podnosząc wzrok ku ledwo widocznej, zielonkawej poświacie.

— No, tak... mówiłem pewne rzeczy.

— Nic poza tym?

— Oni uważali, że to wystarczy!

— Ażeby cię z tego powodu wydalić?

Szczerze mówiąc, żadna jeszcze „wydalona” osoba nie przedstawiła tak mało zadowalającego usprawiedliwienia, jak właśnie ten młody człowiek! Zdawało się, że rozważa moje pytanie, lecz w sposób zupełnie oderwany i nieomal bezradny.

— Chyba nie powinienem był tego robić.

— Lecz komu to wszystko mówiłeś?

Było widoczne, że stara się sobie przypomnieć, ale pamięć mu nie dopisała — nic została przerwana.

— Nie wiem.

Niemal się do mnie uśmiechnął, choć był beznadziejnie przybity swą kapitulacją, właściwie już tak bezwarunkową, że powinnam była na tym poprzestać. Byłam jednak zaślepiona, upojona zwycięstwem, chociaż już wtedy ten owoc moich zabiegów, który miał go do mnie zbliżyć, jeszcze tylko nas bardziej odsunął od siebie.

— Czy każdemu?

— Nie tylko... — potrząsnął jednak głową ze znużeniem — nie przypominam sobie nazwisk.

— Czyżby było ich tak wielu?

— Nie... jedynie kilku. Takich, których lubiłem.

Takich, których lubił? Zdawało mi się, jakbym wznosiła się nie ku jasności, ale przeciwnie, jak gdyby coś strącało mnie w ciemniejsze jeszcze mroki, i nie upłynęła nawet chwila, gdy powodowana bezbrzeżną litością, zatrwożyłam się straszliwie, że być może, on jest nie-

winny. Przez moment zaciążyło to nade mną w sposób wprost niepojęty, bo jeśli on był niewinny, to czymże ja byłam, na Boga? Zdrętwiała na myśl, jaką to pytanie nasuwało, zwolniłam trochę uścisk. Głęboko westchnął i odwrócił się ode mnie. Stał znów twarzą do pustego okna, czym dotknął mnie boleśnie, gdyż zrozumiałam, że teraz już nie ma go od czego odciągać.

— A czy to, co im mówiłeś, oni powtarzali dalej? — zaczęłam znowu po chwili.

Wkrótce był już kilka kroków ode mnie. Nadal ciężko oddychał i znów przybrał swój zwykły wyraz twarzy, choć nie gniewał się już o to, że trzymam go w zamknięciu wbrew jego woli. Raz jeszcze, podobnie jak przedtem, powiódł oczami po dziennej szarzyźnie z takim wyrazem, jak gdyby z tego, co go dotąd podtrzymywało, nie pozostało nic prócz niewysłowionej udręki.

— O, tak — odpowiedział mimo wszystko — na pewno powtarzali. Tym, których oni lubili — dodał jeszcze.

Spodziewałam się, że dowiem się czegoś więcej; zastanowiłam się jednak.

— I to doszło do uszu...?

— Wychowawców? O, tak! — odrzekł całkiem po prostu — nie wiedziałem jednak, że o tym doniosą.

— Wychowawcy? Nic podobnego... nie zrobili nawet wzmianki. Dlatego pytam się ciebie.

Skierował ku mnie ponownie swą śliczną, rozgorączkowaną twarzyczkę.

— Tak, to było naprawdę wstrętne.

— Wstrętne?

— To, co pewnie czasami mówiłem. Żeby pisać o tym do domu...

Niezdolna jestem oddać niezwykłego patosu sprzecznosci podanej w takiej mowie przez takiego mówcę. Wiem tylko, że w następnym momencie usłyszałam właśnie słowa, które rzuciłam bezceremonialnie: „Pleciesz głupstwa!” Lecz już w chwilę potem głos mój musiał brzmieć bardziej surowo.

— Co to były za rzeczy?

Surowy ton, jaki przybrałam, tyczył się jego sędziego i kata, tym samym jednak odepchnęłam go od siebie. Nie mogąc powstrzymać krzyku na widok tej reakcji, jednym skokiem znalazłam się z powrotem przy nim. Znów bowiem przy szybie, jak gdyby chcąc zdusić jego wyznania i zatrzymać odpowiedź, sterczał ohydny sprawca naszej niedoli — owo blade, piekielne oblicze. Zrobiło mi się niedobrze na myśl, że zwycięstwo wysuwa mi się z rąk i że walkę trzeba rozpocząć od nowa. Mój nieopanowany, wprost dziki skok przyczynił się tylko do wydania tajemnicy. I od razu zauważyłam, że Miles został jakby tknięty przeczuciem. Zdając sobie sprawę, że i teraz tylko się czegoś domyśla, że przed jego oczami okno nadal świeci pustką, pozwoliłam się temu impulsowi rozpałić, by przeobraził się z zenitu trwogi w najoczywistszy dowód wyzwolenia chłopca.

— Dość tego, dość tego, dość tego — krzyczałam przenikliwie w stronę zjawy, starając się jednocześnie przycisnąć chłopca do siebie.

— Czy ona jest t u t a j? — zapytał Miles, z trudem łapiąc powietrze, gdy swoimi nie widzącymi oczami pochwycił kierunek moich słów. Po czym, gdy o mało nie upadłam, usłyszawszy w jego ustach to dziwne „ona” i gdy przez ściśnięte gardło powtórzyłam je jak echo, dorzucił porywczo i z pasją: Miss Jessel, miss Jessel!

Jego domysł przyjąłam z osłupieniem jako pewnego rodzaju następstwo tego, co zrobiłyśmy z Florą, lecz wzbudziło to we mnie tylko chęć, by go przekonać, iż jest nawet lepiej, niż mógłby przypuszczać.

— To nie miss Jessel! Stoi przy samym oknie... wprost przed nami. O t a m stoi... ten tchórzliwy upiór! Jest tam po raz ostatni!

Wówczas poruszył głową jak pies, który niespodzianie zgubił trop, a potem, zniecierp-

liwiony, wstrząsnął się lekko, węsząc i szukając śladów, i po chwili półprzytomny chłopiec znalazł się przy mnie. Pienił się z wściekłości, daremnie błyskał wokół oczyma, nie dostrzegając górującej nad wszystkim zjawy, chociaż ja sama wyczuwałam swoimi zmysłami jej fatalną obecność, wypełniającą pokój i przenikającą go niby posmakiem trucizny.

— To on?

Byłam zdecydowana wydobyć zeń wszelkie dowody, toteż stałam się zimna jak lód, żeby go tylko sprowokować.

— O kim ty myślisz, mówiąc „on”?

— Piotr Quint, ty szatanie! — Raz jeszcze powiódł oczyma po pokoju, ukazując twarz wykrzywioną błaganiem.

— G d z i e?

Te słowa dźwięczą mi dotąd w uszach, słowa ujawniające jego wspaniałą rezygnację z tego straszego imienia i jego hołd dla mojego dlań poświęcenia.

— Cóż on nas teraz obchodzi, mój ty jedyny? — Czyż może on k i e d y k o l w i e k coś znaczyć? Mam teraz ciebie — rzuciłam w stronę tego potwora — lecz on stracił ciebie na zawsze! — Po czym, by lepiej zademonstrować swoje zwycięstwo, rzekłam do Milesa: — O, tam, tam!

On jednak zerwał się jak oparzony, odwrócił się, wyteżył wzrok, spojrział dziko i ujrzał tylko jasność cichego dnia. Wstrząśnięty poniesioną stratą, z czego przecież byłam tak dumna, wydał krzyk, jaki wydziera się z gardła stworzenia rzuconego w głąb otchłani, a sposób, w jaki go odzyskałam, można by porównać do pochwylenia go w trakcie spadania. Schwyciłam go, tak, trzymałam go — można sobie wyobrazić, z jakim uniesieniem; lecz po chwili zaczęłam sobie uświadamiać, co trzymam w swych ramionach. Byliśmy sami wśród cichego dnia, a jego małe, biedne serce przestało bić.